

**Ała Gorelikowa**  
**Korund**  
**i Salamandra**

przełożył  
Witold Jabłoński

fabryka słów

Lublin 2008





## Spis treści:

O łasce Pana .....	4
Noc króla.....	9
Kroniki Królewskie .....	21
O podziemnych nieлюдziach.....	29
Kronikarz królewski .....	43
Zaklęte wino.....	48
Podróż królewskiej małżonki.....	57
Poranek księcia.....	67
Karczemne plotki .....	73
Królewski las.....	78
Wolne Miasto Sebasta .....	86
O wiosnie .....	92
Spotkanie w drodze .....	97
Młody król .....	105
Niebezpieczna tajemnica .....	112
W służbie królewskiej .....	117
O TAJNYCH ZAMYŚLACH.....	124
Noc Gustawa.....	135
Powrót.....	144
Groźny dziadunio .....	153
Letni obóz .....	161
Pobratymcy .....	172
Strażnica na południu .....	183
Orda .....	192
Do Korwarenu.....	212

# O ŁASCE PANA

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Wielu nam powie, iż działo się to dawno temu, a zazwyczaj mało jest prawdy w upiększanych przez całe wieki podaniach. I że opowieść o świętym Karolu to tylko piękna baśń. Wszak nie da się odnaleźć wiarygodnych źródeł ani obiektywnych kronik: kronikarze tamtych czasów wychwalali jedynie czyny swoich władców, prawdziwy zaś bieg historii był dla nich równie ukryty, jak dla zwykłych śmiertelników, ludzi i nieludzi. I nie sposób dojść po tylu stuleciach, jak nasz świat stał się taki, jaki jest.

Lecz oto spoczywają przede mną na stole bezsporne i bezstronne świadectwa tamtych czasów. Nieznanymi drogami trafiły do klasztoru skarbcza: srebrna brosza ze szkarłatną kroplą korundu szlachetnie urodzonej panny Julii, rodowy amulet króla Waleriana, zardzewiały piracki nóż, tani kubek z przydrożnej karczmy, kosztowna waza do zupy z kuchni pałacowej i jeszcze około tuzina rzeczy, które jakimś cudem dotarły do nas przez mroki Trudnych Czasów. Wraz z błogosławieństwem Ojca Przewielebnego: „Niechaj posłuży chwale Najwyższego dar pokornego nowicjusza Błażeja, aby poznać Prawdę i pojąć sens Boskiego Planu”.

Ja, który w błogości klasztoru bytowania niemal zapomniałem o owym darze, który stał się dla mnie przekleństwem, muszę przywołać go ponownie. Powinienem umacniać się w swych zamiarach dzięki temu jednemu błogosławieństwu. Cóż bowiem jest chwałą Pana? To, co czyni się w imię Jego. Czekają mnie jednak mroczne, straszne czyny i na samą myśl serce we mnie zamiera. Strasznie jest żyć cudzym życiem. Patrzeć na świat cudzymi oczyma, myśleć nie swoimi myślami i popełniać cudze postęпки. Mój dar był czymś gorszym niż zwykłe bezwstydną podglądanie i czekały mnie ludzka nienawiść i szybki osąd, karzący każdą odmienność surowiej niż jakiegokolwiek przestępstwo. Niech będzie błogosławiony Ojciec Przewielebny, który pozwolił skryć się w klasztornych murach temu, kogo otwarcie nazywano wysłannikiem Nieczystego! Długo trwało, zanim wyzbyłem się strachu i przestałem się wzdygać, słysząc kroki za plecami. Modliłem się do Pana tylko o zapomnienie. Skoro nie mogę być taki jak wszyscy ani pozbyć się mego daru, gdyż Bóg tego,

co dał, nie odbiera, może chociaż mógłbym o nim zapomnieć?

Ojciec Przewielebny uważał jednak inaczej, a kimże jestem ja, abym się miał sprzeciwiać temu, kto promieniuje Bożą Światłością? Teraz znowu jestem w rozterce i ozywają dawne lęki, które niegdyś sprawiały, iż pragnąłem zapomnieć o przeklętym darze. Wezmę zaraz do ręki broszkę darowaną kiedyś klasztorowi przez wnuczkę albo prawnuczkę panny Julii i zniknę. Pokorny Błażej rozplynie się w mroku, wokół zaś pojawią się zjawy ludzi i zdarzeń. Dużo ich się pojawi, bo rzeczy trwają długo. Pozostanie tylko dokonać wyboru. To, co zostanie z Błażeja z łatwością skieruje się we właściwą stronę i odnajdzie szlachetnie urodzoną pannę, a w końcu stanie się nią. Przeżyję to, co się jej przydarzyło, jakbym to sam przeżywał. Będę mógł później przekazać innym owe wspomnienia. Jeśli powrócę. Wszystko może się zdarzyć... Od pewnego czasu boję się, że nie wrócę.

**2. SZLACHETNIE URODZONA PANNA JULIA,  
OFICJALNA PRZYJACIÓŁKA KSIĘŻNICZKI  
MALGORZATY**

- Gustawie! - Młoda dziewczeczka spuszcza na chwilę wesołe szare oczęta. Złote pukle opadają na wdzięczne liczko, a wówczas wąskie dłonie unoszą się, pospiesznie poprawiając wspaniałą fryzurę. - Utrapienie z tymi włosami! Dlaczego znowu trzymasz nocną straż?

- Jeszcze pytasz, okrutna! - Młody gwardzista rozpląwa się cały w uśmiechu, przekłada halabardę do lewej ręki i kładzie prawą dłoń na sercu. - I tak nie mogę spać po nocach, moja umiłowana, lepiej więc spędzać czas na straży niż ranić serce bezwocnymi westchnieniami pod twoim oknem. Przecież ty, Julio, nigdy nim nie wyglądasz!

- Okno jest zbyt wysoko, by do mych uszu dotarty czyjeś bezwocne westchnienia! - Julia chichocze, a Gustaw śmieje się w odpowiedzi. Gwardzista spodobał się pannie niemal od pierwszego dnia jej pobytu na dworze. Spodobał się... i cóż w tym złego! Pewnego razu jednak zauważyła, że młodzieniec rozmawia z nią zupełnie inaczej niż z innymi. Pod jego żartami czaiła się niepewna czułość, a oczy wciąż miał smutne. Gustaw, młodszy syn zubożałego barona, nie mógł nawet marzyć o zostaniu zięciem wielmoży Gotwińskiego. Jedyna córka wielkiego pana godna była znacznie lepszej partii. Młodzieniec nie mówił jej więc o swej miłości. Cóż za głupia szlachetność! Jakby się obawiał, że ambitne plany ojca są dla niej ważniejsze od pragnień jej zakochanego serca! Serce Julii zamierało słodko za każdym razem, gdy miała okazję porozmawiać z Gustawem. Rozgrzewało się w ciepłe jego milczącego uczucia i topniało, zamieniając się w miękki wosk, na którym bez trudu odbijała się podobizna ukochanej osoby...

- Co cię tak smuci, moja miła?

Chyba głównie to, że do tej pory nie miała okazji, jak każda porządna panna, usłyszeć jego wyznań, spuszczać oczy i nakręcając na palec nieposłuszny lok. Naturalnie, jak nakazywała tradycja, spędziła noc na modłach do Ii Chroniącej, dlatego rankiem nie wstydziła się szczerze porozmawiać z Gustawem. Był to zaiste szczęśliwy poranek.

- Dzisiaj ma być uczta, wiesz przecież, Gustawie?

- Oczywiście. Poselstwo z Dwunastu Ziem. Widziałem ich przybycie i zapewniam, że warto było popatrzeć! Konno, w pełnym galopie... Ech, Julio, ależ mieli rumaki!

Julia poczuła przelotne ukłucie rozdrażnienia. Teraz o koniach... Doprawdy, w samą porę!

- Przyjechali prosić o rękę Małgorzaty - powiedziała cicho i poważnie. - Rozumiesz?

Gustaw milknie i zacina się, spochmurniały.

- I tak się stanie, Gustawie - szepcze panna. - Nasz król potrzebuje tego małżeństwa.

- Nasz kraj potrzebuje tego małżeństwa - poprawia ją młodzian. - Lecz dla nas, Julciu, to wesele może być końcem wszystkiego. Małgorzata będzie musiała pojechać do męża sama, jak to jest przyjęte u wschodnich ludów. Ty zaś będziesz musiała wrócić do Gotwinia.

- Żeby chociaż do Gotwinia... - Julia milknie. Czy warto powtarzać Gustawowi ostatnią rozmowę z ojcem? To i tak niczego nie zmieni... Zbyt potężnego zięcia wybrał sobie bogaty pan Gotwiński.

- Najdroższa moja panno! - Gustaw pada przed nią na kolana, namiętnie ściskając bezwładnie opuszczoną dłoń dziewczyny. - Moja Julciu! Moje życie i szczęście! Wiem, że twój ojciec nie da nam błogosławieństwa, lecz czy Pan Bóg nie jest nam Ojcem Najwyższym? Padniemy do nóg opatowi, a jeśli nas pobłogosławi, Bóg będzie po naszej stronie! Rzeknij tylko słowo!

- Gustawie, ja... jakże to tak, bez ojca... - Wargi jej drżą, a oczy wypełniają się całkiem zbędnymi łzami. - Ale bez ciebie... także nie! Masz rację, mój miły! Pójdziemy do opata, niech nam pobłogosławi świątobliwy człek.

Gustaw zrywa się na równe nogi.

- Juleczko, Julciu, nie płacz, przecież jedziesz na ucztę, a jesteś przyjaciółką księżniczki! Miłości ty moja!

- Przyjdę tutaj, gdy skończy się uczta - szepcze panna, spieszenie ocierając łzy. - Pójdziemy do opata zaraz po zmianie warty. Lecz, jeśli odmówi... Co wtedy, Gustawie?

- Bóg jest łaskawy - szepcze w odpowiedzi młodzieniec. - Bóg jest łaskawy...

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Bóg jest łaskawy, szepczę, wcale w to nie wierząc. Odwykłem od swego przekłętego daru i prawie zapomniałem, jak to jest! Przecież już ponad rok udawałem, że nie różnię się niczym od innych, mając nadzieję, że zapomnę, jak jest naprawdę. Głodowałem, włoczyłem się, tonąc w mroku, ale nie zaglądałem w przeszłość. Odmówiłem tego nawet za wielkie pieniądze, jakie proponował mi sebastyski kupiec w gospodzie przy wjeździe do Korwarenu. Nie można kupić za pieniądze wszystkiego... Również tego, co straciłem. Wystarczył mi ostatni raz i nigdy, przenigdy nie uczyniłbym tego znowu, gdyby nie dochodzenie. Powinienem być z tego dumny... Oczywiście, że powinienem, skoro powierzono mi wielkie dzieło, ku Bożej chwale.

Staram się stłumić zawstydzający strach. Wspominam to, co ujrzałem oczyma Julii. Niewielki wysiłek. Wspomnienia są wyraźne i jasne. Znacznie jaśniejsze niż świat, który mnie otacza.

Nurzam się w cudzych uczuciach, jakbym przechodził to po raz pierwszy. Miłość młodej panienki, z pozoru lekkomyślnej, o wesołych oczach i białej cerze mieszkanki północy...

Miłość, strach przed rozłąką i ojcowskim przekleństwem. Znana mi mieszanka: róża herbaciana mimochodem zerwana z krzewu, polne stokrotki i kurz wiejskiej drogi. Straszne jest ojcowskie przekleństwo. Nie wątpię, że tak jest. Inaczej musiałbym uznać, że Katarzyna, moja jedyna, czysta miłość, wcale mnie nie kochała. Gustaw miał szczęście: jego Julia nie pozwoliła, by lęk zapanował nad ich losem. Bezrozumna, rozpaczliwa nadzieja... To także znam, Julio. Niejeden raz łudziłem się nadzieją na lepsze jutro i sprawiedliwość. Rzucicie się rankiem do stóp opata, lecz cóż może wam rzec? „Nie ja ustanowiłem...”

Srebrna broszko ze szkarłatną kroplą korundu, okazałaś się wielce wymownym świadectwem! Miłość twojej pierwszej właścicielki jest dla mnie teraz mniej ważna niż uczta, o której mówiła: swaci z Dwunastu Ziem. Księżniczka Małgorzata u progu małżeństwa. Jej groźny ojciec i młoda macocha. I maleńki braciszek, następca tronu, księżę Karol. To właśnie jego dotyczyć będzie powierzone mi dochodzenie, ale teraz, miesiąc przed ślubem siostry, może tylko gaworzyć, bawiąc się ochronnymi amuletami w srebrnej kołysce. Oczywiście nie będzie go na uczcie. Nie będzie na niej także narzeczonego księżniczki, który przyjedzie później, już po zrzekowinach, gdy trzeba będzie spisać ślubny kontrakt. Muszę jednak zobaczyć tę ucztę! Chociaż nie wydarzy się na niej nic ważnego, muszę to uczynić tylko dlatego, że się o niej dowiedziałem. Zanim serio przystąpię do dochodzenia, powinienem

przywrócić na poły zapomnianą władzę nad pamięcią przedmiotów.

Boże, zmiłuj się nade mną, bo jestem człowiekiem słabym! To nie ucztę chcę naprawdę zobaczyć...

**4. SZLACHETNIE URODZONA PANNA JULIA,  
OFICJALNA PRZYJACIÓŁKA KSIĘŻNICZKI  
MALGORZATY**

Potoki światła wpadające przez wąskie, łukowate okna, podłoga skrząca się bielą marmuru i śnieżnobiały habit opata. Światło jest błogosławieństwem i nie ma tu miejsca na rozpacz. Jakże jednak nie rozpaczać, gdy upadła ostatnia nadzieja?

„Nie ja ustanowiłem prawa, dzieci moje, i nie jestem władny je zmieniać”. - Opat jest zasmucony i pełen współczucia, lecz nieubłagany. Julia płacze na piersi Gustawa i kapłan dobrze słyszy słowa nieszczęsnej dziewczeczki: „Pan Bóg jest niesprawiedliwy, niesprawiedliwy!

Słyszy i powinien przerwać ten potok bluźnierstw. Widocznie jednak i on także kiedyś cierpiał z miłości, skoro powiada:

- Módlcie się, dzieci. Macie jeszcze czas, więc się módlcie. Bóg jest miłosierny. Nie do mnie powinniście przyjść. Kościół nie jest w stanie zastąpić ojcowskiego błogosławieństwa, może je tylko uświęcić. Czy jednak, dzieci moje, król nie jest ojcem wszystkich swoich poddanych? I czy to nie jest dobra pora, by błagać go o łaskę, jakiej pragniecie?

Julia unosi główkę i spogląda z niedowierzaniem na opata. Patrzy niemal nie widząc: łzy rozmazują jego twarz, tak jak wszystko dookoła i tylko potoki światła błyskają w jej oczach barwnymi iskierkami. Gustaw pada na kolana i całując skraj śnieżnobiałej szaty kapłana, powiada z nabożnym respektem:

- Zaiste, łaskawy jest Pan! Dzięki ci, świętobliwy ojcze: dobrze nam doradziłeś. Dziwię się, że sam wcześniej o tym nie pomyślałem.

- Dobrze to świadczy o tobie, mój synu - odpowiada niespiesznie opat - słusznie bowiem uznałeś, że trzeba udać się do Domu Bożego, aby się upewnić co do praw ustanowionych przez Pana. Gdybyście przyszli do mnie po audiencji u króla już jako narzeczeni, sam bym nie wiedział, jak wam błogosławić! Nie płacz, córko moja! Godna jesteś prawdziwego szczęścia. Jeśli król zechce zapytać Kościół o radę, nie stanę na przeszkodzie waszej miłości. Módlcie się, dzieci moje, wraz ze mną i niech łaska Pana wam towarzyszy...



# NOC KRÓLA

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Srebrna broszka ze szkarłatną kropłą drogiego korundu... Julia pochodziła z bogatej szlacheckiej rodziny, jak przystało najbliższej przyjaciółce księżniczki. Gdybym był znawcą kronik, na pewno mógłbym opowiedzieć o rodzie Gotwińskich ze wszystkimi ciekawymi szczegółami. Myślę, że powinienem zainteresować się chociażby ojcem Julii. Chyba odwiedzę wieczorem brata bibliotekarza. Może i o Gustawie gdzieś wspomniano? Chociaż wątpię. Po cóż kronikarze mieliby interesować się ubogim szlachetką, zmuszonym szukać szczęścia w gwardii królewskiej...

Julia i Gustaw. Nie sądzę, by król dał łaskawe przyzwolenie na taki mezalians. Pamiętam, że brat bibliotekarz wspomniał o pannie Julii, gdy opowiadał mi o zamążpójściu księżniczki Małgorzaty. Królowa nie była zachwycona wymuszonymi warunkami sojuszu pokojowego, który miał być przypieczętowany mariażem, a konieczność pogodzenia się z obyczajem, o którym wspominał Gustaw w mojej wczorajszej wizji, dręczyła ją niepomiernie. Tuż przed ślubną ceremonią uprosiła swego przyszłego męża, króla Andrzeja, aby nie musiała samotnie opuszczać ojcowskiego domu.

Król Andrzej przychylił się do wspartej łzami prośby narzeczonej. Młoda królowa Dwunastu Ziem opuściła więc ojczyzny kraj razem z ulubioną przyjaciółką.

„Razem z przyjaciółką...” Chyba należałoby dodać jeszcze coś. Przecież małżeństwo Małgorzaty potraktowaliśmy bardzo skrótowo i pobieżnie: nie ona zajmowała nas bowiem, lecz Karol. Opuściła na zawsze Targalę i jej przyrodni brat nigdy się nie spotka ze starszą siostrą. Nie należy jednak lekceważyć wiedzy o sąsiadach ze Złotego Półwyspu, skoro ich także mogły dotknąć Trudne Czasy.

Tak rozmyślam, próbując wygnać z pamięci owo światło, igrające wielobarwnymi skrami w zapłakanych oczach Julii. Światłość Boża... Julio, podobasz mi się coraz bardziej i bardzo chciałbym, żebyś była szczęśliwa, dziewczyno! To śmieszne. Ci ludzie żyli tak dawno. Wszystko już przeżyte, zapomniane, trawą porosło. Ja zaś mam ochotę modlić się za nich, żeby Pan pobłogosławił ich miłość. Pragnienie jest tak nieodparte, że zamiast skierować

się do biblioteki, idę do kaplicy. Kiedy przywykałem do klasztornej reguły, bracia pouczali mnie: nie krępuj się modlić samotnie, poza przepisowymi godzinami, kiedy tylko najdzie cię chęć. Modlitwa płynąca prosto z serca miła jest Panu. Tak więc się modłę. Skoro Bóg jest wszechmogący, podlega mu także czas. Modłę się za ciebie, Julio: niechaj Pan błogosławi twą miłość.

Nie zauważam, kiedy mija pora obiadowa. Trudno jednak nie zauważyć braci powoli wypełniających kaplicę. Pora nabożeństwa. Z jakiegoś powodu ciężko mi się skupić na zaleconych dzisiaj modłach. Myśli umykają i stwierdzam z niezadowoleniem: pójdę po mszy do siebie. Brat bibliotekarz nie ucieknie, a Ojciec Przewielebny na razie nie żąda raportów z moich wizji, daje mi trochę czasu, bym znowu się przyzwyczyił wyłuskiwać cienką nić wydarzeń zaginionych w pomroce dziejów. Pójdę do siebie, posiedzę w ciszy do wieczery i uporządkuję myśli. U progu zaś długiej nocy spróbuję odnaleźć księżniczkę, młodziutką narzeczoną. Wśród rzeczy, jakie mi dostarczono, znajduje się także paradna szarfa jej ojca, króla Henryka Okrutnego. Zapewne była świadkiem różnych rozmów, uroczystości weselnych i wielu innych spraw...

## **2. KRÓL HENRYK, KTÓRY W POŁOWIE ŻYCIA ZASŁUŻYŁ NA PRZYDOMEK GROŻNY, PRZEZ POTOMNOŚĆ NAZWANY OKRUTNYM**

Krół Henryk przemierza tłumnie wypełnioną salę, obdarzając napotkanych ludzi krzywym uśmiechem lub niemiłym grymasem. Wszyscy są zbyt pijani, żeby zwracać uwagę na wyraz oblicza Bożego pomazańca. Monarsze to odpowiada. Nawet władców męczy ciągle trzymanie się sztywnych ram etykiety! Chociaż dzisiejszy wieczór wart jest włożonych weń wysiłków. Goście są zadowoleni. Nawet najwięksi tutejsi zabijacy, upomniani wcześniej surowo, zachowują się z uprzedzającą grzecznością. Znane w całej stolicy dworskie kokietki robią wciąż słodkie oczy do cudzoziemskich kawalerów. Bardzo udany wieczór. Książę Grzegorz, umiłowany wuj i poseł pełnomocny króla Andrzeja, udał się na spoczynek jakieś pół godziny temu, pozostawiając młodzież, by się bawiła do woli. Niedwuznaczna demonstracja pełnego zaufania do wczorajszego wroga, wyrażająca jasno pewność księcia co do sukcesu rokowań. A dlaczegoż nie miałby być pewien, niech to porwie Nieczysty! Po klęsce na Wilczej Przełęczy Targala mogła jeszcze liczyć na odwet, lecz blokada wybrzeża północnego...

Gospodarz ucztę zatrzymuje się przy na poły opuszczonej kotarze i raz jeszcze ogarnia uważnym spojrzeniem salę. Zabawa staje się całkiem bezceremonialna i prędko osiąga stan rozpasania. Najwyższa pora oddalić się niepostrzeżenie.

Król niecierpliwie puszcza ciężką aksamitną zasłonę, kiwa głową salutującemu paradną halabardą gwardziście i szybkim krokiem udaje się w stronę południowej galerii. Jego myśli krążą wokół jutrzejszych rokowań. Cóż, sprawy nie wyglądają najgorzej. Małżeństwo Małgorzaty lub perspektywa prędkiej, nieuniknionej kapitulacji - to duża różnica! Udany mariaż i godny pozazdroszczenia narzeczony. A jednak, mimo wszystko... Szerokie dłonie królewskie zaciskają się w pięści, pełne wargi wykrzywia zły grymas. Mimo wszystko został poniżony. Czy to nie poniżające, oddawać wrogowi ukochaną córkę za cenę pokoju? Ech, Małgosiu, Małgosiu...

Księżniczka, jakby na zawołanie, wybiega mu naprzeciw z galerii. Wyszła zaraz po ogłoszeniu zaślubin, przypomina sobie król, nie została, by się z innymi weselić. To oznacza, że czyhała również na jego wyjście.

- Ojczy, chcę z tobą porozmawiać!

- Oczekiwałem tego, Małgorzato.

- Ojczy!

„Mój Boże, jaka ty jesteś ładna, córeczko! Prześliczna!

- Nie tutaj, Małgorzatko. - Król uprzejmie podaje dłoń córce i szepcze: - Opanuj tymczasem gniew, Małgosiu!

Galeria południowa jest pusta, podobnie jak nowomodny zimowy ogród oddzielający paradną część pałacu od mieszkalnej.

- Będzie mi tego brakowało - przerywa milczenie księżniczka. - Podwójnego echa kroków, zapachu mięty, hiacyntów... i ciebie, ojczy.

W głosie jej słyhać ledwie powstrzymywane łzy i król postanawia się nie odzywać. To nie jest odpowiednie miejsce na szczere rozmowy. Gabinet królewski znacznie lepiej chroni przed podsłuchem.

Znacznie lepiej jest także przystosowany do rozmów, naturalnie tych poważnych, a nie pustej gadaniny. Zwłaszcza, jeśli huknie się na strażnika:

- Nikogo nie wpuszczać!

Miękki fotel dla księżniczki, król preferuje masywny dębowy taboret.

- Pora, córeczko, na awanturę. Teraz możesz. Krzycz, tup nóżkami, stłucz wazon...

- To znaczy... że się, ojczy, zdecydowałeś? Ostatecznie?

- Zdaje mi się, Małgosiu, żeś już wczoraj wiedziała, że tak będzie.

- Tak, oczywiście - szepcze królowna - ale nie chciałam wierzyć. Ojczy, to straszne, potworne!

Król sprzeciwia się ostro i surowo:

- To najlepsza ze wszystkich możliwych partii dla ciebie, Małgorzatko. - I dodaje z krzywym uśmiechem: - Andrzej, władca Dwunastu Ziem i jego królowa, Małgorzata.

- Barbarzyńca, jak jego poddani, a przy tym dwa razy ode mnie starszy! Płacisz mną za swą bojową nieudolność! Sprzedajesz dla politycznej korzyści? Czy nie tak?

- Tak - potwierdza ze smutkiem król Henryk. - Córeczko, taki już los wszystkich księżniczek. A czego byś chciała? Pięknego, młodego karierowicza z dziurawymi portkami, jak ten wasz Gustaw? Żeby wywiódł początek swego rodu od Karola Świętego, nosił cię na rękach i ostrzył sobie zęby na moją koronę? Nie, córko moja! Zostaniesz królową Dwunastu Ziem. To małżeństwo zapewni spokój na naszych granicach... Co zaś się tyczy twego przyszłego męża, dam ci pewną radę: powij mu jak najszybciej prawowitego następcę, a potem zabawiaj się, jak zechcesz. Powtarzam, Małgorzatko, ze wszystkich ewentualnych małżonków ten jest najlepszy nie tylko dla Targali, ale i dla ciebie. A może wołałabyś zostać żoną księcia Olafa? Także pragnie ze mną sojuszu. Czemu milczysz, córko?

- Myślę, ojczcie... myślę o smutnej królewskiej doli! Kupują żony i sprzedają córki. Okrutną radę mi dałeś, mój ojczcie i królu.

- Twoja matka postępowała dokładnie tak samo. „Och, Małgorzatko... kiedy to wyuczyłaś się tego palącego spojrzenia?”

- Słyszałam o tym, ojczcie. Nasz dwór uwielbia plotkować.

- To czysta prawda, córeczko. Podobnie jak to, co mogłaś usłyszeć o mnie. - Król szczyrzy się wściekle i mruży oczy, na jedną nieuchwytną chwilkę upodabniając się do rozdrażnionego dzikiego kota. - Słyszałaś przecież, nieprawdaż?

Księżniczka rumieni się i prędko spuszcza oczy. Król wybucha krótkim, ochryplym i straszonym śmiechem, potem mówi do niej cicho i niemal czule:

- Ja i twoja matka od początku nie mieliśmy żadnych złudzeń. Królewskie mariaże to polityka i tylko polityka. Pogódź się z tym, córko, i zapomnij o swoim Gustawie.

W tej chwili śmieje się Małgorzata:

- Ależ, ojczcie, on wcale nie jest mój! Zamydlił mi ludziom oczy! Gustaw kocha Julię, a pan Gotwiński... sam chyba rozumiesz? Natychmiast wydałby ją za jakiegoś bogatego sąsiada... tak samo, jak ty mnie... - Księżniczka chmurzy na chwilę liczko, lecz zaraz uśmiecha się zadziornie. - Ty jednak nigdy nie zabraniałeś mi robienia słodkich oczu do kawalerów, ojczcie i królu!

- A kiedy miałabyś radować się całym sercem, jak nie w panińskim stanie - odpowiada król z namysłem. - Tak mawiała twoja matka, przyznając się do minionych grzeszków. Dobrze nam się żyło z nią, Małgorzatko. Dla pary monarszej znacznie ważniejsze

jest rozumieć się nawzajem, niżli się miłować. Pamiętaj o tym, córko. Więc twoja Julia także kocha tego Gustawa?

- Ojczy, chyba nie powiesz o tym panu Gotwińskiemu?

Król chichocze:

- Sprytna jesteś, córeczko! Doskonale wiesz, jak zły jestem na niego, odkąd udzielił w Gotwiniu schronienia opatowi Witasowi! Nie sądzisz chyba jednak, że wydam Julię za mąż na złość jej zarozumiałemu ojczulkowi?

- Ojczy! - Małgorzata zrywa się i klaszcze w dłonie. - To wspaniały pomysł!

- Jednakże, aby zrobić coś takiego, trzeba ważnej przyczyny, córeczko! Nawet król nie może rozporządzać samowolnie córkami swoich poddanych!

- Coś takiego! - Małgorzata hardo unosi ostry podbródek i marszczy pogardliwie nosek. - Kto jak kto, ale ty, mój królu i ojczy, możesz przy mnie nie mówić o prawach. Chyba wszyscy twoi poddani dawno już sobie uświadomili, że najwyższym prawem w Targali jest królewska wola.

- Dodaj jeszcze, że pan Gotwiński jest prawie buntownikiem!

- A jakimże to prawem ośmielił się ciebie rozgniewać? - niewinnie podkreśla księżniczka, jakby nie dostrzegając ironii w słowach ojca.

Serce króla topnieje. Nie miał zwyczaju odmawiać córce niczego, a już szczególnie w takim dniu...

- Małgorzatko, przecież przyszłaś tutaj uzalić się nad własnym ślubem? Czemu zatem kłopotujesz się cudzym?

- Co w tym złego, jeśli chociaż ktoś obok ciebie będzie szczęśliwy? - odpowiada ze smutkiem królowna. - Nie jestem przecież głupia. Doskonale pojmuję, że skandal byłby głupotą, że lepszy Andrzej niż Olaf, że pokój ze wschodem ważniejszy jest niż szczęście biednej dziewczyny, która miała pecha urodzić się królewską córą... Ach, ojczy! Czemu życie jest takie niesprawiedliwe?

- Wypłacz się, córko - wzdycha monarcha. - Wypłacz, póki jesteśmy sami. Jutro musisz przynajmniej wyglądać na szczęśliwą. Dziecko moje, królowie są niewolnikami swego przeznaczenia. Taka jest cena władzy nad losem innych.

- Ojczy, mój ojczy...

- Pogódź się z tym, Małgosiu. Twoja matka też się musiała pogodzić, a i ja poślubiłem ją z ciężkim sercem.

- A Nina? - pyta ze złością księżniczka.

- Cóż, Nina? - Król wzrusza ramionami i w jego głosie daje się słyszeć tylko

przepełnioną zmęczeniem obojętność. - Nina dała mi dziedzica. Gdyby nie było Karola, do mojej korony pretendowałiby twój mąż albo potomek twojej ciotki, Oliwii. Dwóch wątpliwych pretendentów daje w efekcie rozruchy, rozumiesz?

- Oczywiście, ojczu. Mówiłam już, że nie jestem głupia. Miałam na myśli coś innego. Czy matka następcy tronu także się musiała pogodzić?

- No cóż, niezbyt ją ograniczam. Słyszałaś coś także o niej?

- Znacznie więcej - rzuca pogardliwie księżniczka.

- Karol jest moim synem, a Nina wystarczająco go kocha, żeby być dobrą matką. To mnie całkowicie zadowala. Uspokoilaś się już, córeczko?

- Chyba tak...

- Odejdź więc. I może... tak, przyślij tu pannę Julię.

- Natychmiast, ojczu! - Małgorzata umyka, unosząc w palcach wspaniałą balową suknię, a echo jej lekkich kroków szybko cichnie za drzwiami.

Król Henryk Groźny opuszcza głowę na zaciśnięte pięści i szepcze, wzdychając, zbolalym głosem:

- Ach, Małgosiu... zaiste jesteś córką swej matki, Małgorzato.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Noc ogarnia świat. Milkną daytime hałasy, a niespieszne wieczorne rozmowy zamierają wśród kamiennych murów. Cisza... lubiłem ją kiedyś. Od jakiegoś jednak czasu dławi mnie niczym kamień nagrobny. Świat wokół mnie rozwiewa się, niknie, osacza mnie pustka niebytu. Boję się...

Mam przecież jednak dokąd uciec przed tą nocną grobową ciszą i przed zanikającym światem! W wizji wszystko może się zdarzyć - ale chyba nie w tej, w której porzuciłem króla Henryka Okrutnego.

### **4. SZLACHETNIE URODZONA PANNA JULIA,**

#### **OFICJALNA PRZYJACIÓŁKA KSIĘŻNICZKI**

#### **MAŁGORZATY**

Cicha jest noc w królewskim gabinecie. Tutaj można zapomnieć o uczcie w Wielkiej Sali... Gdyby można było zapomnieć! Ta huczna uroczystość jest klęską Targali, klęską i hańbą, za którą musi płacić właśnie król! Płacić własną córką! I trzeba przy tym rozplýwać się w

uprzejmościach, błyszczeć wspaniałą gościnnością, żeby wydać się w pełni zadowolonym, a nawet szczęśliwym! No cóż, Małgorzatka zawsze była mądra, więc to zrozumiała. Król spełni zatem ostatnią prośbę swej córki, a nie królowej Dwunastu Ziem. Jej Julia wyjdzie za Gustawa i niech się tylko pan Gotwiński ośmieli okazać niechęć!

- Szlachetnie urodzona panna Julia prosi o pozwolenie rozmowy z królem. -  
Wartownik pojawił się w drzwiach niczym nieśmiały cień, gotów w każdej chwili zniknąć i odprawić petentkę.

- Niech wejdzie, oczekiwałem jej.

Wąskie dłonie, złote loki. Głęboki dworski dyg i równie głębokie szare oczy, spoglądające na władcę z rozpaczliwą nadzieją.

- Płakałaś, Julio?

- Mój królu, ja... - Julia zaciska drżące wargi i na krótką chwilę przymyka oczy. -  
Miałam dziś smutny dzień, miłościwy panie.

- I cóż zasmuciło tak uroczą pannę?

- Proszę się tylko nie gniewać, mój królu! Ślub Małgorzaty wcale mnie nie cieszy.

- Dlaczegoż to?

- Miłościwy panie...

- Dzieweczko, tylko nie kłam swojemu władcy. Nie potrzebuję zapewnień o twym oddaniu ani wielkich słów o obowiązkach poddanego. W czym to małżeństwo ci wadzi?

- Było mi dobrze przy Małgorzacie, mój królu. Przyjaźniłyśmy się nie tylko dlatego, że tak wymagał ceremoniał... A teraz odjedzie daleko i nigdy więcej się nie zobaczymy.

- To wszystko?

Długie, przerywane, przypominające jęk westchnienie.

- Jeszcze jednego człowieka będę musiała pożegnać, kiedy opuszczę dwór.

- Kim on jest, panno Julio?

- Jednym z królewskich gwardzistów.

- To tak? Córka pana Gotwińskiego z gwardzistą? Dwór tego nie zaakceptuje, miła panno.

Julia potrząsa głową i jaskrawy rumieniec zalewa białą skórę mieszkanki północy.

- A co mi tam dwór! Mój Gustaw więcej wart niż oni wszyscy!

- Więc to Gustaw zawrócił w tej ślicznej główce, moja panno? Płakałaś z jego powodu?

Julia potwierdza skinieniem, król zatem, nieznacznie uśmiechnięty, zadaje najważniejsze pytanie:

- I marzysz o tym, żeby zostać żoną królewskiego gwardzisty, panno Gotwińska?

- Tak - odpowiada ledwie dosłyszalnie.

Król Henryk bacznie obserwuje w milczeniu na stojącą przed nim dziewczkę. Nie uznałby jej za absolutną piękność, ale cóż, o gustach się nie dyskutuje. Małgorzatka ma bardziej wyrazistą, rzucającą się w oczy urodę. Jego Małgosia, tak podobna do matki... Małgosia jednak lubi pokazać swój charakter, Julia zaś jest miła i delikatna. Zdumiewające, jak dwie tak różne dziewczyny stały się przyjaciółkami? Julia, pierwsza dama królestwa zaraz po Małgorzacie, z gwardzistą Gustawem...

- Proszę usiąść. - Król wstaje i ujmując pannę za czubki paluszków, prowadzi ją do fotela, który niedawno zajmowała jego córka. - Chciałbym z panną poważnie porozmawiać.

- Zamieniam się w słuch, miłościwy panie.

Król Henryk poświęca parę sekund, szukając odpowiednio łagodnych słów. Chce być uczciwy, jakże jednak powiedzieć wprost tej milej dziewczeczce, że jej miłość jest być może tylko upragnioną nagrodą dla ubogiego karierowicza? Obrazi się! I być może słusznie. Dla władcy Gustaw jest tylko jednym z czterech setek gwardzistów, nie najgorszym, trzeba to przyznać, jednak nawet król nie jest w stanie dociec, co kryje się w sercu młodego wojaka. Wystarczy, że wie wszystko o jego rodzinie. Czy wie to również jego przyszła małżonka? Od tego trzeba zacząć, decyduje.

- Miła panno, jestem zdumiony i rozczarowany. Z taką urodą i wysokim pochodzeniem, bogactwem i wpływami swego ojca mogłabyś liczyć na najlepsze partie. A tutaj - najmłodszy syn barona Michaut! Widziałaś kiedyś tego barona, Julio? Ohydny bydlak, choć może nie wypada tak mówić przy damie. Jedyne, co potrafi, to spić się jak świnia i tarposić na sianie co ładniejsze wieśniaczki. Majątek prawie całkiem zrujnowany. Gospodarstwem po śmierci baronowej zajmuje się kapelan, człek dobry i pobożny, lecz kompletnie oderwany od spraw tego świata. Pierworodny następca zaś wdał się w tatusia i jako władca nie mogę pochwalić twego pragnienia, by związać się z taką rodziną, panno Gotwińska. Tfu!

- Och, królu mój - prędko odpowiada Julia - naprawdę porusza mnie twa troska! Ale prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie baron Michaut! Kocham Gustawa, a on kocha mnie. Szczęśliwy, bo nie musi się martwić ojcowskim błogosławieństwem!

- A to czemu? - Król marszczy brew.

Julia uśmiecha się nieśmiało:

- Baron, wysyłając najmłodszego syna do stolicy, od razu pobłogosławił go na dalszą drogę życia i nakazał, by nigdy więcej nie obarczał ojca ani brata swoją osobą. Gustaw jest



więc wolny od wszelkich zobowiązań, z wyjątkiem służby swemu królowi. Rodzina nie dba o niego ani o jego przyszłą małżonkę. Nie mogę tego powiedzieć o moim ojcu, dlatego cała nasza nadzieja zależy od woli królewskiej!

- Twój ojciec, moja panno, będzie musiał być posłuszny mojej woli, lecz nie pogodzi się z nią. Wolę nie myśleć o konsekwencjach! Ryzykujesz, Julio, nie tylko utratę posagu, ale również spadku.

- A co mi tam spadek!

- Doprawdy? - Król mruży złośliwie oczy. - A jeśli twój Gustaw łąkomi się na niego? Dzieweczko, żyję na tym świecie dłużej niż ty. I cokolwiek byś powiedziała, nie uwierzę w bezinteresowną miłość młodzika bez grosza przy duszy do bogatej dziedziczki, jak ty.

- To niemożliwe!

- To byłoby dobrze, ale może jednak? Przyjaźnisz się z Małgorzatą i obie jesteście romantycznymi gąskami! Powiedz mi, kto się o was zatroszczy? Kto będzie zdolny oprzeć się tej wichurze, która wywiała z waszych główek ostatki rozsądku? - Król reflektuje się i macha dłonią. - No dobrze, moja panno. Wiesz, gdzie jest teraz twój Gustaw? Niech się wypowiedzi przed królem z miłości do panny Gotwińskiej.

- Miłościwy panie... - Julia jest zbita z tropu i skonfundowana. - Trzyma wartę tej nocy. Strzeże sypialni księcia Karola. Błagam cię, panie, powiedz, czy mogę mieć chociaż nadzieję?

- Nie wiem, Julio. Najpierw porozmawiam z Gustawem. Idź do Małgorzaty i pozostaw wszystko w moich rękach.

- Królu, pozwól sobie towarzyszyć. Nie mogę dłużej dręczyć się niepewnością. Muszę się dowiedzieć...

## **5. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Coś mnie wrywa z transu. Zimno... Czyjeś chłodne dłonie na moich policzkach. Czyjeś głosy... W głowie kompletny zamęt.

- Gdzie jest brat medyk?

- Błażeju, ocknij się! Słyszysz mnie, Błażeju?

- Słyszę, słyszę...

- Chwała Bogu, ocknął się!

Co to znaczy „ocknął się” i z jakiego powodu ten rejwach wokół mnie, skoro wszystko ze mną w porządku?! Nie dadzą mi ust otworzyć, sadzają i okrywają ciepłym kocem, poją

słodkawym grzany winem...

- Ojcie Przewielebny - szepcze ktoś obok mnie.

- Co z nim?

- Przechodziłem obok i usłyszałem jakiś hałas, jakby stukot. Kiedy tu wszedłem, Błażej leżał bez zmysłów na podłodze. Błady i zimny.

W tej chwili zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo osłabiony. Ale przecież nie postradałem zmysłów? Miałem wizję. Pamiętam ją! Lecz stłoczeni tutaj bracia nie mogli jej zobaczyć... Moje spojrzenie przesuwa się po białych plamach twarzy, aż zatrzymuje się na szarfie króla Henryka, walącej się po podłodze, niczym zwykła szmata. Schylam się, by ją podnieść, ale ktoś mnie uprzedza.

- Nie zjadłeś obiadu, Błażeju. Mówiono mi, że się modliłeś. Godna pochwały gorliwość, ale wieczerza była skromna, a twój dar wymaga sił.

Opuszczam głowę. Oczywiście, Przewielebny ma rację. Nigdy jeszcze wizje nie kończyły się omdleniami, ale też nie miałem nigdy dotychczas tak długich transów. Dawniej były to oderwane, prawie bezmyślnie pojawiające się fragmenty... Zaiste polecono mi zadanie miłe Bogu! To na pewno znak, że nie powinienem bać się zaglądać w przeszłość.

- Nie należy się zaniedbywać, Błażeju.

- Wybacz mi lekkomyślność, Ojcie Przewielebny - mamrocę. - I wy przebaczcie mi, bracia. Wybaczcie, że was zatrwożyłem.

- Powinieneś odpocząć - powiada z łagodną wymówką Ojciec Przewielebny. - Nie będziemy ci przeszkadzać, tylko brat medyk posiedzi z tobą do rana. Połóż się.

Ojciec Przewielebny wychodzi, a za nim pozostali bracia. Sporo ludzi wystraszyłem, nie ma co mówić.

- Rozgrzałeś się? - pyta brat medyk.

- T-tak... - Spoglądam na blat stołu. Broszka panny Julii błyszczy z daleka i słyszę bardzo wyraźnie: „Nie mogę dłużej dręczyć się niepewnością...”. Julio, jakże cię dobrze rozumiem! Wizja jeszcze się nie skończyła, pozostawiając w mym umyśle nowe piętno. Wiem, że wkrótce nadejdzie odpowiedni moment. I to bardzo szybko. Co prawda, będzie to aktem nieposłuszeństwa, lecz Bóg widzi, że muszę się wszystkiego dowiedzieć! Jestem zdecydowany. - Bracie, nie udałoby się zdobyć dla mnie czegoś do jedzenia? Wiem, że to wbrew regule, ale może chociaż parę sucharków?

- Oczywiście - przytakuje brat medyk. - Nie czas teraz myśleć o regułach. Zaraz coś przyniosę, a tymczasem napij się tego.

Wlewa do czarki z wodą ciemną, ostro pachnącą nalewkę. Piję napar i z każdym

łykiem przepelnia mnie coraz bardziej dziwna, pełna znużenia otucha, jakbym powrócił z długiej, męczącej, lecz przyjemnej przechadzki. Brat medyk wychodzi. Odstawiam opróżnioną czarkę na stół i chwytam na oślep srebrną broszkę. Wizja przychodzi niemal natychmiast.

## 6. GUSTAW, KRÓLEWSKI GWARDZISTA

- Co z tobą, Gustawie? Cóż z ciebie za mężczyzna, skoro pozwalasz dziewczynie wstawiać się za tobą?

- Miłościwy panie, ja... Julia?!

- Ach, Gustawie! Wcale nie miałam takiego zamiaru, tylko zwierzyłam się Małgorzacie! Tak się złożyło, kochany...

Zapominając, że miała trzymać się z boku, robi kilka szybkich kroków w stronę Gustawa, więc król powstrzymuje ją gwałtownym, niemal brutalnym gestem:

- Gwardzisto, to ja z tobą rozmawiam!

- Mój władco - gwardzista zgina kolano, przyklękając - jako prawy wasal zwracam się do swego suwerena z prośbą o rękę panny Julii, która stoi obok i gotowa jest przychylić się do mojej pokornej prośby.

- Prosisz o megalians, Gustawie. Czy to wypada, by prosty gwardzista prosił o rękę córki wielmoży? Jej ojciec uzna, że chcesz się wywyższyć przez korzystny ożenek.

- Dlatego właśnie nie zamierzam prosić o jej rękę pana Gotwińskiego, lecz odwołuję się do królewskiej łaskawości. - Gustaw spuszcza głowę i cicho dodaje, co kontrastuje z oficjalnym tonem rozmowy: - Kocham ją, królu.

- Kochasz... - Drwiący uśmiezek wykrzywia królewskie wargi. - Ściągasz na nią ojcowską klątwę. Z czego będziecie żyli? Z żołdu gwardzisty?

- A czyż nie utrzymuję się z niego od siedmiu lat? Mój królu, w stolicy jest wystarczająco dużo głupców ostrzących szpady na naszych gwardzistów, a jeszcze więcej bałwanów gotowych zakładać się o wynik utarczki.

- Dobrze o tym wiem. - Król uśmiecha się z lekka i zaczyna mówić przez nos, przedrzeźniając zbiegłego opata Witasę: - A cały ten nieporządek wynika z królewskiej pobłażliwości.

- Wiesz zatem także, mój królu, że gwardziści słono każą płacić za lekcje walk. Dopóki zdołam utrzymać szpadę w dłoni, moja rodzina nie będzie biedować.

- I ty, Julio, godzisz się tak żyć? - pyta ostro monarcha.

- Z Gustawem... tak! - odpowiada zdecydowanie panna Gotwińska. I spuszcza oczy,

cała w pąsach.

- No cóż... - Pełne wargi króla znowu wykrzywia uśmiezek. - Ostatecznie wszyscy wasale są równi przed swoim suwerenem. Błogosławię wam, dzieci, życzę, byście żyli w miłości i zgodzie. Od tej chwili jesteście narzeczonymi, a o wyznaczenie dnia ślubu poprosimy po nabożeństwie naszego opata.

# KRONIKI KRÓLEWSKIE

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Uśmiecham się. Karmią mnie teraz łyżeczką i nie pozwalają wstawać na zbyt długo. Brat medyk ruga mnie wtedy, a wtórują mu dwaj bracia strażnicy. Ojciec Przewielebny przydzielił mi czterech wartowników, żeby mnie obserwowali na zmianę, nie pozwalając naruszać ustalonego porządku. Kazał na dodatek zabrać wszystko z mojego stołu i zagroził, że gdy wstanę, nałoży na mnie pokutę. „Trzeba przyjąć cierpienie z pokorą” - jak powiedział, wyszczerzywszy całą szczerbatą gębę, brat Sergiusz, ledwie zamknęły się drzwi za Przewielebnym. Brat Sergiusz odnosi się lekko ironicznie do naszego przewodnika, lecz nie ma w tym złośliwości. Lubię go. Słyszałem, że trafił do klasztoru, uciekając przed królewską strażą leśną. Muszę koniecznie wypytać go o szczegóły, kiedy się bliżej poznamy. Bez wątplenia miał dużo szczęścia: w lasach królewskich nie da się swobodnie kłusować, wiem coś na ten temat...

Nudzę się i tylko towarzystwo braci jest pociechą. Gderanie brata medyka, ironiczne żarciki brata Sergiusza, żołnierskie opowiadki brata Jana. Milczenie dwóch pozostałych strażników, których do tej pory nie poznałem z imienia. Milczą nie dlatego, żeby mieli coś do mnie, po prostu są z natury małowówni. Uśmiecham się do nich. A także do swoich myśli. Dawno, dawno temu Julia i Gustaw kochali się. Cieszę się, gdy o tym myślę. W ciągu najbliższych dni znowu nabiorę sił. Niech nawet i będzie pokuta! Za to potem powrócę do dochodzenia. Może zobaczą ich wesele. Lubię ich za to, że ich uczucie się spełniło i uwielbiam Małgorzatę, że u progu niechcianego małżeństwa dopomogła spełnić się cudzej miłości. Może i ty znajdziesz swoje szczęście, księżniczko Małgorzato? Uśmiecham się.

- Ojciec Przewielebny przysłał mnie, bym wspólnie z bratem Błażem studiował stare kroniki.

Brat bibliotekarz oburącz przyciska do piersi grubaśny foliał, więc brat Sergiusz zamyka za nim drzwi.

- Umiesz czytać, Błażeju?

Zmieszany wzruszam ramionami. Mogę przeczytać szyld nad wejściem do karczmy...

Kiedyś potrafiłem. Jako tako też rozszyfrowuję napisy pod scenami z żywotów świętych na ścianach w klasztornej rozmównicy. Ale wziąć się za kroniki...

- Nic trudnego - zapewnia mnie brat bibliotekarz. - Potrzebne są tylko gorliwość i wprawa.

- Nie brak mu gorliwości. - Brat Sergiusz spogląda wymownie na pusty stół. - Wspomnicie moje słowa, jeszcze go trzeba będzie hamować.

Czerwienię się na twarzy.

- A wprawa, Błażeju, sama się z czasem pojawi. Zaczniemy od najłatwiejszych rzeczy.

Brat bibliotekarz triumfalnie otwiera starą księgę. Muskam ostrożnie czubkami palców brzeg strony. Jest żółtawa, gładka w dotyku, cienka, ale mocna.

- To papier?

- Tak - potwierdza bibliotekarz. - Nie taki, jaki przywożą do nas chandzarscy kupcy, lecz znacznie droższy. Nawet dzisiaj jest bardzo drogi, a cóż dopiero wtedy... Wyrabiają go w dalekim kraju za morzem południowym, poza granicami Imperium Chandzarskiego. Nikt nie wie, gdzie dokładnie. Lepiej nie wtykać nosa do handlowych sekretów. Dawni królowie Targali kupowali go, płacąc futrami niebieskiego lisa polarnego na wagę. Ile zaś płacą teraz... według mnie to tajemnica stanu.

- Równowagę futra lisiego? - Brat Sergiusz unosi w dłoniach ciężki tom, pogwizdując z podziwem. - Nieźle! Na taką księgę poszły pewnie trofea trzech, czterech lat! Nie prościej było wyprodukować swój papier?

- Ówczesni królowie uważali oszczędność za hańbę - wyjaśnia brat bibliotekarz. - Zazdrościli sławy sąsiadom, swoją zaś cenili wysoko, częściej nawet w takich drobiazgach niż istotnie wielkich dokonaniach.

Podnoszę księgę. Jest ciężka, ale znaczną część jej wagi stanowi gruba oprawa wykonana z dobrej jakości drewna różanego.

- Sergiuszu, czyżby lis polarny był tak lekki? - pytam. - Myślałem, że przeciętnej wagi futro nie jest bardzo tanie, ale także nie aż tak rzadkie.

- No cóż - potwierdza brat Sergiusz - wystarczająco drogie i rzadkie, żeby odróżnić dworskie damy od bogatych mieszczanek, którym wolno nosić tylko lisie i wiewiórcze futra. Masz rację, Błażeju, jeśli chodzi o zwykłe futerko. Kiedy mówimy o białym lisie. Ale niebieski... - Sergiusz przymyka oczy. - Niebieski lis zdarza się jeden na setkę białych. Dziesięć lat bez mała żyłem, polując na ich futra, sporo tego upolowałem i sprzedałem, ale o niebieskim słyszałem tylko bajania.

- Ja widziałem. - Wzrusza ramionami brat bibliotekarz. - Dawno temu, gdy byłem

jeszcze smarkaczem. Pamiętam, jak poszedłem podziwiać wjazd poselstwa z północy. I wiecie, co wam powiem: patrząc z daleka, w dodatku niewprawnym okiem, nie dostrzegłem żadnej różnicy. Nie rozumiałem jej, dopóki mi nie wytłumaczyli. No, dobrze, szkoda czasu, weźmy się do roboty. Czytaj, Błażeju. Dasz radę?

Pochyliam się nad księgą. Dam radę... Tekst miejscami trochę niejasny, ale zrozumiałą. Litery starych kronik nie różnią się niczym od używanych obecnie, tyle że atrament wyblakł z biegiem czasu. I pomyśleć tylko, jak dawno temu były spisywane... Tak wiele niezliczonych lat oddzielających nasz spokojny świat od Trudnych Czasów. Ze skrywanym dreszczem wodzę drżącym palcem po liniijkach.

„Zaiste, dzicy są nasi sąsiedzi, w ciemnocie swej niepojęci. Rozbili armię Targali na Wilczej Przełęczy. Ograbili do cna Przygórze. Zmusili swymi knowaniami chandżarskich kupców, by podnieśli ceny na najlepszą pszenicę, na wełnę i bawełnę, ryby, masło i wino. Ich korsarze zablokowali i uczynili niedostępnym dla handlu północne wybrzeże. I oto teraz, doprowadziwszy Targalę niemal na skraj klęski głodowej, proponują polityczny mariaż, który ma być podstawą wiecznego pokoju!”

Wstrzymałem oddech i otarłem pot z czoła.

- Zmęczyłeś się? - współczująco pyta brat bibliotekarz.

Tak, zmęczyłem. Oczy nie wytrzymują zbyt długiego wysiłku. Nie chcę się jednak do tego przyznawać. Czytanie przychodzi mi z trudem, ale jeszcze gorsze jest co innego. Przebrnąwszy ledwie ćwierć strony, z przykrością i ze zdumieniem zaczynam czuć się jak smarkacz niemający o niczym pojęcia. Oczywiście słyszałem o klęsce na Wilczej Przełęczy. Co drugi minstrel rozpoczyna opowieść o świętym Karolu właśnie od tego krwawego i okrutnego epizodu. Lecz co ma tutaj do rzeczy Przygórze? Jaka rolę mogła odegrać w tej wojnie maleńka przygraniczna dolinka, której mieszkańcy zajmują się myślistwem i koszeniem traw, a żeby przeżyć hodują kozy i utrzymują małe ogródki? Co można tam było rabować? I czyżby tylko Chandżarowie handlowali pszenicą, wełną i rybami? A w dodatku: któryż kupiec wywinduje ceny tak wysoko, że nikt nie może kupić jego towarów?

Oczywiście nie wszystko rozumiem z zawłości handlowych, ale wystarczy to wziąć na zdrowy rozum!

- Możemy kontynuować później - proponuje brat bibliotekarz. - Odpocznij. Tylko pamiętaj: będziesz musiał to wszystko przeczytać.

- Wszystko? - odpowiadam tępym pytaniem.

- Cały tom. Taka jest wola Przewielebnego.

- Pokuta nie gorsza niż inne - mówi z uśmiechem Sergiusz.

- Błazej sobie poradzi - oświadcza z przekonaniem brat bibliotekarz. Chciałbym mieć jego pewność!

- Rozumiem - szepczę. - Oczywiście, powinienem poznać całość. Dziwię się tylko...

- Co cię niepokoi, Błazeju?

Zajakując się, ubieram w słowa wątpliwości:

- To, co właśnie przeczytałem, wygląda na przekaz domysłów i pogłosek. Czy tak powinny wyglądać Kroniki Królewskie? Chcę przez to powiedzieć: czy te zapiski można uznać za wiarygodne?

- Niekoniecznie - odpowiada brat bibliotekarz z westchnieniem. - Masz rację, Błazeju. Sporo jest takich miejsc w owych kronikach. Cóż począć, kronikarze także byli ludźmi, mylić się zaś jest rzeczą ludzką. Zazdrościć bogatemu sąsiadowi, schlebiać silnemu, wreszcie łączyć ze strachu lub złości. Mimo wszystko, powinieneś to wszystko przeczytać i zrozumieć... a jeśli taka będzie wola Boża, oddzielić ziarno od plew okrytych brudną łuską pogłosek i domysłów. Wówczas być może zdołamy napisać prawdziwą wersję wydarzeń.

Wzdrygam się lekko. Przez mgnienie oka zazdroszczę bratu bibliotekarzowi jego naiwnej żądzy, jego wiary w czystą prawdę. Jest przecież starszy ode mnie i mógłby być moim ojcem! A jednak wierzy. Ja zaś... zdążyłem tymczasem przekonać się naocznie i odczuć na własnej skórze, jak bardzo brudna i ohydna bywa czasem ta czysta prawda. Tak brudna, że oczywiste kłamstwo może się okazać jedynym ratunkiem. Tak ohydna, że wolimy zawierzyć kłamstwu, które nie odbiera złudzeń. Przestań o tym myśleć, Błazeju! Zapomnij. Żyjesz obecnie w czystości i świętości zakonnej wspólnoty, spłynęła na ciebie Boża Światłość. Poszczęściło ci się, więc zapomnij! Nie wspominaj brudów tego świata. Tutaj, w promieniach Bożej Światłości, prawda rzeczywiście jest samą czystością. I to, co mój dar oczyści z pomroki wieków, może wyjść tylko na dobre.

Końcami palców ostrożnie gładzę wyslizganą przez wieki okładkę. I zastanawiam się: czy właśnie od tego powinniśmy zacząć poznawanie prawdziwej wersji? A może nie? Czy musi być powód, że minstrele zawsze rozpoczynają opowieść od klęski na Wilczej Przełęczy? Chociaż udział w niej księcia Karola polegał jedynie na tym, że tego dnia się urodził? A tutaj: swaty.

- A co z poprzednim tomem? - pytam. - Powinniśmy w nim znaleźć szczegóły o Przygórzu, korsarzach i początku wojny. I o jej przyczynach! Chodzi mi o to, że ta opowieść zaczyna się od swatów.

- Poprzedni tom zaginął.

- Jak to się mogło stać?



- Mogło i tak jest lepiej. - Brat bibliotekarz wzdycha ledwie dosłyszalnie.

- Ale dlaczego?!

- Nie wszystkie brudy należy wywlekać na Światłość Bożą. O niektórych rzeczach lepiej zapomnieć. Owszem, w tamtych latach mogły tkwić prawdziwe korzenie Trudnych Czasów, chcę jednak wierzyć, że ukryto je przed nami w dobrych intencjach. Chociaż minstrele zaczynają opowieść od momentu narodzin świętego Karola, Kościół uważa, że prawdziwym źródłem dalszych wypadków był ślub Małgorzaty.

- Ślub? - pytam. - Czyżby tak... takie nieszczęścia... - Potrząsam głową, próbując pozbierać rozproszone myśli w wypowiedź godną pokornego nowicjusza. - Proszę o wybaczenie. Czy jednak można ogarnąć tyle ważnych wydarzeń w ciągu jednego dnia? Tym bardziej dnia Bożych tajemnic?

- Czytaj, a zrozumiesz - przedkłada łagodnie brat bibliotekarz. Widzę, że spodobała mu się moja ciekawość. Bez wątpienia dał mi przedsmak długich godzin spędzanych nad rozwijającym się przed oczyma niedoświadczonego nowicjusza ogromnym malowidłem na płótnie przeszłości, wielu jeszcze zdziwień, pytań i odpowiedzi...

Trę oczy, mrugając powiekami. Czy zdołam jeszcze coś przeczytać? Muszę...

„Królewski wróżbita został dzisiaj wygnany”. Zaskoczony zaglądam wcześniej, czy czegoś nie pominąłem, skoro nastąpiła tak gwałtowna zmiana tematu. Jednak nie.

„Królewski wróżbita został dzisiaj wygnany. Ośmielił się podnieść głos przeciwko małżeństwu księżniczki Małgorzaty. Zuchwale twierdził, że związek ten spowoduje niezliczone nieszczęścia. Nasz wielki monarcha zamierzał początkowo osobiście zdjąć z karku głowę człowieka, który ośmielił się złowieszczyć w tak szczęśliwej chwili, w końcu jednak objawił nieoczekiwaną łaskawość, nakazując potwarcy, by wyniósł się natychmiast i nie pokazywał w granicach królestwa teraz i na wieki.

Zamęcie księżniczki ostatecznie postanowione. Poselstwo Dwunastu Ziem odjechało dziś rano, a księżę Grzegorz zawiózł swemu władcy układ podpisany przez króla Henryka Groźnego i nadobną królową Ninę. Pod koniec lata należy oczekiwać przybycia narzeczonego. Wtedy odbędzie się ślub i weselisko.

Obwieszczono to w całym Korwarzenie po mszy porannej wraz z modlitwą za pomyślność księżnej narzeczonej. Od jutra rozpoczną się ceremonie przygotowawcze i będą odprawiane dwanaście i jeden dzień, jak nakazuje tradycja.

Dzięki Ci, Panie, za kolejny dzień życia".

Dzięki Bogu stronica się kończy. Pozostawiony u dołu szeroki na trzy palce margines wypełnia zabawna winietka. Być może zabawna, ponieważ wszystko rozplywa się w moich

oczach, a litery rozpełzają się w bezlik czarnych znaczków...

- Kolejny dzień na następnej stronie - informuje brat bibliotekarz. - Zuch z ciebie, Błażeju. Widzę już, że nie będziemy dreptać w miejscu. Do jutra.

Ostrożnie zamyka księgę i unosi ją tak delikatnie, jak matka nowo narodzone dzieciątko. Mimo woli podążam w myślach za nim. Także chciałbym mieć grube tomiszcze zawierające opis początku Trudnych Czasów. Nie tyle dźwigać, na to jestem jeszcze zbyt słaby. Ale mieć dalej w rękach, przesuwać dłońmi po gładkim drewnie oprawy, wodzić palcem po drogocennym papierze. I przeczytać, jak przebiegały ceremonie przygotowujące Małgorzatę. Dwanaście i jeden dzień! Obecnie narzeczona przygotowuje się trzy dni i nie słyszałem, by gdziekolwiek było inaczej. No cóż, Trudne Czasy zniszczyły wiele odwiecznych tradycji.

Brat bibliotekarz jednak już poszedł, zabierając kronikę, a wraz z nim opuścił nas brat medyk. Pozostał ze mną tylko brat Sergiusz. Pilnuje, żebym nie naruszał narzuconego mi porządku.

- Smutne masz oczy, bracie Błażeju. Nie zdołałeś jeszcze dotrzeć do sedna?

- Wiem o świętym Karolu od dziecka, bracie Sergiuszu. Dopiero dzisiaj jednak dotarło do mnie, że wszystko to prawda. To się naprawdę wydarzyło, rozumiesz? Naprawdę istniała kiedyś księżniczka Małgorzata i miała malutkiego brata przyrodniego, księcia Karola. To oznacza, że jej syn rzeczywiście mógł go potem spotkać, jak głosi podanie. Naprawdę!

- Ciekawe tylko, który z minstrelów prawdziwie opisuje to spotkanie. W tej chwili przypominam sobie trzy różne wersje. A może cztery? Raczej cztery, albo i pięć...

Śmiejemy się razem. Zaczynamy przekazywać sobie nawzajem zasłyszane opowieści o pierwszym spotkaniu świętego Karola z księciem Walerianem, porównując je i uzależniając wiarygodność każdej od dawki i mocy wypitej przez danego barda domowej nalewki, piwa lub wina. Niezauważalnie schodzi nam na tym cały wieczór.

## **2. KRONIKI KRÓLEWSKIE TARGALI**

### **OPOWIADAJĄCE O CEREMONIACH**

### **PRZYGOTOWAWCZYCH KSIĘŻNEJ NARZECZONEJ**

### **MAŁGORZATY, TRWAJĄCYCH, JAK NAKAZUJE**

### **TRADYCJA, DWANAŚCIE I JEDEN DZIEŃ**

„Od samego rana zaczęły się modły za pomyślność naszego wielkiego króla i księżnej narzeczonej Małgorzaty, otwierające wspaniałe uroczystości uświetniające przyszły ślub. Błogosławiony ten mariaż przyniesie pokój na naszych granicach.

Królewska gwardia olśniewała dziarską postawą i wspaniałością rynsztunku, pałac królewski zachwycał odświętnym wystrojem, szczególnie Sala Tronowa (którą pospolicie zwą »wielką«, jako że większej i bardziej majestatycznej nigdzie nie widziano). Zgodnie z tradycją otwarto także Galerię Północną dla każdego, kto pragnął złożyć hołdy księżnej narzeczonej i naszemu wielkiemu władcy. I płynęła wielka rzeka ludzi po usłanej drogocennymi dywanami posadzce, ze ścian zaś patrzyli na nich, wzbudzając lęk, dawni królowie Targali, poczynając od Henryka Założyciela. Galeria tonęła w świetle. Nad trzema schodkami, prowadzącymi z Sali Tronowej do Galerii umieszczono wonny łuk spleciony z tysięcy hiacyntów i lilii, to jest kwiatów Korony, stopnie zaś wysypano miętą.

Trudno znaleźć odpowiednie słowa, by dokładnie opisać wspaniałości wystroju Sali Tronowej, oddać blask ceremonii przygotowawczych księżnej narzeczonej Małgorzaty, trwających dwanaście i jeden dzień. Powiem tylko, że czegoś podobnego nie oglądała żadna stolica, mogę też powtórzyć, co ludzie mówili, że będą mieli teraz co wspominać w długie zimowe wieczory i o czym opowiadać dzieciom i wnukom.

Księżna w ślubnej sukni zasiadała między naszym wielkim królem a nadobną królową. Z tyłu stali królewscy gwardziści, bliżej tronu zaś kapitan straży, pierwszy minister i świątobliwy opat. W pobliżu królowej stała przeorysza klasztoru Ii Chroniącej, u nóg księżnej przycupnęła jej oficjalna przyjaciółka, szlachetnie urodzona panna Gotwińska.

Pokłonili się księżnej narzeczonej słudzy Pańscy, błogosławiąc ją i związek jej. Pokłonili się wasale jej ojca, zapewniając na pożegnanie o swoim oddaniu. Składali życzenia posłowie z bliższych i dalszych krain, którzy akurat byli w Korwarenie. Na tym upłynął pierwszy dzień ceremonii. Potem jeszcze okrągły tuzin dni ludność składała dary księżnej narzeczonej.

Kłaniali się podczas owych dni stołeczni mieszczanie, przedstawiciele gildii handlowych i cechów rzemieślniczych, rusznikarze i inni majstrowie, a nawet zwykłe pospólstwo. Składali hołd delegaci z innych grodów Targali, królewskich i magnackich, a także wysłannicy wolnych miast Sebasty Nadmorskiej i Sebasty Górnej. Osadnicy z koronnych ziem, królewscy myśliwi i gwardziści. Wykładowcy i studenci Szkoły Królewskiej i Uniwersytetu Korwareńskiego oraz innych klasztornych szkół błogosławili monarsze i jego córce, wysławiając zawarty pokój. Sławili z głębi serca przyszłe małżeństwo wszyscy mieszkańcy Złotego Półwyspu.

Nie zamierzam tutaj wymieniać niezliczonych darów, jakie otrzymała księżna narzeczonej, gdyż lista zajęłaby zbyt dużo miejsca. Spisał ją dworski skarbnik, mając do pomocy aż trzech skrybów.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym zdarzeniu, jakie miało miejsce pod koniec ostatniego dnia ceremonii przygotowawczych. Nieoczekiwanie, budząc ogólne zdziwienie, przyszły się pokłonić naszemu królowi gnomy, to jest podziemni nie ludzie. Mali wzrostem, grubi i szkaradni, w liczbie siedmiu, także przynieśli dary, przemawiając uprzejmie, ale bez czołobitności, a ich prośby brzmiały niczym żądania. Nasz dobry władca pociemniał na twarzy, słysząc przemowę nie ludzi, lecz mając na względzie dzień uroczysty, kazał im odejść w pokoju, nie odpowiadając na ich zuchwalstwo.

Tak oto przeszło dwanaście i jeden dzień, dnia zaś następnego nic się nie wydarzyło, jako że nawet królowie muszą kiedyś odpocząć, zwłaszcza przed kolejnymi uroczystościami. Dzisiejszego dnia nasz wspaniały władca udał się wraz z córką w objazd z pożegnalnymi rewizytami. Opowiem o tym, kiedy już z nich powrócą.

Na zamku rządzi tymczasem nasza nadobna królowa, robiąc porządki po ceremoniach i oczekując na powrót małżonka.

Dzięki Ci, Panie, za kolejny dzień życia".

# O PODZIEMNYCH NIELUDZIACH

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Nieoczekiwanie prędko przyzwyczajam się do czytania. Nie, to nie tak! Brat bibliotekarz wraz ze swoim opasłym tomem wszedł szybko i trwale w moje codzienne życie. Z trudem odrywam się od opisu ceremonii przygotowawczych Małgorzaty, żeby zjeść obiad, kiedy zaś brat medyk zaleca mi drzemkę poobiednią i kontynuację czytania następnego dnia, żeby nie przemęczać oczu, złościę się całkiem niestosownie. Namawiam brata bibliotekarza, żebyśmy czytali też po kolacji - tyle jeszcze tego zostało! Brat medyk odszedł, dotknięty do żywego. Najwidoczniej doniósł Ojcu Przewielebnemu o kolejnej „nadgorliwości”, skoro następnego dnia brat bibliotekarz nie przyszedł do mnie wcale.

Proszę brata Jana, aby go wezwał. Jednak zamiast niego i bibliotekarza z kroniką pod pachą przychodzi brat Sergiusz. I powiada z ironicznym współczuciem:

- Brat bibliotekarz, jeśli chcesz wiedzieć, pracuje dzisiaj z Ojcem Przewielebnym. Przyjdzie do ciebie jutro. Bratu Janowi zaś niezłe się dostało za to, że zostawił cię samego. Będzie teraz bić pokutne pokłony w kaplicy aż do wieczornego nabożeństwa. Ech, Błażeju, właściwie dlaczego cię tak lubimy?

Czuję, jak moje policzki pokrywają się rumieńcem wstydu. Cóż ja sobie wyobrażałem?! Zacząłem wydawać polecenia! I teraz dobry człowiek został ukarany z mojego powodu. Mnie Ojciec Przewielebny oszczędza i nie posyła na całodzienne modły bez obiadu i wieczerzy, za to brata Jana...

- Daj spokój. - Macha dłonią brat Sergiusz. - Nie przejmuj się głupstwami. Jan mógł nie iść, jest dorosły i sam odpowiada za swoje czyny. I wiesz co, bracie Błażeju... Nie sądzę, aby miał ci to za złe. Światłemu człękowi zawsze miło usłużyć, a ty przecież taki jesteś.

Nie wiem, jak zareagować na takie słowa. Nie mogę się już mocniej rumienić, choć gdyby to było możliwe, pewnie bym cały spaśowiał, gdyby tylko w jego słowach była choć odrobina uznania. Nie wiem dlaczego, lecz wiem na pewno, że powiedział to, co wydało mu się tak oczywiste i niezaprzeczone, jak niebo nad głową. I to o mnie! Jeden Pan Bóg wie, że częściej odganiali mnie niż zapraszali do ogniska, częściej przeklinali niż błogosławili...

Zdażyłem się do tego przyzwyczaić.

Bóg wie także, iż dopiero tutaj ogrzałem samotne serce...

- Płaczesz, Błażeju? Czyżbym cię czymś obraził, przyjacielu?

Kręcę głową, przygryzając boleśnie wargę.

- Błażeju... - Ciepłe dłonie Sergiusza ściskają moją rękę.

- Wybacz mi - szepczę. - To coś, czego nie oczekiwałem! Nigdy w życiu nie usłyszałem niczego takiego, rozumiesz? Nie oczekiwałem...

- Och, Błażeju! Masz, wypij to. Uspokój się. Wiem, że źle ci było na świecie. My wszystko wiemy. Przepraszam cię. Myślałem, że twoje rany zdażyły się już zabliznić. Jesteś teraz całkiem inny niż w pierwszych dniach, kiedy się tu zjawiłeś...

- To znaczy jaki? - pytam ze zdziwieniem.

- Normalny - odpowiada z ledwie zauważalnym, smutnym uśmiechem. - Całkiem jak ja, na przykład. W pierwszych dniach, można powiedzieć, zmagaleś się z własnym cieniem. Też podobnie jak ja. Więc wybacz mi. Powinienem pamiętać, że przeszłość nie znika tak szybko.

- Nie przepraszaj! - Jestem w stanie zdobyć się na wymuszony uśmiech, skoro wszystko w tym świecie wróciło na swoje miejsce. A jednak pozostałem w nim obcy. - Kiedy sam wspominasz, że byłeś... to bardzo dobrze, ale to jeszcze za mało. Ja także nie rozumiałem, że wszystko to za mało... - Zaplątawszy się zupełnie we własnych wywodach, biorę za rękę Sergiusza, jak ojca lub rodzzonego brata, gdybym ich miał, i powiadam: - Dziękuję ci, Sergiuszu. Dziękuję...

- No tak - odpowiada zmieszany - proszę bardzo! Posłuchaj, czytałeś wczoraj pod koniec o tych „podziemnych nieлюдziach”. Może o tym pogadamy?

- Z ochotą! - Z ulgą przyjmuję zmianę tematu, rozwieram palce i potrząsam głową, by przegnać resztki zakłopotania. - Och, czy... wybacz, bracie Sergiuszu... czy mógłbym mówić ci po imieniu?

- Och, żeż ty, no cóżeś ty - odpowiada. - Przecież jestem następcą tronu Wielkiego Imperium Chandzarskiego, przebywającym tu z tajną misją. Można się do mnie zwracać tylko pełną tytulaturą. A po imieniu to tylko z przyjaciółmi, z łaski swojej.

Zaczynam się śmiać wraz z Sergiuszem i trwa to długo. Czuję potem ulgę i jestem znacznie spokojniejszy.

- O co chciałeś zapytać? O mieszkańców podziemi?

- O to, co wczoraj przeczytałeś w kronikach. Oczywiście powinienem był spytać brata bibliotekarza, lecz na razie musimy na niego poczekać. W ogóle nie rozumiałem, co tam o

nich napisano?

- Jasna sprawa. Wyraźnie użyto słowa: „gnomy”.

- Tak? A „grubi i pokraczni”, nie, raczej „szkaradni”! Widziałem podziemnych, przyjacielu. Dziwnie wyglądają, inaczej niż my. Nie nazwałbym ich jednak grubymi i szkaradnymi!

Zastanawiam się: rzeczywiście, trudno nazwać gnomy poczwarami, podziemni nie są także grubi, lecz raczej krępi, muskularni i przysadziści. Są przecież jednak różni mieszkańcy podziemi? Czarodzieje, Stróże... Nie odróżniają się aż tak bardzo od zwykłych gnomów. To znaczy, w ogóle się odróżniają, zwłaszcza Stróże, lecz nie jest to widoczne na pierwszy rzut niedoświadczonego oka. Znacznie wyraźniej różnią się od ludzi.

- Może dawniej wyglądali inaczej? - mamrocze pod nosem. - Nie, co ja gadam! Skądże! Gdzie by się tamci podzieli?

- Była wojna - przypomina Sergiusz. - Trudne Czasy.

- Nie, to chyba nie to... Być może kronikarz króla Henryka Okrutnego chciał się mu po prostu podlizać. Widział przecież, że król był niezadowolony ze spotkania z gnomami. Podziemni zresztą także nazywali ową wojnę Trudnymi Czasami.

- Nie wiedziałem - dziwi się. - Ale dlaczego? Przecież to właśnie gnomy wszczęły wojnę z ludźmi?

- Być może dopiero teraz dokopiemy się, kto naprawdę zaczął...

- Dlaczego więc nie lubią wspominać o tej wojnie?

- Wybacz, Sergiuszu, ale się mylisz. Podziemni nie lubią jej omawiać z ludźmi. Ludzie mają gotowy pogląd, nieprawdaż? Od razu znajdują winnego. I ludzie nigdy nie są winni - dodają, mając też siebie na myśli. - Winny jest zawsze ktoś inny. Zawistny sąsiad albo kłótliva szwagierka lub nadęty sklepikarz. Albo przygarnięty przez rodzinę głupawy mążus bratanicy: „I jeszcze mędrka udaje, kompletne zero!”

- Skąd o tym wiesz? - przerywa moje niewesołe refleksje Sergiusz.

Skąd? Nie lubię wprawdzie wspominać tego po raz kolejny, ale jemu opowiem.

- Mój wujek robił interesy z podziemnymi. Byłem wtedy nieznośnie ciekawskim malcem. Z tych, co to wszędzie wściubiają nos i wszystkiego chcą spróbować... - milknę na chwilę, widząc zdziwienie Sergiusza, więc dodaję: - Dorastałem u wujka. Miałem niespełna sześć lat, kiedy mama... ojciec odszedł wcześniej. Wujek wziął mnie do siebie na ucznia. Wiesz, jak to jest na początku: „przynieś, wynieś, pozamiataj”. I tak dalej, w tym stylu. Ciotka mnie nie cierpiała, więc kręciłem się do wieczora w pracowni wuja.

- I sam nie wiem, kiedy wszystkiego się nauczyłem - dodaje za mnie Sergiusz.

- Wszystkiego, jak wszystkiego, ale czegoś tam się nauczyłem. Lubiłem gawędzić z podziemnymi. Co najdziwniejsze, nie mieli nic przeciwko temu. Uwierzysz, że odpowiadali na wszystkie pytania?

- O co pytałeś?

- O różne rzeczy - mówię, uśmiechając się do jedyne go jasnego fragmentu moich wspomnień. - O klejnoty. O Podziemie. Czym zajmują się Stróże i czy to prawda, że można spod ziemi sprawić, że sad uschnie lub nie obrodzi w danym roku, czy rzeczywiście żyją tam salamandry i krety wampiry. Odważyłem się też kiedyś zapytać o wojnę. Wujek pierwszy raz zabrał mnie ze sobą na jarmark. Wyobrażasz sobie, jaki byłem szczęśliwy? Podziemni umówili się tam z nim na spotkanie. Pamiętam jak dziś: słoneczny, wesoły dzionek, wujek z gnomami przegląda towary, ja kręcę się pod nogami, obok stragan z winem, przy którym minstrel śpiewa o świętym Karolu i księciu Walerianie. Chyba najgłupszą wersję ze wszystkich, jakie do dzisiaj poznałem. Wtedy mną jednak wstrząsnęła! - Uśmiecham się, wspominając drobiazgi. - Oczywiście, już wtedy wiedziałem, na ile poważnie można traktować minstrela po trzeciej butelce. Naturalnie nie zapytałem gnomów, dlaczego byli takimi niegodziwcami. Spytałem, jak przedstawiają nas, ludzi, w swoich baśniach? Odpowiedzieli, że Trudne Czasy to wcale nie baśń, a ludzie z podziemnymi nie odnosili się do siebie wówczas przyjaźnie. I wiele niedobrych rzeczy uczynili sobie nawzajem, powiadali. Pamiętam, jak oznajmiłem, że określenie „niedobre rzeczy” to słowa dobre dla smarkaczy, a ja już jestem duży i wystarczająco dorosły, żeby mnie poważnie traktować.

- I powiedzieli ci prawdę? - ledwie dosłyszalnie pyta Sergiusz. - Takiemu dzieciakowi?

- Towarzyszył im akurat czarodziej. Spojrzał mi w oczy i oświadczył: „Tak, jest wystarczająco duży, godzien poznania prawdy”. Godzien poznania prawdy, wyobrażasz to sobie? Straszne wrażenie, kiedy czarodziej gnomów patrzy ci w oczy. Sporo mi wtedy opowiedzieli. Cóż mogę rzec - chociaż, naturalnie, przemilczeli najgorsze rzeczy i tak do dzisiaj dreszcz mnie przenika na samo wspomnienie. Dowiedziałem się od podziemnych, że Trudne Czasy nie były tylko straszną bajką dla dzieci. Dasz wiarę, że owa wojna była dla nich o wiele straszniejsza? Nie ukrywali wcale, jak bardzo ucierpieli przez nich ludzie, ale im także nie było lekko: chociaż gnomy potrafią być niebezpiecznymi wrogami, ludzie też im dali popalić. Dlatego powinniśmy koegzystować, a nie wojować, gdyż wojna unicestwiłaby w końcu obie strony. Wówczas omal się coś takiego nie stało. Byłem zwykłym szczeniakiem, który słuchał tego wszystkiego z przerażeniem. Do dziś pamiętam, jak mi waliło serce, Sergiuszu.

- Teraz także ci mocno bije... - Sergiusz okrywa me ramiona kocem. - Masz, wypij



jeszcze nalewki.

- Czarodziej wziął mnie później za rękę i tak rzekł: „To było nie tylko straszne, ale potworne i ohydne, właśnie dlatego nie wolno tego zapomnieć, żeby Trudne Czasy nigdy się nie powtórzyły”. Pokazał mi też żywą salamandrę. Chciałem jej dotknąć, wyobrażasz sobie? Na szczęście zdążył mnie powstrzymać. Była piękna...

- Niesamowite - mówi zachwycony Sergiusz - i całkiem niepodobne do tego, co sobie dotychczas wyobrażałem o podziemnych. Opowiedz coś jeszcze, dobrze?

Kiwam głową i przyzymkam oczy. Wydobywam z pamięci ulubiony kąt znajdujący się w najmroczniejszej głębi sklepu wuja. Był tam kufer z dziełami gnomów. Po zamknięciu sklepu wujek pozwalał mi grzebać w nim, dotykać i podziwiać mistrzostwo ich rzemieślników. Wujek był jubilerem, lecz sprzedawał częściej cudze rzeczy niż wykonane przez siebie. Dobrze znał się na tej robocie. Pewnie dlatego podziemni prowadzili z nim interesy.

Sergiusz potrafi słuchać. Mnie zaś porywa własna opowieść, w której niegdysiejsze smutki stają się dzisiejszymi, a te obecne jeszcze długo nie nadejdą. Więc opowiadam o tym, jak gnomy przychodziły do wuja i w świetle lamp długo oceniali wspólnie wartość „roboty”. Każdą z tych rzeczy nazywali „robotą”. Oczywiście, jeśli przedmiot był tego wart. Wuj machał do mnie kościstą ręką: „Chodź tu, głuptasie! Zobacz”. Więc oglądałem. Patrzyłem i słuchałem. Gnomy nigdy nie mówiły o czystości klejnotu ani nie opisywały, ile ma karatów. Według nich każdy kamień obdarzony był charakterem i posiadał duszę. Dusza kamienia mogła objawić się pod wpływem obróbki, a mogła też zginąć. Tłumaczyli to tak:

- Wy, ludzie, nie widzicie istoty kamienia. Trzeba wam ją ukazać, bo dostrzegacie tylko to, co zewnętrzne. Wasze ręce nie nadają się do prawdziwej roboty. Umiecie wytwarzać tylko podróbki.

- No nie - sprzeciwiał się wujek - też mamy swoich mistrzów.

- Owszem - zgadzały się gnomy - ale powiedz szczerze, zacny Mikołaju, ty, który niemal pojmujesz duszę kamienia, czy ich mistrzostwo może się równać z naszą robotą?

- No cóż, na podróbki także jest popyt - odpowiadał z westchnieniem wuj. - Tym bardziej że nie winduję ich cen, jak niektórzy. Macie jednak rację, najmilsi: prawdziwy znawca zapłaci więcej i kupi wasze dzieło.

Mój świętej pamięci wujek miał swoje wady, ale na pewno nie było w nim fałszu...

- Dusza kamienia - powtarza w zamyśleniu Sergiusz. - Pięknie powiedziane. Tylko przepłacać za duszę... to jakiś nonsens. Mnie wystarczy, żeby nóż był odpowiednio ostry, manierka nie przeciekała, a wino rozgrzewało. I tyle.

- Właściwie nie zdążyłem się zbyt wiele nauczyć - wzdycham, wspominając ciężką rękę wuja. - Nie zdążyłem. Nie pożył długo, a ciotka... co tu dużo mówić... może sam się o to prosiłem.

- Przegnała cię? - Sergiusz porozumiewawczo mruży oko.

- Od razu, następnego dnia. A Bóg z nią i tak sam bym uciekł. Co to ja chciałem rzec... Aha, przy całej swej ignorancji, jestem w stanie rozpoznać na pierwszy rzut oka robotę podziemnych.

- Tak? - z zapalem pyta Sergiusz. - Możesz to udowodnić?

I wyklada przede mną na stół dwa noże.

Moje dłonie same wyciągają się ku temu, który wygląda starzej. Mocno używany i niepozorny... tym bardziej niepozorny w porównaniu z drugim: tamten też nie jest nowy, ale przyciąga oko wzorzystą rękojeścią, migoczącą cennymi jasnymi ametystami, inkrustowanymi w fantazyjne wzorki. Ostrze ma jaśniejsze, połyskujące drapieźnie. Wiem jednak, że ten pierwszy nieprędko się stępi i ręka nie ześlizgnie się ze skromnej, żłobionej rękojeści. Kładę go więc sobie na dłoni, a wtedy nadzieja, granicząca z pewnością, przepelnia mnie miłym ciepłem.

- Skąd go masz? - szepczę zachwycony. - Sergiuszu, ten nóż jest wart tyle, co połowa sklepu mego wuja.

- Daj spokój - odpowiada.

- Oczywiście, nie wygląda w pierwszej chwili na dzieło gnomów, ale to prawdziwa robota podziemnych. Do tego bardzo stara. Ten drugi natomiast, wybacz, to zwykła podróbka dla głupków. Ładniutkie cacuszko.

Sergiusz wybucha śmiechem.

- Można zwariować! Czy wiesz, że odgadłeś to jako pierwszy? Chociaż wcale bym nie powiedział, że wszyscy poprzedni zgadujący byli głupkami. Zgadza się, Błażeju, tamten to tylko bajer! Z tego powodu raz mi go nawet ukradli. A ten od gnomów... masz rację, nie trzeba go ostrzyć i świetnie dopasowuje się do ręki, bez żadnego problemu. Noszę go na pamiątkę po przyjacielu. Można powiedzieć, że był to pożegnalny podarek.

Wydaje mi się, że ostatnie słowa brata Sergiusza zabarwia ledwie słyszalna ironia, nie jestem jednak pewien - zbyt szybko ogarnia mnie mrok.

## **2. GNOMY, PODZIEMNI NIELUDZIE**

Podziemie...

Brązowa czasza z nigdy niegasnącym ogniem, siedlisko salamander, rzuca roztańczone

błyski na kamienną podłogę i niewysokie podwyższenie. Ściany i powała giną w pomroce, lecz ciemność nie jest przytłaczająca. Przeciwnie, każdego mieszkańca podziemi ogarnia tutaj triumfalne wrażenie swobody. „Serce Podziemia” - tak nazywają od wieków takie pieczary, a każda z nich jest święta.

Serce Podziemia. Starszy majster gnomów, krępy, o sękatych dłoniach z roztargnieniem poleruje ostrze noża. I bez tego błyszczy, lecz mistrz musi czymś zająć ręce, gdyż jest bardzo wzburzony.

- Serce Podziemia, Ogniu Niegasnący, w imię przepowiedzianych losów, niechaj spełni się tu i teraz!

Ludzka niewiasta, przyciskająca do piersi roczne dziecko, pogrążona jest w czarodziejskim transie i nie obawia się tego, co się dzieje. Uśmiecha się przez sen. Nie wolno jej budzić. Gdyby to nastąpiło, byłaby zdolna jedynie do bezsensownych lamentów. Kompletnie bezmyślna istota. Bardziej niż dzieciątko, które ciamka sennie na jej rękach. Księżę, nadzieja całego Podziemia, i jego karmicielka.

Całkiem inna sprawa ze stojącym obok nich królewskim strażnikiem. Męski honor to sens jego istnienia. Ranny i spętany zaklęciem bezruchu, nie uważa siebie za pokonanego. I ma słuszość, ponieważ to nie jego słabość i poniżenie potrzebne są Podziemiu, lecz dobrowolna pomoc. Ochronne amulety może zdjąć z księcia tylko ludzka ręka.

- Pomóż nam, człowieku, a pomożesz sobie!

Co za ironia - duma z goryczą starszy majster. - Widzimy duszę kamienia i potrafimy objawić ją profanom za pomocą swojej roboty. Widzimy też dusze ludzi, lecz nie potrafimy z nimi nic zrobić. Ileż było prób dogadania się! Oni rozumieją nas tylko wtedy, kiedy sami tego chcą.

Czarodziej mamrocze pradawne frazy, wkładając w nie całą moc rozpacz. Zaklęcie uległości, zaklęcie strachu, zaklęcie bezsiły, jedno za drugim czary gnomów oplatają młodego strażnika gęstą, dobrze widoczną dla doświadczonego oka pajęczyną. Boi się. Zobaczył bezdenną toń i nie wierzy w ratunek.

- Sam wybieraj swój los. Możesz pozostać tutaj, żywy lub prawie martwy, zależy, jak wypadnie. Możesz także powrócić do swego świata razem z księciem, który będzie miał nasze amulety zamiast ludzkich. Znajdziesz potem przypadkowo to, co wy, ludzie, nazywacie „skarbem gnomów”. Staniesz się bogaty i będziesz mógł rozkazywać innym. Jesteśmy gotowi dużo zapłacić za twą pomoc, człowieku. Bardzo dużo.

- Nie zdradzę swojego księcia.

- Wierz mi, człowieku, nie ma w tym żadnej zdrady. Uczynisz coś dobrego dla

wszystkich. Dla ludzi i dla nas.

- Jakże nie ma zdrady? - Strażnik krzywi twarz w nieudanej parodii uśmiechu. - Czyż nie przeniknęliście potajemnie do komnaty księcia, nie pochwyciliście nas za pomocą czarów i nie obezwładniliście straży?

Boi się. Uważa, iż jeśli nawet pójdzie na ugodę, czekają go potem tortury, po których rzeczywiście może być prawie martwy. Oprócz strachu jest jeszcze żal, iż miał takiego pecha, że musiało mu się przytrafić coś takiego zaraz na początku życiowej kariery. Prawdziwego pecha! Jest jednak silny i mężny. Jakże zdobią cię twoje męstwo i honor, głupi królewski strażniku! Nawet ta bzdura, którą ludzie zwą wiernością wasala, przestaje wydawać się bzdurna, kiedy rozpala niezłomnym ogniem twoje szare oczy. Odsłoniliśmy twą duszę i jest ona piękna, jak najczystszy z drogocennych kamieni. I cóż? Lepiej nam z tym? Skoro nie chcesz nas zrozumieć...

- Uwierz, człowieku! Nie pragniemy zdobywać waszego świata, chcemy tylko ochronić własny. Twój król nie zdobył się, by nas wysłuchać w imię dobrosąsiedzkich stosunków, może więc zechce to uczynić z powodu syna i następcy. Nie życzymy niczego złego waszemu księciu. Naszych amuletów nie przenika czarna magia.

- Wolę, by moje dłonie przestały dźwigać broń niż miały dotknąć waszych amuletów!

Z piersi starszego majstra wyrywa się westchnienie bardziej podobne do jęku. Nóż za chwilę wypadnie z drżących palców. Serce Podziemia, Ogniu Niegasnący! Nawet czarodziej, do tej pory zdumiewająco spokojny podczas owej trudnej rozmowy, teraz prawie krzyczy:

- Dlaczego, człowieku?! Przecież i tobie zła nie życzyliśmy. Właśnie sam siebie przekląłeś i nikt ci już nie pomoże.

W oczach nieszczęsnego młodzieńca jest tyle bólu... Czarodziej ostrożnie, płynnie zdejmuje zaklęcia. Chrypi ostatkiem sił:

- Przepuście pomoc. Dzisiaj przegraliśmy.

Królewski strażnik pada powoli i bezwładnie z głuchym, przeciągłym jękiem do stóp kobiety pozostającej w czarodziejskim letargu. Śpiąca wciąż się uśmiecha. Śni o swoim małym kobiecym szczęściu. Majster gotów jest rzucić się i podtrzymać głupiego chłopaka, który tak nieostrożnie wyrzekł Słowo przy Niegasnącym Ogniu, w Sercu Podziemia.

Lecz pomoc już nadeszła. Młoda dziewczeczka, bielsza od gipsowych lili, z wystraszonymi, lecz jednak odważnymi oczami. I groźny król. Władca wymierza policzek śpiącej karmicielce, ta zaś budzi się i rozgląda w oszołomieniu, a jej dłonie mocno przyciskają do miękkich piersi małego księcia. Zbudzony malec głośno się śmieje.

Śmieje się! Starszego mistrza i cofającego się pod ochronę Stróża czarodzieja w tej

samej chwili przenika otucha. Dobry znak! Dzisiaj przegrali, lecz jeszcze nie wszystko stracone.

- Idziemy, głupia! - Król jedną ręką podtrzymuje mamkę, drugą zaś pomaga dziewczecze podnieść z ziemi półprzytomnego strażnika. - Przebieraj nogami, dopóki się nie opamiętają!

- Podziemie was wypuszcza - szepcze czarodziej w ślad za uchodzącymi ludźmi. - Jaka szkoda, że nikt jeszcze nie wymyślił zaklęcia zrozumienia...

- Ech, oto, co warte są prorocтва - wzdycha majster, głaszcząc sękatymi paluchami rękójść noża. - Przegraliśmy, więc cóż nam pozostaje? Rozpocząć wojnę?

- Książę jest jeszcze mały - odpowiada czarodziej. - Proroctwo nie oznaczyło terminu. Dopóki książę żyje, jest dla nas nadzieja. Zaczekamy, aż podrośnie...

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Dlaczego to zrobiłeś? - Ktoś potrząsa mnie za ramiona. Podnoszę ręce i natrafiam na dłonie brata Sergiusza. Znów mi się kręci w głowie, ale to wszystko. Nie stało się nic strasznego. Co takiego zrobiłem? Ach, tak...

- Nie wiem. Samo tak wyszło. Przysięgam, że tego nie chciałem...

- Rozumiesz, że powinienem o tym donieść Ojcu Przewielebnemu?

Rozumiem. Także i to, że bratu Sergiuszowi przykazano mnie pilnować.

Ale przecież wcale tego nie chciałem! Nie miałem zamiaru! I zobaczyłem...

- Sergiuszu, widziałem ich! Gustawa i Julię! Króla Henryka i księcia Karola! Uprowadzili go, wyobrażasz sobie? I nikt o tym nie wie! - Opowiadam, zachłystując się i przeskakując z jednej sprawy na drugą, wracając do pominiętych szczegółów...

- Powinniśmy pójść do Ojca Przewielebnego - przerywa mi Sergiusz. - Natychmiast. Zobaczyłeś coś bardzo ważnego.

- Ale dlaczego? Milknę zmieszany.

- Myślisz przez cały czas tylko o nich. Dosłownie tracisz zmysły. Nie mogę uwierzyć, że się tego bałeś... Wcale tego po tobie nie widać. Naprawdę się bałeś?

Ależ mną wstrząsnęło to proste pytanie! Jakże miałbym się nie bać...

- Tak... - ponuro kontynuuje Sergiusz - można powiedzieć, że wpadłeś w kabałę. Wiesz co, Błażeju, lepiej opowiadaj dalej o sobie. Tamte sprawy nam nie uciekną, daję słowo. Widzę, jak ciężko ci wspominać... a jak wiadomo, najlepszym sposobem pozbycia się złych myśli i wspomnień, to zwierzyć się z nich komuś.

Łzy same napływają do oczu. Wstydzę się ich, lecz nie mogę powstrzymać. Sergiusz ma słuszość. Mam się czego bać, mam wspomnienia, do których nie chcę wracać, a jednak nie mogę ich wyrzucić z pamięci. I to od ponad roku...

- Masz, wypij... Wypij to, Błażeju.

Powolutku, małymi łydkami, pochlipując w przerwach, piję kwaśne wino. I opowiadam, jak umiem:

- Był czas, że z tego żyłem. Szukałem rzeczy skradzionych lub zaginionych... Nie myśl, że byłem szpiegiem, takie zajęcie mnie brzydziło. Ale pewnego razu...

Za rozwiązanie sprawy czarodzieja zapłacili mi starsi gildii jubilerów z Agriły. Czarodziej był oskarżony o zabójstwo mistrza. Nie dogadali się w sprawie rzadkiej wielkości topazu i pokłócili się, a po paru dniach jubiler spadł z mostu i utonął... Właściwie nie utonął, tylko się zabił na płyciźnie. Na pierwszy rzut oka czarodziej zdawał się nie mieć z tym nic wspólnego, ale topaz przepadł bez śladu. Mag całkiem logicznie twierdził, że klejnot mógł ukraść ktokolwiek. A jeśli nawet z ognistego topazu można zrobić miłosne amulety wierności, które osiągają na rynku wysokie ceny, nie jest to jeszcze dowodem, że wziął go on.

Nie było sensu wzywać królewskiego namiestnika i sędziego bez oczywistych dowodów. Dali mi do ręki odznakę przynależności do gildii zabitego mistrza i poprosili, bym zobaczył, jak było naprawdę. Uczyniłem to... i niemal wtedy straciłem wzrok.

Kiedy majster przechodził przez most, czarodziej poraził go ślepotą. Pomyłka była wykluczona, skoro zostało użyte tak silne zaklęcie. Przerwałem wizję, zanim mistrz całkiem nie oślepl, ale pozostały mi takie oczy, jakie miał w tym momencie jubiler. Półślepe. Oczywiście czarodziej nie mógł mi pomóc, bo skoro jego wina stała się oczywista, natychmiast został skazany. Kaźń odbyła się wcześniej, zanim zorientowałem się, że jego zaklęcie podziałało też na mnie...

- Jakże to? Nie widzieli, co się z tobą stało?

- Całkiem nie oślepl. Uznali więc, że czar był tylko czasowy i wnet przestanie działać. Potem... było już za późno.

- Zacząłeś się więc obawiać używania swego daru...

- A ty byś się nie przestraszył?

Sergiusz wzdycha.

- Jasne, że tak. To naprawdę okropne. Wydaje mi się jednak, że teraz ci lżej...

- Tak, chyba naprawdę lżej.

- Więc chodźmy. Wybacz, Błażeju, lecz Ojciec Przewielebny powinien się dowiedzieć o twojej wizji. Zwłaszcza o Karolu.

Ojciec Przewielebny wysłuchuje mnie, bębniąc bezwiednie palcami po podłokietniku fotela. Gdy kończę, milczy długo. Myślę sobie: jeśli znowu za mój występuk ukarany zostanie kto inny, nie będę mógł już nigdy spojrzeć tutaj nikomu w oczy. Nie daj Boże!

- Pokaż mi nóż, synu.

Sergiusz podaje go Przewielebnemu. Przeor obraca nóż w dłoniach, wodzi palcami po rękojeści, sprawdza ostrze paznokciem. Potem oddaje Sergiuszowi. Wydaje mi się, chociaż nie wypada tak myśleć maluczkiemu o Przewielebnym, a jednak jestem niemal pewien, że przeciąga sprawę, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Wszystko zależy od woli Bożej - powiada w końcu. - Nie chcę osądzać waszego nieposłuszeństwa, gdyż wszyscy od niej zależymy. Przyślę do ciebie brata bibliotekarza, Błażeju, który zanotuje wszystko, co ujrzałeś. Jak najdokładniej, rozumiesz? Wszystko, co uznacie za godne zapisania. Polecam ci kontynuować dochodzenie, używaj jednak rozsądnie swych mocy. Czytaj dalej kroniki. Bracie Sergiuszu, zwróć mu jeszcze dzisiaj wszystkie magiczne przedmioty. Przekaż wszystkim, że macie wzywać brata bibliotekarza, kiedy Błażej tego zażąda. Postarajcie się jednak działać stopniowo, by nasz Błażej znowu nie stracił umiaru. Błogosławię wam, dzieci. Idźcie.

To dziwne, myślę, przecież kiedy przybyłem do klasztoru, także opowiedziałem Przewielebnemu historię z czarownikiem, ale wtedy nie zrobiło mi się od tego lżej na sercu. A teraz wręcz przeciwnie. Może dlatego, że wrócił mój dar? A może jednak pomogło współczucie Sergiusza? Bardziej niż błogosławieństwo Ojca Przewielebnego?

Wszystko to bardzo skomplikowane, nie na rozum skromnego nowicjusza. Lepiej zająć się tym, co potrafię i co mi poruczono.

Znowu trzymam w dłoniach srebrną broszkę. Pamiętam, jak w Podziemiu błysnęła na piersi kobiety szkarłatna kropla drogiego korundu. Widziałem, jak podziemni uprowadzili księcia Karola, a Julia także to widziała. Nieprawdaż, Julio?

#### **4. SZLACHETNIE URODZONA PANNA JULIA, OFICJALNA PRZYJACIÓŁKA KSIĘŻNEJ NARZECZONEJ**

- Skóry z nich zedrę żywcem! Zdrajcy!

Małgorzata i Julia kulą się, zatrwożone. Król Henryk Groźny, daleko poza granicami Targali znany ze skłonności do okrucieństwa, nigdy za ich pamięci nie był do takiego stopnia rozwścieczony.

- Mężu mój, królu... - próbuje wtrącić królowa Nina.

- Milcz, idiotko! - wrzeszczy król. - Gdzieżeś była?!

- Ojczy! - krzyczy Małgorzata, wrywając się z odrętwienia. - Nie ma czasu tego wyjaśniać! Trzeba ratować Karola, dopóki nie zamknęło się przejście!

- Nie zamknie się. - Julia zagląda do czarnej jamy. - Halabarda zaklinowała koło.

- Jakie znowu koło? - pyta król, zniżając głos o jeden ton.

- Nie mam pojęcia. Jest tu jakieś koło. - Julia dotyka wielkiego koła zębatego, zaczepionego jednym zębem o okute drzewce. Kiedy odejmuje dłoń, widzi na palcach ciemne plamy krwi.

Małgorzata bierze z toaletki lampę naftową z azurowym, srebrzystym kloszem, wciska się za Julią do tunelu i uważnie ogląda ściany.

- Zostawił dla nas ślad!

- Kto? - pyta, szlochając, królowa.

- Gustaw - wyjaśnia księżniczka. - Jak widzisz, Nino, zdołał zaklinować wrota. Widzę tutaj plamy... i tutaj! Jakby ranny osunął się po ścianie. Trzeba pójść za tym śladem, ojczy!

- Prosto w pułapkę? - pyta surowo król. - Ty tam na pewno nie pójdziesz, Małgorzato!

- Mam wezwać dowódcę straży? - odpowiada pytaniem księżniczka.

- W żadnym wypadku! Pójdę sam. I biada nieludziom, którzy się ośmielą...

- Powiadają, że czary z dziecka może zdjąć tylko krewna - mówi cicho Małgosia. - A mężczyzna może odczarować pocałunkiem ukochaną kobietę.

- Bujdy - ze smutną pewnością siebie sprzeciwia się pasierbicy królowa Nina. - Żeby odwołać czary, trzeba przede wszystkim znać...

- Dość gadania - przerywa jej władca. - Małgorzato, wezwij sir Olivera, niech zabezpieczy nam tyły. I żeby nikt więcej o tym się nie dowiedział! Rozumiecie? Nie chcę, by jutro plotkował o tym cały Korwaren. Daj lampę, Małgosiu.

Lampę chwyciła już Julia.

- Ja ci poświęcę, królu.

- Nie potrzebuję cię tam!

- Lampa przeszkodzi ci w walce, królu - sprzeciwia się panna. - Pomocna dłoń może się przydać. Nie sądzisz...

- Dobrze, panienko. - Król ciska żonie srogie spojrzenie i odsunawszy Julię, wkracza do ciemnego tunelu. - Trzymaj się z tyłu, rozumiano? I ani słowa.

- Weź to. - Królowa zawiązuje troskliwie na jej nadgarstku srebrny sznurek z wplecionymi na końcach maleńkimi szmaragdami. - To „srebrne ziele” dla ochrony.

Julia kiwa głową i prędko przeciska się za królem przez wejście do tunelu. Ochronne



„srebrne ziele” dodaje jej pewności siebie. Pomarańczowe światło migocze na ścianach, rozpraszając ciemność. Tunel wiedzie ciągle w dół: najpierw pochylnią, potem po kamiennych stopniach, w pewnej chwili nawet po długich, kręconych schodach. Nagle korytarz się rozgałęzia. Król bierze lampę od Julii i zaczyna oglądać ściany oraz posadzkę. Milczy, stąpając niemal bezszelestnie, podobnie stara się poruszać Julia, bezgłośnie i ostrożnie. Podziemna cisza dzwoni w uszach.

Cisza? A może czary gnomów odbijające się od „srebrnego ziela”?

Król zatrzymuje się tak gwałtownie, że Julia niemal uderza nosem w jego szerokie okryte aksamitnym kaftanem plecy. Władca macha dłońmi. Daleko przed nim majaczy światełko gorejące nierównymi ognikami. Słychać dudniący, niewyraźny głos gнома. Monarcha napiera całym ciałem na niewidzialną przeszkodę, potem próbuje przebić szpadą, wreszcie mruży w bezsilnej złości:

- Zamknęli przejście!

- Co robić? - Julia wyciąga dłoń i dotyka koniuszkami palców przegrody, a wówczas ze sznura królowej tryskają migotliwe skry. Mimowolnie jęknąwszy, panna cofa dłoń.

- Co to takiego? - pyta ochryple król.

- Ochronne „srebrne ziele”.

- Ech, diabli nadali, trzeba było ze sobą wziąć Ninę!

Milknie bełkot gнома i daje się słyszeć głos Gustawa. Taki znajomy... Julia ledwie powstrzymuje jęk. Głos jest zdecydowany, twardy, pełen wewnętrznej siły. Jej Gustaw... Co się z nim dzieje?! Panna przeczuwa, że coś strasznego!

Niczym w sennym koszmarze, Julia odstawia lampę na ziemię i zaczyna wodzić rękami po kłującej nieprzeniknionej przegrodzie oddzielającej ją od Gustawa. Nie zwraca uwagi na biegające po palcach srebrne iskierki, mimochodem dziwi się tylko, że nie płacze, chociaż płacz byłby w tej chwili czymś naturalnym.

Przeszkoda znika. Julia wpada w ciemność rozpraszaną poblaskiem płomieni, rozglądając się w popłochu. Gustaw - jej Gustaw! - powoli, bezwładnie osuwa się do nóg nieruchomej Matyldy, mamki księcia Karola.

Jak się tutaj znalazła? I kto kryje się w gęstej ciemności w pobliżu? I dlaczego tak dziwnie brzmi śmiech małego księcia?

- Gustawie, wstawaj!

- Idziemy, głupia! - Król jedną ręką podtrzymuje Matyldę, drugą zaś pomaga Julii podnieść z ziemi półprzytomnego Gustawa. - Przebieraj nogami, dopóki się nie opamiętaj!

Ciemność gęstnieje wokół, niemal ich dławi, ożywiając pradawne strachy i dziecięce

lęki.

- Julio, lampa!

Pochwycona w biegu lampa otacza ich kręgiem pomarańczowego światła odbijającego się od ścian. Przerazona Matyllda skowyczy po drodze. Gustaw dyszy ochryple, z przerwami, próbując sam stawiać kroki, dopóki król nie odpycha odeń rąk Julii i nie zarzuca go sobie na ramiona jak barana. Korytarze wiodą ciągle pod górę i wszystkim coraz ciężiej oddychać. Kręczone schody wydają się ciągnąć w nieskończoność. Tak daleko!

- Julio - rzezi Gustaw.

Król zwalnia kroku. Matyllda idzie chwiejnie, jakby miała za chwilę upaść, Julia więc odbiera od niej Karola, ciężko dysząc. Nagle wyłaniają się z ciemności królowa Nina i sir Oliver, kapitan gwardii królewskiej.

- A wy tu po diabła? - syczy król.

- Wyczułam, że potrzebujecie pomocy - odpowiada cicho królowa.

Kapitan przejmuje Gustawa z królewskich rąk, Nina chwyta prędko Karola. Monarcha podtrzymuje Julię i Matylldę. Od razu łatwiej iść. Uciążliwa droga pod górę rozmywa się w pomarańczowych błyskach rzucanych przez lampę, szeleście ubrań i monotonnych odgłosach stąpania. To naprawdę niezwykle, zobaczyć w końcu przed sobą światło dzienne...

Król wyszarpuje halabardę ze stworzonego przez gnomów mechanizmu, a wówczas ciężkie, grube na łokieć tajne drzwi bezszelestnie wtapiają się w ścianę.

# KRONIKARZ KRÓLEWSKI

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Kolejny dzień czytam o wizytach pożegnalnych księżniczki.

Oczy bolą od ciągłego wpatrywania się w karty kroniki, a mimo to nie zamierzam tego porzucić...

Księżna narzeczona w towarzystwie królewskiego ojca odwiedziła klasztor Zofii Nadchodzącej, klasztor li Chroniącej i główną misję Bractwa Karola Świątego. Wypełniwszy obowiązek wobec sług Bożych, trzeba było nawiedzić krewniaków, na tyle licznych, że nie dało się załatwić tego zbyt szybko. Wielu z nich mieszkało daleko od Korwarenu, zwłaszcza ci z bocznych gałęzi rodu, posiadający własne dwory i ziemie dziedziczne z królewskiej łaski. Monarcha i jego córka odwiedzili w pierwszym rzędzie królewską siostrę, Oliwię, władającą Dzielnicą Przybrzeżną, potem zaś jej syna, Ludwika, pana Dzielnicy Północnej - Działki, jak zwykli mawiać ludzie północy.

Oliwia przyjęła krewniaczkę życzliwie, pogratulowała zamążpójścia i osobiście wybrała dla niej u najlepszego jubilera Dzielnicy sznur pereł o rzadkim różowawym odcieniu, także kolczyki i wyszywany perełkami stanik. Ludwik, dowiedziawszy się o przyjeździe koronowanego wuja, przybył natychmiast do Dzielnicy, „żeby jak najszybciej odprowadzić swego krewniaka, króla i drogą kuzynkę z Dzielnicy do Działki”. Sądząc po tym, co napisano w kronikach, stosunki między królem i jego siostrą były dość napięte, co nie przeszkadzało ich dzieciom żyć w przyjaźni. Nazywali się wzajemnie „drogim kuzynem” i „miłą kuzynką”, podrwiwając z jej przyszłego małżeństwa i jego ustabilizowanego życia rodzinnego. Dziwna sprawa: zorientowałem się, że kronikarz opisywał wizyty, opierając się na cudzych relacjach, a jednak jego opisy prezentowały się bardziej dokładnie niż ceremonii przygotowawczych, w których sam uczestniczył. Czyżby miał informatorów w świecie księżnej? To zrozumiałe u kronikarza...

Tylko porwanie Karola nie zostało odnotowane.

Ile jeszcze może być takich białych plam?

Podróż z Dzielnicy do Działki trwała niemal miesiąc. W drodze powrotnej do

Korwarenu monarcha i księżna narzeczona złożyli też jednodniową wizytę królewskiej wnuczce ciotecznej, Eleonorze, małżonce księcia Eimery i obdarowali ją prezentem z okazji urodzenia pierworodnego synka. Dama ta prędko zaprzyjaźniła się z księżniczką Małgorzatą, a ich niekończące się rozmówki ciągnęły się cały dzień. Król był trochę niezadowolony: nie tyle irytowała go jednak „babska paplanina”, lecz nieuchronne nadejście kolejnych, coraz mniej przyjemnych wizyt.

Najbardziej nieprzyjemne miały być, co zrozumiałe, odwiedziny Gotwinia.

Nie natrafiłem w kronikach na osobę zbiegłego opata Witasa, nie dowiedziałem się zatem, czym się naraził królowi i dlaczego pan Gotwiński przyjął go pod swój dach. Kronikarz jednak nie mógł tego nie wiedzieć! No cóż, rzekł w odpowiedzi na moje wątpliwości brat bibliotekarz, kronikarze też ludzie, obarczeni ludzkimi słabościami. Na pewno wiedział, lecz nie zamierzał kłaść głowy pod topór.

Czytam dalej o wizytacji księżnej obu Sebast i Agriły, baronii Dentor i Zintanii... Po zwiedzeniu niemal wszystkich większych miast Złotego Półwyspu, królowi całkiem zepsuł się humor, gdyż po Zintanii pożegnalna droga księżnej narzeczonej wiodła do Gotwinia.

## **2. KRÓLEWSKIE KRONIKI TARGALI, PRAWDZIWIE**

### **OPOWIADAJĄCE O WIZYCIE KRÓLA HENRYKA**

#### **I KSIĘŻNEJ NARZECZONEJ U WIELMOŻNEGO**

#### **PANA GOTWIŃSKIEGO I JEJ NASTĘPSTWACH**

„Gotwiń przywitał księżną narzeczoną hucznymi wiwatami, podobnie jak poprzednie miasta. Ojcowie miasta wręczyli dostojnym gościom dary, składając wierno-poddańcze hołdy. Pan Gotwiński oddał do ich dyspozycji swój pałac, gdzie rozlokowali się z całym dworem.

Jednakże jeszcze tego samego wieczora na progu świątyni Pańskiej przemawiał do mieszczan nędzny odstępcą, opat Witas. Ciskał klątwy na króla i przepowiadał nieszczęścia wynikające z małżeństwa księżnej Małgorzaty oraz sojuszu z Dwunastoma Ziemiami, jakoby przeciwne były woli Bożej. Mówił, iż powszechnie wiadomo, że król Andrzej był już wcześniej żonaty, a jakkolwiek nie doczekał się z tamtego związku potomków, małżeństwa ustanowione są w Niebiosach. Tak prawił ten heretyk, zdrajca Kościoła i Korony, pan Gotwiński zaś słuchał go z aprobatą, wywołując szemranie pośród pozbawionych rozumu mieszkańców grodu. Owo szemranie dotarło do uszu króla i księżnej narzeczonej. Władca rzekł gniewnie, że poprzedni mariaż króla Andrzeja nie wzbrania mu powtórnego ożenku, skoro on sam doczekał się następcy dopiero z drugiej żony. Heretyk ów swymi kazaniem sieje zamęt w królestwie i wprowadza nieład. Król jednakże uśmierzył złość na prośbę córki i

rozkazał opatowi się ukorzyć. Nieprawy, wsłuchany tylko w siebie kapłan zapomniał całkowicie o pokorze przed Bogiem i posłuszeństwie wobec władcy, na którego zaczął ciskać bezsilne klątwy. Nie życząc sobie dalszych buntowniczych wystąpień, władca rozkazał pojmać heretyka, odwieźć w kajdanach do Korwarenu i oddać w ręce Świętej Inkwizycji.

Tymczasem pan Gotwiński ośmielił się wziąć w obronę aroganckiego kaznodzieję i głośno oburzał się z powodu aresztowania. W obecności wielu ludzi zuchwale powtarzał oszczerstwa rzucane na władcę, jego małżonkę i cały dwór. Król, wzburzony ową bezczelnością, kazał zamknąć szlachcica na resztę życia w klasztorze i zajął jego majątności. Gotwiń został od tej chwili ogłoszony na wieki królewskim grodem.

Starszyzna miejska złożyła królowi przysięgę na wierność, potem jednak zapytali, jaki los spotka córkę ich byłego pana, skoro wiadomo, że pozostała wierna Koronie. Monarcha potwierdził wierność panny Julii, przypomniał jednak prawo, wedle którego dzieci buntowników tracą dziedzictwo.

Mieszkańcy Gotwinia wielce miłowali pocziwą panienkę, jako że uczyniła dla nich wiele dobrego. Błagali zatem króla o zmiłowanie nad nią. Księżna narzeczona także padła na kolana przed ojcem i wstawiała się za przyjaciółką. Władca obiecał w końcu córce i mieszkańcom, że postara się o odpowiedniego męża dla córki buntownika oraz wydzieli posag z majątku jej ojca, aby rodzinne szczęście upływało jej w dostatku.

Wychwalali więc mieszczanie dobroć swego władcy oraz córki jego, księżnej narzeczonej".

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Nic już z tego nie rozumiem! Król obiecał wyszukać męża córce usuniętego wielmoży? Przecież już ogłosił Julię i Gustawa narzeczonymi!

- Zgadza się, ogłosił. - Brat Bernard, zazwyczaj milczący i zamknięty w sobie, tym razem się uśmiecha. - To właśnie tak rozwścieczyło dumnego pana! Nie mógł znieść, że jego córką władca rozporządził za jego plecami. Błażaju, to przecież jasne jak słońce! Król wykorzystał tę sytuację, aby pozbyć się niewygodnego magnata. Sprowokował go do nieposłuszeństwa i zdławił bunt w zarodku. Zauważ, że w rezultacie położył też rękę na bogatym grodzie! Nie licząc pozostałych włości. Byłeś kiedyś w Gotwinie, Błażaju? Nazywają to miasto perłą zachodniego wybrzeża. Nie kłamie, przysięgam!

- Jakże jednak kronikarze mogli tak wszystko poprzekręcać? Wszak pisali dla potomności!

- Zgadza się, dla potomności - potwierdza ponuro brat bibliotekarz. - Czyli dla nas. My zaś czytamy, domyślając się, które sprawy upięszono na nasz użytek i jakie całkiem pominięto.

- Skoro kłamią w jednej sprawie, to mogą i w pozostałych?

- Owszem. Dlatego tak cieszę mnie twoje opowieści, Błażeju. Twierdzisz, że prawdziwe dochodzenie jeszcze się nie zaczęło. A tyle się już dowiedziałem! Warto poznawać dawne dzieje. Wszystko sumiennie zapisuję. Wiesz, jak nazwałem owe zapiski? *Kroniki nieocenzurowane!*

Zapytuję sam siebie, ile jeszcze znajdę kłamstw na tych starych stronicach, wodząc końcami palców po cienkim, żółtawym papierze. Kogo chciałeś okłamać, kronikarzu królewski, zaczerniając kolejne strony starannie kaligrafowanym pismem? Nas? Czy także siebie? O czym myślałeś, otwierając kolejny tom i zapisując słowa mające być świadectwem na całe wieki? Czego pragnąłeś?

Dlaczego kłamałeś?

#### **4. KRONIKARZ KRÓLEWSKI**

„Dzięki Ci, Panie, za kolejny dzień życia”.

Dopóki schnie atrament na stronicach odłożonej na bok kroniki, najwyższy czas wydobyć z tajnej szufladki sekretarzyka specjalne pióro i kartkę cienkiego papieru. Nikt nie śmie przeszkadzać kronikarzowi w pracy. Zasuwa na drzwiach będzie wymownym znakiem, że nie należy tu wchodzić, gdyby komuś to przyszło do głowy.

„Pan Gotwiński zamknięty w klasztorze, a Gotwiń stał się obecnie miastem królewskim. Opat Witas oddany w ręce Świętej Inkwizycji. Nie zdążył przemówić, gdyż na szczęście mam zaufanego inkwizycyjnego strażnika. Trupa wystawiono na widok publiczny dla postrachu. Koszt: 500.

Dotychczasowe chłodne stosunki między królową a księżniczką z nieznaną przyczyną zamieniły się w gorącą przyjaźń. Szepczą ze sobą całymi godzinami. Królowa stała się niezmiernie ostrożna i zasięga rad znawców zaklęć i amuletów. Chodzą słuchy o jakimś nieszczęściu, które groziło księciu. Nie udało się jednak dowiedzieć niczego konkretnego”.

Małe literki tłoczą się na cieniutkim papierze, pozostając czytelnymi tylko dla wprawnego oka. Dawno już po północy, w pałacu panuje cisza, uczestniczący w ucztach wielmoże rozjechali się do swoich domów. Wkrótce wstaną służby.

„Panienkę Julię król wydał za jednego ze swoich gwardzistów. Młodzi znikli zaraz po ślubie. Nie przedstawiono jednak, jak dotąd, nowej przyjaciółki księżniczki.

Być może królewska niełaska nie jest aż tak surowa, jak sądzono.

Bogatsze niż w Przygórzu kopalnie miedzi znajdują się we Wroniej Przełęczy i pod górą Zielonkawą. Wronia Przełęcz należy już pół stulecia do Dwunastu Ziem, a Zielonkawą władają gnomy.

Jubiler stołeczny, który prowadzi interesy z gnomami, to mistrz Józef, zamieszkały przy Kasprowym Zaułku. Jedna wierna służka. Starszy podmajster zawistny, abstynent, dobrze pracuje, wkrótce się pewnie wybije na mistrza. Młodszy podmajster jest gadatliwy, zdolny, ale leniwy.

Najlepszym w stolicy rusznikarzem jest majster Mateusz Krzywy, który mistrzowskie umiejętności zdobywał u gnomów. Klóci się z żoną, z synami żyje dobrze. Starszy syn, Jędrzej, pracuje razem z ojcem, a jego narzeczoną jest córka mistrza Rajmunda, Luiza - mają się pobrać jesienią. Młodszy syn, Ryś - milkliwy, ciężko myślący, robotny. Jest pomocnikiem. Obcych czeladników nie przyjmują.

Mistrz Rajmund ma pracownię pod miejskimi murami u Wschodniej Bramy. Rzemieślnik dobry, lecz nie najlepszy. Wdowiec. Poza Luizą świata nie widzi. Starsza córka, Elżbieta wyszła za piekarza z ulicy Klasztornej. Cała rodzina jest bardzo pobożna. Starszy podmajstry, Mik jest krewniakiem trzeciego albo czwartego stopnia. Bystry, wesoły, podoba się dziewczynom. Dwaj młodzi nowicjusze słuchają we wszystkim mistrza. Poprzedni podmajster wyjechał do matki na wieś i pracuje w kuźni, wspomina mistrza Rajmunda z szacunkiem.

Mieszkańcy stolicy nie utrzymują kontaktów z wyspiarzami. Wolą Sebastę Nadmorską".

Raport zakończony i zwinięty w rulonik, schowany w przykrywcę podróżnego kałamarza. Dzięki Ci, Panie, za kolejny dzień życia! Jutro królewski kronikarz uda się jak zwykle na śniadanie do „Płetwy Rekina". Podczas rozmowy o zagranicznych nowinkach wymieni się niepostrzeżenie kałamarzami z szanowanym w Korwarzenie kupcem, jednym z tych, co to przywożą towar akuratnie i targują się uczciwie, bez udziału osób trzecich. Dowie się z notatki ukrytej w kałamarzu kupca, gdzie tym razem czeka na niego zapłata za poprzedni raport i czego ma się jeszcze dowiedzieć. Kupiec jest bardzo porządny, nie tylko w sprawach handlowych. Królewskiemu kronikarzowi przydzielono odpowiedniego agenta.

W końcu z tego żyje kronikarz! Dzięki Bogu za tak licznych chętnych na towar, jakim dysponuje! Tylko głupiec jada chleb z jednego pieca, a jeszcze większy osioł służy tylko jednemu panu.

# ZAKŁĘTE WINO

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Jestem zbity z tropu i rozstrojony. Gnębią mnie wątpliwości. Kim był królewski kronikarz? Czyim był szpiegiem? I dlaczego to robił? Z miłości do pieniędzy, jak mi się wydało? A może czegoś nie pojąłem do końca? Stanowisko królewskiego dziejopisa to przecież wysoka godność. Jego powaga i splendor nie wynikają tylko z przebywania w pobliżu możnych. Jest tym, który zachowuje ich sławę dla potomności. Sławę lub hańbę. Zostać kronikarzem królewskim... W końcu król wybiera kogoś takiego nie tylko z powodu jego umiejętności we władaniu piórem! Przede wszystkim liczy na jego psią wierność, pozbawioną osobistych przekonań. Komuś takiemu znana jest przecież każda godzina życia pary królewskiej, zna wszystkie dworskie tajemnice, w ogóle dużo wie... i słusznie! W końcu za to mu płacą. Jak to możliwe, że król Henryk Okrutny nie zorientował się, iż państwowe tajemnice powierzył dłoniom zdrajcy?

Naprawdę jestem zmieszany. Wydaje się, że powinienem dowiedzieć się więcej. Nie powinno to być trudne, skoro każda strona kroniki to kolejny dzień życia piszącego. Czego bym się dowiedział? Głupie pytanie! Ojciec Przewielebny zabronił mi zajmować się kronikarzem. Nie jest on dla niego ważną figurą, „nawet jeśli zdradził swego pana”. Przewielebny już mi robił wyrzuty za odejścia od sedna sprawy. „Trudne Czasy były najwyraźniej następstwem małżeństwa księżniczki, może zatem wydarzyło się coś ważnego podczas ceremonii ślubnej albo później? Coś, co zaczęło spełniać przepowiednię? Oto, czym powinieneś się zająć, Błażeju!”

Małżeństwo księżniczki... Przewielebny chyba ma rację. Pora, bym znowu wziął do ręki srebrną broszkę panny Julii. A kroniki... no cóż, zobaczymy. Długo jeszcze będę je czytał.

## **2. SZLACHETNIE URODZONA PANNA JULIA,**

### **OFICJALNA PRZYJACIÓŁKA KSIĘŻNEJ**

### **NARZECZONEJ**



Srebrny brokat ślubnej sukni w ogóle nie pasuje Małgorzacie. Panna młoda, tak blada, że zdaje się zjawą, stoi w południowym świetle pośrodku odświętnie przybranej kaplicy. Zjawa jednak wspiera się na męskiej dłoni, co przydaje jej trochę więcej realności. Mężczyzna jest postawny i brodaty. Jego jasne włosy błyszczą złotem i srebrem w potokach światła tak mocno, że obręcz korony zdaje się matowa i niezbyt wyrazista. Tylko złota obręcz na purpurowym kołpaku wskazuje, że jest królem. Odziany jest prosto, skromniej od niejednego targalskiego wielmoży: spodnie i kaftan z jasnego zamszu, jakie noszą wędrowni kupcy i niżsi rangą oficerowie. Oczywiście zamsz takiej jakości nie na kieszeń byle oficera, lecz stołeczni eleganci i tak kręcą nosem, obserwując pana młodego: broda źle przystrzyżona, pas bez żadnych ozdób, wreszcie buty zrudziałe od końskiego potu! Jednym słowem, dzicz. Przejrzałby się w lustrze, straszdyło barbarzyńskie! Julia zerka w lewo na rząd dworskich kawalerów. Król Andrzej wiele przy nich traci. Z oblicza bije mu prostactwo.

Ślubna ceremonia dobiega końca. Wkrótce młoda żona skosztuje małżeńskiego chleba i wypije łyk wina, mąż zaś winien przepasać partnerkę, osobiście zawiązując węzeł na jej pasku. Od tej chwili Małgorzata przestanie należeć do tego dworu i kraju...

Pożegnalna uczta też będzie krótka. Tylko pół dnia, jako że nie wypada spędzać nocy poślubnej pannie młodej pod ojcowskim dachem. Król Andrzej uwiezie małżonkę godzinę przed zachodem słońca. Poselstwo Dwunastu Ziem zanocuje w klasztorze Zofii Nadchodzącej, rankiem zaś wyruszy w drogę.

Julia z ukłonem przekazuje panu młodemu małżeński pasek, obsyty perłami o barwie zachodzącego słońca... Jak srogo spogląda król Andrzej! Tylko przez chwilę, ale... Co z nami będzie, myśli z niepokojem Julia, dzisiaj całkowicie odmieni się nasz los. Co będzie, jeśli król Andrzej odmówi? Córka wielmoży w niełasce i złożony ciężką niemocą były gwardzista? Król wprawdzie obiecał, że nie pozostawi ich w nędzy, lecz co będą robić, skoro nie ma już dla nich miejsca na dworze? Nowy mąż nie odpowiedział wprost swej małżonce, odłożył decyzję na później. Czy można żywić nadzieję? Czy człowiek o takich oczach spełni prośbę żony, poślubionej z powodów politycznych córki swego wroga?

- Odtąd nie ma już księżniczki Małgorzaty - ogłasza opat - jest królewska małżonka. Niechaj wyrzeknie się więzów rodzinnych i stanie z mężem jednością.

Julia pierwsza gratuluje przyjaciółce, tak jak tamta gratulowała jej trzy dni temu, kiedy została żoną Gustawa...

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Zamieram, wsłuchując się w kolejną wizję i wyławiając z niej trwożne myśli Julii. Zdołała dopiąć swego i została żoną ukochanego człowieka... Chociaż on już wcale tego nie pragnął, teraz to rozumiem! Wrócił z Podziemia kaleką. Wiedział, że nigdy już nie położy ręki na rękojeści noża, nie wykreśli halabardą w powietrzu świszczącego zygzaka w ceremonialnym salucie, nie wydobędzie szpady z pochwy. Jego życie runęło w gruzy, on zaś nie miał prawa ciągnąć za sobą przez owe ruiny młodej żony... Nawet jeśli z pierwszej damy królestwa zamieniła się w córkę buntownika.

Wspaniała jest łaskawość Okrutnego! Gustaw uratował jego syna, chociaż może wcale nie było takiej potrzeby... Któż może to wiedzieć? Król posłużył się Julią, by ostatecznie rozprawić się z niewygodnym magnatem. Czy Julia zdaje sobie sprawę, jaką rolę odegrała w upadku ojca? Szczęśliwi nowożeńcy, pozbawieni tymczasem przyszłości, zmuszeni byli prosić o pomoc Małgorzatę. A właściwie jej męża, wczorajszego wroga ich władcy, który powinien sam zatroszczyć się o los wiernych poddanych, jak przystało na sprawiedliwego suwerena!

Zatroszczył się, sprzeciwia się tym myślom pamięć Julii. Wypłacił Gustawowi stosowną odprawę i wydzielił posąg dla panny. Mogli zacząć żyć spokojnym mieszczańskim życiem, zainwestować pieniądze w jakiś interes, płodzić dzieci i posłać synów do gwardii królewskiej.

Noc, przypominam sobie. Król Andrzej i jego żona spędzą noc poślubną w klasztorze Zofii Nadchodzącej.

- Muszę się zobaczyć z Ojcem Przewielebnym - mówię do brata Bernarda. - Wiem, że jest późno, ale... muszę.

Oczywiście, nie pali się. Czuję się jednak tak okropnie w zupełnej ciszy... I tak nie zasnę, więc może by trochę popracować?

Idziemy korytarzami i galeriami, za oknami wyje wichura, ja zaś myślę: w tych sklepieniach takim samym głuchym echem odbijały się niegdyś kroki króla Andrzeja i jego młodej żony. Widzieli się dotychczas tylko podczas uroczystości, dopiero teraz mogą się bliżej poznać. O czym będą rozmawiać, kiedy zostaną sami? Na pewno nie o miłości! Może o Julii?

Przewielebny powinien wiedzieć albo chociaż domyślać się, gdzie umieszczono tak znakomitych gości. Pozwoli mi spędzić parę godzin w komnacie, gdzie miała miejsce noc poślubna Andrzeja i Małgorzaty.

#### **4. KRÓL ANDRZEJ, ZIĘĆ KRÓLA HENRYKA**

- Wyjdź, Julio. Najpierw chcę porozmawiać z twoim mężem. Pobądź chwilę z Małgorzatą.

Julia posłusznie kłania się i wychodzi, król Andrzej zaś uśmiecha się niewesoło, spoglądając za nią.

- Nasze żony są niezrównane, nieprawdaż, panie Gustawie? Jakie opanowane... Siadaj pan. Będziemy rozmawiać o sprawach, w których dworska etykieta tylko przeszkadza.

- Dzięki ci... panie.

Gustaw trochę się zająknął przed użyciem tego słowa, lecz król Andrzej zachęcająco kiwa głową. Podchodzi do drzwi i wygląda przez nie. Małgorzata i Julia siadły razem na szerokim łożu. Najwyraźniej męską rozmowę w sąsiedniej komnacie uważają za doskonały pretekst, by sobie także poszeptać.

- Małgorzato, jesteś dzisiaj zmęczona - powiada z lekkim współczuciem małżonek. - Masz za sobą ciężki dzień, jutro zaś ruszamy w drogę. Jeśli chcesz, możesz na mnie nie czekać. Połóż się i odpocznij.

Zamyka drzwi, nie doczekawszy się odpowiedzi. Przesuwa po Gustawie obojętnym spojrzeniem.

- Małgorzata stała się gwarantką pokoju. Jest wystarczająco mądra, żeby to zrozumieć i dostatecznie piękna, by czuć się urażoną. Mam rację, panie Gustawie?

- Nie!

- Nie? - Głos króla Andrzeja dźwięczy powstrzymany krzykiem. Gustaw pozostaje spokojny. Nic go nie wzrusza, odkąd usłyszał całkiem inny krzyk... - W czym się mylę?

- Wybacz, panie, mą zapalczywość. Prawidłowo oceniasz sytuację księżniczki. Lecz nie znasz jej, panie! Powiem tak: Małgorzata jest dostatecznie piękna, by uważać siebie za godną miłości, ale jest także mądra. Zdoła znieść każdą zmianę w swoim życiu. Wiele zależy od ciebie, panie.

- Miała wcześniej kochanków?

Gustaw zrywa się.

- Sam jej powinieneś zadać to pytanie!

- Siadaj i uspokój się, panie Gustawie - powiada cicho król. - Wiem, że nie unikała niewinnych flirtów, lecz nie było kochanka. Byłem ciekaw, co odpowiesz. Przecież chodzi o ciebie, nieprawdaż? Dlaczego chcesz jechać z nami, panie Gustawie? Odpowiedz szczerze.

- Julia tego chce - odpowiada Gustaw, zniżając głos do szeptu. Dłonie, spoczywające bezwładnie na kolanach lekko drżą. - Żal jej Małgorzaty, a w dodatku... uważa, że to

wszystko zmieni. Mnie jest obojętne, dokąd mam jechać i jak żyć.

- Co się stało z pańskimi dłońmi? Byłeś pan przecież gwardzistą, więc twój oddział nie uczestniczył w walkach?

- Co się stało? Jak widzisz, panie, zostałem kaleką. To wszystko. Dlatego też jestem niezdatny do walki.

- Panie Gustawie! - Król Andrzej przesuwając fotel w taki sposób, by być jak najbliżej rozmówcy, po czym mówi cicho, lecz ostro: - Dowiedziałem się tego i owego o panu. Jesteś pan mądry, dzielny i wierny swemu monarsze. Nikt nie wie, jakim sposobem zostałeś kaleką! Porozmawiajmy jak ludzie inteligentni: czy mogę ci zaufać? Mój szacowny teść nie będzie się wahał odpłacić mi za klęskę ciosem w plecy. Może jesteś nasłanym zamachowcem? Mówią o tobie jako o człowieku honoru, lecz w waszym kraju pojmują honor trochę inaczej niż u nas. Kto wie, czy nie zaczniesz pan knować za plecami wczorajszego wroga z rozkazu swego władcy. Obrażam pana tymi podejrzeniami, Gustawie?

- Nie - odpowiada Gustaw po krótkiej chwili milczenia. - Nasz król nie lubi przegrywać, masz, panie, całkowitą rację.

- I co powinienem zrobić w takiej sytuacji?

- No cóż... - Wzrusza ramionami Gustaw. - Najlepszym wyjściem byłoby udać, że nie spodziewasz się podstępów, ale mieć mnie na oku aż do chwili, gdy przejedziemy przełęcz. Dalej to już wasz kraj i wasze prawa. Nie będzie trudno zdecydować o moim dalszym losie... panie.

- Dobrze mi cię opisali. Rzeczywiście jesteś inteligentny i dzielny, panie Gustawie. Powiem szczerze, iż chętnie widziałbym cię w swojej służbie. I żona by się ucieszyła... Musisz jednak udowodnić swoją szczerą.

Drzwi rozwierają się, skrzypiąc.

- Mój królu!

Gustawowi zdaje się, że do komnaty wdarł się niedźwiedź. Jednak to człowiek przy bliższym wejrzeniu. Ten sam, który trzymał się blisko swego władcy podczas ślubu i na weselu. W jego ogromnej posturze dałoby się pomieścić trzech Gustawów i zostałyby jeszcze trochę miejsca. Kim jest? Wołali go po imieniu, lecz Gustaw nie miał pamięci do imion. Jedno tylko zapisało się w pamięci, jak olbrzym lekko i zręcznie przemykał w tłumie, nikogo nie potrącając ani nawet nie dotykając.

- Wejdz, Siergieju. - Andrzej wyprostował się nieco na krześle: niby siedzi, jak siedział, ale widać w nim pełną gotowość. Może się zerwać szybciej, nim Gustaw zdąży westchnąć. - Co się stało?

- Wasia przyjechał i powiada, że nie przejedziemy przez Wronią Przełęcz.  
- Czemu?  
- Lawina. Konie przejadą, ale karety nie.  
- To dziwne - stwierdza król. - W tym miejscu nie zdarzały się lawiny.  
- Wygląda, jakby nie było to zwykle obsunięcie. Coś tam plótł jeszcze o jakichś  
niełudziach, ale kazałem mu się zamknąć i położyć spać.  
- Więc musimy wytrzymać do rana - mówi Andrzej z lekkim uśmiechem.  
- Niekoniecznie. Jeśli zmienimy trasę...  
- Rano, Siergieju. Jeśli w ogóle zmienimy.  
- To oznacza dwa tygodnie zwłoki - burczy tamten.  
- Jeśli pójdziemy przez góry - przytakuje król. - Najlepiej sam rano wypytam Wasię.  
Przyślij go, jak tylko się zbudzi.

- Jasne - odpowiada Siergiej. - Chciałbym jednak usłyszeć, co ma do powiedzenia.  
- Więc wysłuchamy go razem. Do jutra, Siergieju, zrozumiałeś? Położyłeś Wasię do  
snu, może i mnie ułożysz?

Siergiej parska pogardliwie.

- Dostyc, idź już - powiada władca z naciskiem. - Wyśpij się.  
- Tak, ja...  
- Tak, ty, oczywiście. Idź spać, to rozkaz.

Olbrzym głośno wzdycha i wychodzi, zamykając za sobą bezszelestnie drzwi.

Król Andrzej siada wygodniej i znowu spogląda na Gustawa. Był gwardzista wygląda  
jakby był nieobecny myślami. Nawet odrobiny zainteresowania w oczach... Do licha!

- Tak więc udowodnij mi swoją szczerłość, panie Gustawie.

Odpowiedzią jest lekkie wzruszenie ramion, potem odzywa się spokojny, rozsądny  
głos:

- Nie wiem, w jaki sposób, prawdę mówiąc. Mogę przysiąc, lecz trudno uwierzyć w  
przysięgę ewentualnego wroga.

- No tak - uśmiecha się król Andrzej. - Uwierzyć zapewnieniom wasala króla Henryka  
byłoby niewybaczalną głupotą. Mam jednak pewien sposób, by cię sprawdzić. Zgodzisz się  
rozmawiać ze mną pod wpływem zaklęcia prawdy?

Krótkie, niemal niezauważalne wahanie. Krócej niż sekundę.

- Tak, panie... wierzę w waszą uczciwość.

Król Andrzej bierze ze stołu niewielką butelkę, w jakich przewozi się wino, znane na  
północy jako „Ciemne Imperialne”. Nalewa równo do klasztornych kielichów. Spogląda przez

swój pucharek na refleksy światła, przekręca go i trochę nim kołysze. W końcu rozkazuje:

- Pij.

Gustaw obejmuje dłonią kielich i unosi ku ustom. Pociąga spory łyk. Dobrze... na pewno lepsze od tych, jakie podają w korwareńskich tawernach.

- To wino?

- Zakłęte.

- Mogłeś mnie, panie, od razu nim poczęstować...

- I przepytać cię bez twojej zgody? - Król Andrzej dolewa mu z szerokim uśmiechem. - Mogłem. Teraz wiem jednak, że zgodziłeś się dobrowolnie na przesłuchanie. A z drugiej strony... powinienem zasłużyć na twoje oddanie, Gustawie, jeśli uznam, że jest mi potrzebne.

Gwardzista wbija w monarchę przenikliwe, zaciekawione spojrzenie.

- Tego nie oczekiwałem. Nie jesteś podobny do naszego króla, panie.

- Mam nadzieję. - Krótki, suchy śmieszek.

Milczą minutę, mierząc się oczami.

- Obaj dowiedzieliśmy się czegoś o sobie, prawda, Gustawie? Tak więc, dlaczego wraz z Julią pragniecie mej gościnności? Działasz z rozkazu swego króla?

- Nie, panie. Król wypłacił mi odprawę, mogę żyć, jak chcę. Chociaż, mając wybór, wolałbym w ogóle nie żyć...

- Jednak żyjesz?

- Dla Julii. Nie brak mi odwagi, lecz kiedy ukochana mówi, że umrze razem z tobą... Przestraszyłem się.

- Uwierzyłeś jej? - Władca unosi lekko brew. - Kobiece przysięgi są na wodzie pisane.

- Nie wszystkie. Nie mogę tak ryzykować.

- I to ona postanowiła jechać wraz z Małgorzatą?

- One... - Gustaw przesuwa drżącą dłonią po czole i dawno niemytych jasnych włosach. - Nie wiem sam, w czyjej głowie zaświtało to po raz pierwszy. One naprawdę się ze sobą przyjaźnią. Wielu to dziwi, ale tak właśnie jest.

- Gustawie, co się stało z twoimi rękami?

- Klątwa gnomów.

- Gnomów?! Myślałem, że Podziemie to wymysł minstrelów!

- To prawda, panie.

- Tak, oczywiście... - Andrzej bezwiednie przeczesuje palcami brodę. - I jak do tego doszło?

- Bronilem Karola. Nie wiem, czego chcieli, ale... Nie lubię tego wspominać. Wstydę

się.

- Czego?

- Okazałem się kiepskim strażnikiem. Wypełniłem swój obowiązek, ale nie mam żadnej zasługi w uratowaniu księcia. Czasem myślę, że wykręciłem się tanim kosztem... Mój król powinien był mnie skazać na śmierć za to, że nie dopilnowałem księcia. Wydaje się, że klątwa gnomów uchroniła mnie przed zasłużoną karą. Teraz muszę z tym żyć.

- Na ile znam króla Henryka, nie wzdragałby się skazać nawet kaleki. A byłoby za co! Nie podoba mi się to, co mówisz, Gustawie. Coś jest nie tak. Opowiedz mi wszystko dokładnie.

Gustaw wzdycha ciężko.

- Nie dam rady. Nie wszystko z tego rozumiem. Nie wiem, jak gnomy zdołały przeniknąć do książęcej sypialni. I dlaczego żądali pomocy ode mnie, a nie od Matyldy. Nietrudno byłoby ją nastraszyć! A zupełnie już nie rozumiem, jak udało się nam stamtąd uciec. Julia mówi, że po prostu uciekliśmy, tyle że trzeba było mnie nieść. Tego jednak nie pamiętam.

- No dobrze. - Król Andrzej zamyśla się. Gustaw opuszcza głowę i spogląda nienawistnie na swoje zniedołężniałe dłonie. Wydaje się, że kolejna chwila milczenia trwa całą wieczność. - Gustawie, wasz król dał ci odprawę. Wedle wasalnego prawa, możesz teraz znaleźć sobie nowego suwerena. Czy pragniesz zostać moim wasalem?

Gustaw rzuca na króla Andrzeja płomiennie spojrzenie.

- I na cóż wam taki wasal, panie?

Andrzej ledwie zauważalnie wzrusza ramionami.

- Dopóki jest chęć szczerą, żołnierz pozostaje żołnierzem.

- Czy wyglądam, jakbym jeszcze miał chęć? Przyjrzyj mi się, panie. - Gustaw uśmiecha się słabo. - Widzisz we mnie to, czego ja nie jestem w stanie dostrzec.

- Dawno się to zdarzyło?

- Trochę ponad miesiąc.

- W ciągu miesiąca zaczniesz nad sobą panować. Za pół roku przypomnisz sobie smak życia. A po upływie roku będziesz śmiał się z siebie, jaki jesteś teraz. Wierz mi, wiem co mówię. Więcej cierpliwości, Gustawie. Twoja Julia słusznie zdecydowała, ja zaś chętnie przyjmę was do siebie.

- Tak więc... złożę ci, panie, przysięgę na wierność zaraz po przekroczeniu przełęczy. I jeśli znajdziesz dla mnie zajęcie...

- Znajdę. Przysięgam na Bożą Światłość i własne życie.

- Moje życie będzie należeć do ciebie. Przysięgam na Bożą Światłość, do ostatniego dnia i ostatniej kropli krwi. Ja, panie...

- Wiem, Gustawie. Jesteś dobrym żołnierzem, a mój teść jest głupcem, skoro pozbywa się takich ludzi. - Król chichocze głośno. - Małżeństwo przyniosło mi więcej, niż oczekiwałem!



# PODRÓŻ KRÓLEWSKIEJ MAŁŻONKI

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Srebrna broszka Julii... Sugeruje mi, że nie należy wypytywać o podróż jej właścicielki. Nie o drodze myślała młoda żona. Czuję wraz z nią, że opowie mi o Gustawie.

Dłoń wyciąga się sama do drugiego srebrnego przedmiotu. Nieduży, mniej więcej wielkości pensa, pysk wilka stepowego. Podnoszę go ku oczom. Postawione uszy, dzikie fioletowe ślepia, wyszczerzone kły. Rysunek jest schematyczny, ale zwierzę wyszedł jak żywy. Srebrny wilk stepowy z ametystowymi oczami, rodowy amulet króla Waleriana, ofiarowany, jak wieść niesie, klasztorowi Zofii Nadchodzącej jako wypełnienie ślubowania, podczas pierwszej wizyty w Korwarrenie. Pierwszej wiarygodnej wizyty, poprawiam sam siebie, gdyż podanie o świętym Karolu głosi, że bywał też wcześniej w Targali. Książę Walerianie, synu Andrzeja i Małgorzaty... i na ciebie przyjdzie kolej. Tymczasem twój przyszły ojciec wiezie młodą żonę do swego kraju. Droga wiedzie przez ziemie zniszczone wojną, przez Przygórże i Wilczą Przełęcz. Być może Małgorzata uważa się za zdobycz wojenną, którą w gruncie rzeczy jest. A może małżonkowie przyglądają się sobie z obawą i nadzieją, jak to nowożeńcy nie złączeni miłością, lecz swataniem. A może myślą całkiem o czymś innym?

Byłeś tam, srebrny wilku z dzikimi ametystowymi ślepiami? I wiesz o wszystkim?

## 2. ANDRZEJ, MAŻ MAŁGORZATY

- Gdzie będziemy nocować, mój królu i mężu? - Małgorzata wychyla się z okna karety i niezbyt przytomnym spojrzeniem ogarnia małą łączkę i wzgórze porośnięte jałowcem.

- Po prostu tutaj - odpowiada z uśmiechem Andrzej - moja pani żono. Przygotowałem namiot dla ciebie i Julii, innym wystarczy ziemia.

- A kolacja?

- A ognisko? Próbowałaś kiedyś baraniej polewki warzonej nad ogniskiem, Małgorzato? Tomek wydobyl cały zapas baraniny ze spiżarni tego chełpliwego zucha, u którego nocowaliśmy wczoraj.

- Chyba nie wszystką - śmieje się Małgorzata. - Zapomniał o baronie Bartłomieju.

- Damy mogą wysiadać - melduje olbrzymi kapitan. - Wartownicy rozstawieni, wszędzie spokój.

- Dzięki, Siergieju.

Król Andrzej szarmancko podaje rękę małżonce. Małgorzata kładzie na niej swą delikatną dłoń chętnie i z ufnością, wcale nie spiesząc się z cofnięciem jej, gdy zeskakuje na ziemię. Prędko się przyzwyczaiła, myśli z nieoczekiwaną dla samego siebie czułością monarcha. Dobrze, że spędzą teraz noc pod gołym niebem. Nikt im się nie będzie naprzykrzał wiwatami i nachalną usłużnością.

Małgorzata zasiada przy ogniu, obok niej małżonek. Obserwował ją całą drogę, martwiąc się, że stroni od wszystkich. I co za dziw! Okazało się, że zdążyła tymczasem zapamiętać imiona wszystkich żołnierzy z oddziału Siergieja. Nawyk dworskiej intrygantki, zauważa w myślach z lekkim zasmuceniem władca. Stara się poznać jak najlepiej nowe otoczenie. Nic to, Małgorzato. Wiem, że mnie w końcu pokochasz. A wówczas twoje nawyki posłużą nam obojgu.

Oto, w czym jesteś dobra! Z jaką łatwością naprowadziłaś rozmowę na pałacowe porządki, słuchając jednocześnie z uwagą rozkazów Siergieja. Usteczka masz półotwarte, czarne brewki unoszą się co jakiś czas, a niesforny kosmyk wymykający się ze skomplikowanej fryzury swobodnie muska gładki policzek...

- Dziwnie mi się przyglądasz, panie mężu.

- Czyżby cię to obchodziło?

- Naturalnie! Przecież zależy od tego nasze dalsze życie!

Naprawdę jest cudowna! Nagły rumieniec, spuszczone oczęta i odbłask ognia na policzkach...

- Obawiasz się o swoje bezpieczeństwo, moja pani?

- Jak dotąd nie miałam powodu... Nie gniewaj się, panie mężu! Ja... oczywiście, nasłuchiłam się w dzieciństwie mnóstwa strasznych historii... Nigdy nie jestem pewna swego bezpieczeństwa. Przywykłam uważać na siebie... Śmiejesz się ze mnie?

- Nie, Małgorzato. Pytaj, jeśli to cię uspokoi.

Wybłyskujące coraz liczniej na nieboskłonie gwiazdki okryły łagodną poświatą namiot ustawiony obok karety. Andrzej spostrzega, że Małgorzata ze zdziwieniem pomacała dwoma palcami białą wełnę. Uśmiecha się. Sporo cię jeszcze zadziwi w moim państwie, moja panno. Być może wszystko. Tymczasem Gustaw spiera się o coś z Wašką. I dobrze. Wasia nie narzucał się ze znajomością, czekał na swój czas i najwidoczniej się doczekał. Gustaw połknął haczyk. Nim dotrą do przełęczy, Waška będzie wiedział o nim wszystko. Wtedy

zdecydujemy, co z tobą począć, były królewski gwardzista.

Gwiazdny blask, trzask płonącego drewna, miły zapach baraniej polewki, powiew chłodnego wiatru, bezkresne nocne niebo... Jakże tęskniłem za takimi nocami! Z Małgorzatą powinno być coraz lepiej. Jest zdana teraz tylko na siebie. Julia i Gustaw jej nie pomogą, ponieważ oni także opuścili rodzinne strony i jadą ku nowym losom. Małgosiu, żono moja... zaczynam naprawdę cię pragnąć, duszą i ciałem! Od kiedy zacząłem się cieszyć z tego małżeństwa? Zdobędę twoją miłość...

Nie ma jeszcze północy, a ona już śpi. Przykryła się kocem wraz z głową. Noc jest zimna. Mały kaganek prawie nie daje ciepła, zresztą nie został tu przyniesiony w tym celu, lecz raczej dla wygody. Można nad nim ogrzać dłonie i tak dalej. Andrzej ostrożnie wychodzi z namiotu, kręcąc głową: ta droga jest ciężka dla dziewczyn. Dobrze, że są razem. Gustaw wygląda coraz lepiej. Waśka stara się go ożywić, ma chłopaka stale na oku. Tylko czy były gwardzista zechce wstąpić do Tajnej Służby?

- Miłościwy panie?

Siergiej. Przez cały dzień nie mieli okazji pogadać. Olbrzym boczy się na Gustawa, chyba mu nie ufa. Zaczął wczoraj swój głupi test, dobrze, że Małgorzata nie domyśliła się, co robi sługa jej męża! Siergiej musi każdego nowego człowieka sprawdzić przez pijacką kłótnię. Ciekawe, czy Wasia o tym wiedział? Może i tak... W każdym razie Waśka ma swoje zadanie, a Siergiej także otrzymał polecenie!

- Przejdźmy się, pogawędzimy.

Oddalają się od namiotu w półmrok rozświetlony bardziej księżycem w pełni niż odblaskiem ognia.

- Mów o wczorajszym, Siergieju.

- No cóż, on rzeczywiście nie kłamie. Co nie znaczy, bym teraz mu ufał...

- Mówiłem ci już, że nabrałem do niego zaufania. Jest już moim człowiekiem i gotów jestem przyjąć jego przysięgę wierności, wiesz o tym, odkąd opuściliśmy Korwaren. Jeszcze ci mało?

Siergiej opuszcza głowę. Z poczuciem winy czy potakująco?

- Nie dowierzasz swojemu władcy, kapitanie?

- Być może nie okłamał cię wtedy, mój królu, lecz dla mnie to jeszcze nie dowód. Mam obowiązek cię strzec i bacznie obserwować niepewnych ludzi.

- Raz już tak rzekłeś. Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem?

- Że następnym razem dostanę w zęby za coś takiego? Jestem gotów.

- I co mam z tobą zrobić - mówi z uśmiechem król Andrzej. - Rozumiem twoje

wątpliwości, skoro chodzi o wiernego psa Okrutnego. Jednakże mój teść go odprawił. Dałem mu nadzieję w chwili, gdy czuł się nikomu niepotrzebny. Będzie mi wiernie służył. Sam się zdziwisz! I byłoby lepiej, gdybyś mu pomógł przyzwycząć się do życia bez broni, zamiast wymyślać próby, które niczego nie wykazują.

- Nie wierzę w istnienie gnomów ani w ich klątwy.

- Ja też nie wierzyłem. Jakże jednak nie ufać zakłęciu prawdy?

- Czy rzeczywiście poskutkowało, skoro sam wierzył w to, co mówi? Zakłęcie, jak zakłęcie. Jest szczerzy, więc radujmy się wszyscy. W jego historii jednak ciągle coś nie pasuje!

Król spochmurniał. Przeczesał brodę i chrząka.

- Muszę przyznać, że masz trochę racji. „Coś nie pasuje”, mnie także to przyszło do głowy. Skoro jest jednak wierny Małgorzacie, będzie też wierny mnie. A co do owej klątwy... wiele bym dał, by dowiedzieć się, co się naprawdę stało!

- Dowiemy się! Zanim dotrzemy do domu. Wybacz mi tę wczorajszą próbę, królu, lub ukarż mnie, jeśli chcesz. Przyznaję, że Gustaw jest dobrym człowiekiem. Chciałbym jednak dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Zaczekaj, Siergieju! Przed nami daleka droga. W ciągu paru tygodni poznamy go na wskroś.

### **3. PRZEWIELEBNY OJCIEC Z KLASZTORU ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Zbyt wiele uwagi poświęciłeś, Błażeju, sprawom sercowym. Całkiem jak egzaltowana panienka, słowo daję! Co nas obchodzi, czy Małgorzata pokocha swego męża? Ważne, że urodzi mu syna, który później wróci do Targali. Albo i nie, jeśli minstrele lżą. Powinieneś nauczyć się panować nad swoimi widzeniami. Nie jest dobrze, gdy tracisz siły na całkiem nieistotne epizody.

- Wybacz, Przewielebny... ale myślałem, że w tym dochodzeniu ważny jest każdy szczegół.

- Tylko taki, który możemy porównać z podaniem. Pomyśl sam, jakie znaczenie mają dla nas tajne zapiski królewskiego kronikarza? A Julia i Gustaw? Ile czasu zmarnowałeś na tę parkę! I po co? Przecież wyjeżdżają i wątpię, czy warto ich wyciągać z całego tego zamętu. Nas interesują Trudne Czasy. Doprowadź Małgorzatę do Wilczej Przełęczy, Błażeju, i zajmij się wreszcie Karolem.

### **4. STARUCHA**

Stojąca u źródła starucha spogląda na podjeżdżających do niej ludzi zaprawdę wilczymi oczami.

Królowi Andrzejowi opowiedział o tym źródle opat, który udzielał ślubu. Nazwano je oficjalnie „Dobroczynnym Źródłem Przygórza”, należało do Kościoła Świętego i słynęło z błogosławieństwa, które przyciągało pielgrzymki. Nie więcej niż tuzin rocznie. Przyjazd Małgorzaty był podarkiem ślubnym od Kościoła.

Ludzie Siergieja rozeszli się po lesie, Małgorzata z Julią wysiadły z karety prosto na gęstą trawę, Andrzej zaś nie może oderwać oczu od staruchy, jakby rzuciła nań urok.

Jest jakaś dziwna. Spod zsuniętej na tył głowy czarnej chustki sterczą nie siwe, lecz pstrokate kosmyki, twarz ma także pokrytą barwnymi plamami; długa, prawie do kolan, kamizela z mocno przetartego w wielu miejscach zajęczego futerka, pod spodem podarta koszula, spódnica natomiast czerwona, odświętna, uszyta z najlepszego sebastyjskiego sukna. Skąd ją tutaj wzięła? Dłoń wsparta na kamiennym brzegu Źródła jest ciemna, koścista, lecz piękna!

- Pokój z tobą, dobra niewiasto.

Na miłość Boską, Małgorzato, dlaczego podchodzisz do niej tak blisko?! Tamta kobieta jest dziwna, nienormalna, kto wie, co zamierza?

- Co robisz tutaj sama? Może trzeba ci pomóc?

- A więc to prawda! - To wcale nie starczy głos, bardzo silny... i jaki zły!

- Co? - pyta ze zdziwieniem Małgorzata.

- Prawda, że twój ojciec król oddał cię tym bestiom! Nieszczęsna księżniczko, lepiej byłoby ci umrzeć niż tego doczekać!

- Czemu tak mówisz, dobra niewiasto? - Małgorzatka jest wystraszona, mówi płaczącym tonem. Dlaczego Siergiej nie przegonił stąd tej wiedźmy? To przecież święte miejsce...

- Bestie, bestie... Wiesz, kto został w Przygórzu, nieszczęsna księżniczko? Tylko ja! Nikt więcej. Mordercy, zbrodniarze! Nie dla was Boża Światłość, nie dostąpicie przebaczenia po wiek wieków!

- Małgorzato, posłuchaj... - Trzeba ją odciągnąć, uspokoić i wszystko wyjaśnić.

- Nie zbliżaj się i nie dotykaj jej! Jak śmiałeś tutaj szukać żony, morderco! Lepiej jej nie żyć niż wejść do twojego łóżka...

Skąd wzięła nóż? Dopiero co miała puste ręce? W dodatku taki, który nie wygląda na zabawkę.

- Ani kroku dalej! Cofnijcie się wszyscy!

Na Boga, Małgorzato, żono moja! Nie wolno zabijać w świętym miejscu, ale czy pamięta o tym zbzikowana stara wiedźma?

- Małgosiu! - Mądra panna Julia podbiega, szeleszcząc suknią, obejmuje księżniczkę i odciąga ją, chociaż tylko o pół kroku, lecz to wystarcza, by powstał bezpieczny dystans. - Dlaczego tak czynisz, dobra kobieto? Niezbadane są ścieżki Pana! Była wojna, ale teraz nasza księżniczka zostanie królową Dwunastu Ziem, czy to nie jest gwarancją pokoju?

- Jaki może być pokój z dzikimi bestiami? Moja klątwa i Boży gniew, a nie pokój!

Błysk stali jest jak lustrzany słoneczny „zajaczek”, nieuchwytny i oślepiający. Julia stara się osłonić i odciągnąć na bok Małgorzatę... Nie zdążyłaby, gdyby nie Gustaw. Jakim cudem starucha dała mu podejść? To jasne: zobaczyła mundur królewskiej gwardii, herbową białą-fioletową taśmę, wciąż jeszcze niesprutą z brzegów materiału i uznała młodzieńca za swego. Swój człowiek, który ma odwagę stanąć na drodze wiedźmie!

- Och, synku, czego ty pod mój nóż leziesz?

- Wojna się skończyła, matko! - Gustaw bierze staruchę za rękę i ostrożnie rozgina kościste palce. Nie sprzeciwia mu się. Nóż spada z przeciągłym brzękiem na kamienne ocembrowanie Dobroczyńnego Zdroju.

- Gustawie, jesteś ranny!

- Głupstwo, Julciu. Trzeba będzie tylko zaszyć rozcięcie.

- Oj synku, wybaczonej. I czegoż stoisz jak tuman, toż tu woda święta, wszystko lecząca! Co cię podkusiło?... I co tutaj robisz... z tamtymi?

- Wojna skończona - powtarza Gustaw. - Mamy teraz sojusz, a nasza księżniczka została ich królową. I jedźcie do swego nowego królestwa. A wy byście do ludzi poszli, mateczko. Zmarniejecie tu sama.

- Nie ma ludzi w okolicy - szepcze ochryple stara. - Zostałam tylko ja. Ciemność wokół, ryk bestii i moja klątwa... doścignie ich jeszcze moje potężne przekleństwo, popamiętaj ją!

Twarz Małgorzaty jest jak martwa, jakby uszła z niej cała krew. W jej pięknych oczach czai się chłód grobowy. Podbiec by do niej, wziąć za rękę... a jednak Andrzej czuje, że nie wolno mu zrobić nawet jednego kroku w stronę żony. Dopóki Gustaw rozmawia z szaloną wiedźmą, żona jest bezpieczna. Spróbuje w każdym razie nieznacznie się poruszyć, może się uda...

Starucha odwraca się i odchodzi, ludzie królewscy rozstępują się przed nią. Siergiej kładzie dłoń na broni, ale król Andrzej wygraża mu pięścią. Potworne napięcie w sercu monarchy ustępuje, może teraz myśleć o wszystkim, byle nie o Małgorzacie. Niech przeklęta

wiedźma odejdzie stąd nietknięta. Nie są na swojej ziemi, a wojna się skończyła.

## **5. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Owa starucha pozostawiła w mej duszy nieprzyjemne wrażenie. Niemiłe i przygnębiające. Za to widzenie Przewielebny wielce mnie wychwalał. Powiedział, że oczekiwał czegoś w tym rodzaju. Oto właśnie początek Trudnych Czasów.

Jak różnie postrzegamy ten Boży świat...

## **6. DOBROCYNNY ZDRÓJ PRYZGÓRZA**

- Pozwól mi... - Julia trzęsącymi dłońmi rozpina przesiąkającą powoli krwią żołnierską kurtę. Gustaw próbuje jej pomóc, lecz jest bardzo niezręczny. Co mu się właściwie przydarzyło z tą nieszczęsną staruchą? Prawie nie zdążył jej powstrzymać, zadrasnęła go, ale co się właściwie stało? Okazało się, że nie trzeba od razu chwycić za broń, aby rozbroić napastnika... Wygląda więc na to, że może być jeszcze do czegoś przydatny? Póki Julia szarpie się z guzikami kaftana, Gustaw pogrąża się we własnych myślach, kiedy jednak żona zaczyna ściągać z niego koszulę... i krzyczy wystraszona...

- Uspokój się, Julio. To śmieszne, lamentować z powodu byle zadrapania.

- To dla ciebie śmieszne? Och, Gustawie! Myślałam, że umrę w tamtej chwili! Gdybyś nie zdążył... Od tego, co mówiła, do tej pory mam zamęt w głowie...

- Nareszcie widać ranę! - Siergiej odsuwa rozhisteryzowaną pannę, lekko szturchając Gustawa. - Spryciarz utarł nam wszystkim nosa, no nie? Podaj mi chusteczkę, Julio. Święta woda, lecząca, tak wiedźma mówiła? Zaraz to sprawdzimy.

- Zaczekaj! Nie jestem godny, bo nie otrzymałem błogosławieństwa! To draśnięcie samo się zrośnie.

- Nie gadaj głupstw! - Siergiej zręcznie oczyszcza ranę, potem płucze chustkę w strumieniu spływającym kamiennym korytem i przyciska mokre płótno do buchającego krwią „draśnięcia”. - Wasz opat pobłogosławił nas wszystkich, na wszelki wypadek. Jasne, że ranka sama by się zabiłiła, ale dlaczego nie spróbować? I co, Gustawie? Krew już przestała płynąć?

- Woda szczypie - stwierdza ze zdziwieniem młodzieniec - i ściąga skórę. Już chyba po wszystkim. Muszę to dokładnie obejrzeć!

- Cierpliwości. Nawet cud wymaga trochę czasu. Posłuchaj: a gdybyś tak zanurzył w

zdroju ręce?

- Myślisz, że by mnie uleczył? Wyzwolił od przekleństwa?

- Święta woda, wszystko lecząca, dobroczynna - szepcze Julia.

Gustaw przymyka na chwilę oczy, potem je otwiera i unosi pobladłe lico ku niebiosom prześwitującym przez gałęzie platanów. Spuszcza wzrok na śnieżnobiałą i niemal już suchą chusteczkę. Nieco drżącymi dłońmi zdejmuje opatrunek z rany.

Rana znikła. Tylko czerwona nikska w oczach blizna przypomina o niej.

- Cud! - wzdycha Julia.

Stojąca obok Małgorzata niczego nie widzi i nie słyszy. Tamten głos wciąż dźwięczy jej w uszach: wykrzykujący przekleństwo zabójcom, żale nad nią i życzenie śmierci. Śmierci z rozpacz. Nieszczęsna księżniczka, oddana w łapy bestii...

Andrzej zbliża się do żony, bierze jej dłonie w swoje. Jakie zimne, wręcz lodowate! W jej oczach błyszczą zastygłe, niewyplakane łzy. Jakież zły los przygnął tę staruchę! Przygórce zdobywał Gordiusz. Na królewski rozkaz, jakżeby inaczej?

- Małgorzato...

- Nie, mój królu i mężu! Wiem, że chcesz się usprawiedliwić... Nie pora na to! Jestem twoją żoną i nie mam prawa cię nienawidzić. Spróbuję się z tym uporać. Na razie odejdz, zostaw mnie... Julciu, chodź, przejdźmy się!

- Dobrze - szepcze z ciężkim westchnieniem król - jak sobie życzysz, żono. Nie sądz jednak, że cię zostawię na długo.

Andrzej przesuwając wzrokiem po małżonce, potem spogląda na Gustawa, zatrzymując spojrzenie na bielejącej bliźnie w miejscu, gdzie ugodził nóż szalonej wiedźmy... nóż, który mógł zranić Julię lub Małgorzatę.

- Miłościwy panie... - Siergiej wyciąga dłoń, jakby chciał dotknąć zabliznionej rany, lecz nie ma śmiałości. - Może weźmiemy ze sobą zapas tej wody?

- Nie możemy - odpowiada król. - Na to błogosławieństwa nie było.

- Niczego by to nie dało - mówi Gustaw z bladym uśmiechem. - Powiadają, że woda czerpana ze źródła traci poza nim moc. Słyszałem o tym, lecz nie wiedziałem, że tak jest naprawdę.

- Gustawie... - Prawdę mówiąc, króla Andrzeja w tej chwili mało obchodzi cudowne uleczenia. - Być może uratowałeś życie mojej małżonce, a może swojej. Nie wiem. Jednakże ocaliłeś mój honor! I w pewnym stopniu honor mego teścia, gdyż stało się to na jego ziemiach! Jestem ci wdzięczny i na pewno tego nie zapomnę.

- Masz prawo, panie, pamiętać o tym lub zapomnieć - mamrocze młodzian. - Nie



myślałem o twojej wdzięczności. Właściwie o niczym nie myślałem. Po prostu bałem się o nie.

- Królu! - Siergiej chwyta Gustawa za ręce. - Powiedz mu, że ta woda go uleczy!

- A właśnie - mówi Andrzej, zaglądając w mętne oczy młodzieńca - spróbuj. Wszystkich nas przecież pobłogosławiono!

Gustaw bierze głęboki wdech i zanurza ręce w Zdroju. W czystej, zachwycająco chłodnej wodzie... świętej, wszystko leczącej... dobroczynnej. Na jedną chwilę wydaje się mu, że dłonie rozpuszczają się w niej niczym szczypta soli, potem pojawiają się znowu, wypełnione iskrami życia... wreszcie Zdrój odpycha je.

Zaiste, straszny to moment, kiedy nie wiadomo jeszcze, czy niemoc znikła. Gustaw ogląda mokre ręce, nie podnosząc oczu na stojących wokół ludzi w pełnej wyczekiwania ciszy. Wzrok młodzieńca pada na nóż staruchy wciąż jeszcze leżący na kamieniach. Może się uda! Próbuje go podnieść.

Nie udaje się.

Dłoń spoczywa na kościanej rękojeści, wyczuwa ją, lecz nie może się zacisnąć. Bolesne rozczarowanie, które zaraz jednak znika, Gustaw czuje bowiem, że jego dłonie stały się jednak inne: pewne i zwinne jak dawniej. No cóż, widocznie różne bywają klątwy i różne uleczenia. Ogarnia go dawno zapomniany zapał. Czy rzeczywiście tylko broń czyniła go takim, za jakiego siebie uważał i jakim pokochała go Julia? Przynajmniej przestał być głupcem! Prostuje się i spogląda w oczy innych.

- Wybacz - szepcze ochryple Siergiej.

- Daj spokój - odpowiada Gustaw - broń bronią, ale czuję się znacznie lepiej! Całkiem inaczej! Jeśli chcesz, zmierzmy się teraz na próbę?

Nad Zdrojem zalega cisza znacznie głębsza niż parę minut temu. Pełna niedowierzania, zdumienia i szczęścia. Odpowiednia dla cudu.

- Nie wypada się zakładać - śmieje się Siergiej. - Ale... zaczynaj, Gustawie!

Obchodzą się ostrożnie, jakiś czas przyglądając sobie uważnie nawzajem, wypróbowując wzajemnie mylnymi wypadami. W końcu następuje prawdziwe zwarcie. Siergiej początkowo obawia się okazać całą siłę, lecz Gustaw wykonuje nieoczekiwanie zgrabny cios, po którym olbrzymi kapitan musi się mocno natężyć, żeby zachować równowagę. Ci, którzy przybiegli, słysząc okrzyki Julii i Małgorzaty, z trudem przeciskają się przez krąg i widzą w końcu, jak przyciśnięty do ziemi Gustaw przestał stawiać opór i klepie Siergieja po ramieniu. Ten wstaje, pocierając prawicą podbródek, lewą zaś wyciąga, by pomóc podnieść się przeciwnikowi. Gustaw śmieje się radośnie, wskazując coś dłonią.

- Patrzcie!

Wszyscy: Siergiej, Małgorzata, Julia i król Andrzej ze swym orszakiem spoglądają w stronę, którą wskazuje młodzieniec. Widzą, jak nad Zdrojem wzbija się ku koronom platanów i południowemu niebu niezwykle jasna tęcza.

Gustaw podnosi się, podchodzi do króla i przyklęka na jedno kolano.

- Panie, jestem młodszym synem ze szlacheckiego rodu, wolnym od zobowiązań i przysiąg, oprócz przysiąg złożonych mej żonie Julii, jak wiesz. Powierzam ci swój los i swoje życie.

- Jestem gotów je przyjąć, Gustawie, dając w zamian opiekę. Przysięgam w tym świętym miejscu.

Gustaw wstaje, dotyka otwartą dłońią wody i mówi szczęśliwym, triumfalnym tonem:

- Tutaj, u Dobroczynnego Zdroju Przygórza, ja, Gustaw, wolny od innych zobowiązań, ogłaszam się wasalem Andrzeja, króla Dwunastu Ziem. Przysięgam służyć mu wiernie i uczciwie, powierzając suwerenowi życie i honor. Tak mi dopomóż Bóg!

- Ja, Andrzej, władca Dwunastu Ziem, przyjmuję wasalną przysięgę Gustawa. Tutaj, u Dobroczynnego Zdroju, obiecuję chronić jego honor na równi z własnym i rozumnie rozporządzać jego życiem. Tak mi dopomóż Bóg!

Królowa Małgorzata obejmuje Julię i powiada:

- A jednak to nie klątwy rządzą naszym losem.

# PORANEK KSIĘCIA

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Przeglądam przedmioty rozłożone na stole. Przybyło ich. Wszystko, co może pomóc w dochodzeniu, zwożone jest z całej Targali. Oczywiście nie wszystkie te rzeczy miały kontakt z interesującymi nas ludźmi, pochodzą jednak z odpowiednich czasów i konkretnych miejsc. Dlatego każda z nich jest użyteczna. Któryś raz z rzędu zastanawiam się, jak wiele wydaje klasztor na moje dzieło. I jak wielka jest moja odpowiedzialność...

Przestałem podążać za weselną kareta. Odłożyłem na bok broszkę ze szkarłatną kroplą korundu i dzikookiego wilka stepowego. Starucha przy Dobroczynnym Zdroju skierowała wszystkie myśli Przewielebnego ku Trudnym Czasom. „Królewska para i księżę Karol, oto, czym powinieneś się zająć, Błażeju, nie zaś śledzić zakochanych, jak wiejska plotkarka” - tak do mnie rzekł.

Szkoda mi pozostawiać Julię i Gustawa, zdążyłem się już do nich przywiązać. Kiedyś jeszcze na nich spojrzę. Trzeba się także dowiedzieć, jak ułożyło się życie Małgorzaty. Teraz myślę o Karolu. Chłopcu, którego gnomy nazwały nadzieją Podziemia. Dlaczego? Co wiedzieli i co przepowiadali? Trudne Czasy jeszcze się wówczas nie zaczęły, może więc uprowadzili go z nadzieją ich powstrzymania?

Podziemni opowiedzieli mi raz legendę o Kamiennej Wyroczni, przenikającej mroki głębin i ukazującej drogę zbawienia. Może to nie była tylko legenda?

„Zaczekamy, aż podrośnie” - powiedział wtedy czarodziej. Ja jednak nie muszę czekać, tylko zdecydować, który przedmiot wziąć do ręki. Paradna szarfa króla Henryka Okrutnego, jedyna należąca doń rzecz spośród przyniesionych. Co jeszcze?

Tracę na ową szarfę parę dni bez żadnego efektu. Władca rzadko ją nakładał. Audiecje ambasadorów, uroczyste nabożeństwa, wizyta w Misji Południowej. Tam właśnie monarcha zdjął szarfę i wręczył kapitanowi, który odparł atak piratów. To wszystko. Kapitan potraktował królewską nagrodę poważnie i złożył ją w kościelnej kaplicy. Przeleżała tam Trudne Czasy w ciszy i spokoju. Zapewne teraz tam powróci. Co mogę wziąć w zamian?

Pastorał misjonarza, miedziana taca, piracki nóż i jeszcze kilkanaście innych cennych

przedmiotów, które okazały się jednak nie tak dawne, jak sądziliśmy.

Stara waza do zupy z kuchni pałacowej rzeczywiście pamięta czasy króla Henryka i jego małżonki, Niny.

Plotki kucharzy i pomywaczek: kto z kim obściskiwał się wczoraj w spiżarni, jaki wyraz twarzy miała mleczarka, kiedy główny cukiernik klepnął ją w zadek, kto dostał dzisiaj pensa od kronikarza... Niczego ciekawego! Chociaż pens dziejopisa początkowo mnie zainteresował. Szybko się jednak wyjaśniło, że dziejopis zbierał nowinki. Do pałacowej kuchni docierało więcej miejskich ploteczek niż do dworzan, a kronikarz opłacał tylko te najciekawsze. Ciekawe, jaki z nich robił użytek: zapisywał w kronikach, czy w raportach dla swego tajnego mocodawcy? Nie zdołałem tego dociec. Ojciec Przewielebny już raz napominał mnie za zbytne interesowanie się dziejopisem. Przekazuję mu to, czego udało mi się dowiedzieć i przeor zgodził się, że waza do niczego się nam więcej nie przyda. Na moje oświadczenie, że nie ma już z czym pracować, wzrusza ramionami i odpowiada:

- Czytaj kroniki i wypoczywaj. Skoro spodobało się Panu utrudnić nam zadanie, trzeba się uzbroić w cierpliwość.

Rąbię drwa, odgarniam śnieg ze ścieżek, pomagam w refektarzu. Żyję zwykłym klasztorным życiem. Czekam. Zdarza się... Nie, nie „zdarza się”, lecz „każdego dnia”! Każdego dnia, kiedy dotykam drogiego papieru kronik, chcę przywołać swój dar. To wielka pokusa dowiedzieć się tego, co wiedział autor i odkryć jego tajemnicę... Powstrzymuje mnie zakaz Przewielebnego. A także świadomość, że za złamanie zakazu zapłacę nie ja, tylko brat Sergiusz, brat Jan albo brat Bernard, którym polecono mnie pilnować.

Akurat tego dnia, kiedy pokusa staje się prawie nieodparta, Ojciec Przewielebny odwiedza mnie. Kładzie na stole bezkształtny rdzawy odłamek i mówi:

- Spróbuj, Błażeju, odnaleźć księcia Karola.

Biorę go do ręki ostrożnie, żeby nie rozsypał się w czerwony pył. Okazuje się ciężki i ciepły, jakby rozgrzewała go wewnętrzna pamięć... Był umocowaniem dla naściennego świecznika, orientuję się. I widzę...

## **2. KSIĄŻĘ KAROL, NASTĘPCA TRONU TARGALI**

Karol nie wie, co go zbudziło. Stukot? Skrzypnięcie? A może czyjeś badawcze spojrzenie? Jakby go ktoś szturchnął w bok!

Ziewa słodko i otwiera oczy. Niania śpi w fotelu pod ścianą. Ostatni raz, uświadamia sobie. Dzisiaj kończy sześć lat i odtąd będzie sypiał samotnie, a do tego ojciec obiecał podarować mu szpadę i kindżał! A matuchna powiedziała, że nadszedł dla niego czas, by

nauczyć się wszystkiego, co powinien umieć wielki król. To będzie bardzo trudne, dodała, ale ty przecież podołasz temu, czemu inni nie dadzą rady? I chcesz tego dokonać, prawda, synku?

Sen uleciał. I po co dłużej spać, skoro dzisiaj jest dzień urodzin! Wczoraj twardo postanowił uprosić mamę, żeby zabrała go ze sobą na wieczorny spacer! Trzeba pójść do niej zaraz, dopóki jeszcze jest sama. Im szybciej, tym lepiej! Oby się tylko matuchna nie rozgniewała, w końcu księciu nie wypada zebrać. Karol siada, odrzucając kołdrę.

Natrafia wzrokiem na oczy gнома.

- Dzień dobry, książę - huczy gnom głębokim basem.

- I tobie, cny staruszku - grzecznie odpowiada książę. - Skąd jesteś?

- Z Podziemia, książę. Słyszałeś o Podziemiu?

- Słyszałem - woła radośnie Karol. - Wyrabiacie najlepszą broń na świecie!

Gnom kiwa głową i zaraz proponuje:

- Chcesz to zobaczyć?

- Chcę! - Chłopca ogarnia euforia, gdy słyszy tak wspaniałą propozycję. - A czy mogę?

- Zapraszam cię, książę. Będziesz mile widzianym gościem w Podziemiu.

Karol zrywa się z łóżka i zaczyna ubierać. W pewnej chwili jednak nieruchomieje i mówi nieufnie:

- Chyba powinienem zapytać kogoś starszego. Matuchna nie lubi, kiedy nie wie, gdzie jestem.

- Królowa matka jeszcze śpi - oznajmia gnom. - Tak samo twój rodzic, król. Kogo zatem zapytasz? Wrócisz, nim się zdążą obudzić. Opowiesz im, gdzie byłeś i co ciekawego widziałeś.

- Dobrze - decyduje się Karol. - Chodźmy, jestem gotów.

Fragment ściany uchyla się, odsłaniając niezgłębioną ciemność tunelu.

- Weźmiemy ze sobą lampę, książę - mówi gnom. - Nie będziesz musiał iść po omacku.

W tej chwili wbiega do komnaty królowa, bosa, potargana, w nocnej koszuli, z oczyma oszalałymi ze strachu.

- Karolu! Chodź do mnie... Straże! Straże!

- Matuchno... - Karol nie zauważa nawet, kiedy znajduje się w macierzyńskim uścisku.

- Matuchno, zaprosili mnie w gości, mogę iść?

Wpada z łoskotem zaalarmowana straż, gnom zaś, zapewne nie chcąc kusić losu, postanawia zejść z oczu przerażonej matce i uzbrojonym wartownikom. Znika w mroku

tajnego przejścia i ściana zamyka się za nim.

- Jak mogłeś, Karolu! - woła królowa z przerażeniem. Potrząsa synem, wymierza mu policzek...

Wchodzi król.

- Co to za hałasy, Nino?

- Zaprosili mnie w gości - pochlipuje Karol. - A matuchna wezwała strażę! I jeszcze mnie bije!

- W gości? - dziwi się król. - Kto?

- Gnom! - krzyczy Nina. - Już go zabierał!

Władca purpurowieje na twarzy.

- Czy nasz syn nigdy nie będzie bezpieczny? - pyta Nina ledwie dosłyszalnie. Wciąż trzyma Karola, który niezręcznie czuje się w matczynych uściskach, lecz nie chce rozdrażnić matki jeszcze bardziej. Lepiej trochę odcierpieć. Uspokoi się i wtedy go puści.

- Przysięgam - woła król - że pożałują, iż ośmielili się do mnie przyłązić ze swymi śmiechu wartymi żądaniami!

- Jakimi żądaniami, mój mężu? - Zdziwienie królowej w jednej chwili zmienia się w zrozumienie. - Co takiego chcą uzyskać? Dlaczego grożą naszemu synowi? Czego chcą?

- Są niezadowoleni, że ludzie kopią, poszukując rud i minerałów, że wydobywają z ziemi kamień, glinę i sól. Twierdzą, że mój dziadek zabronił ludziom wydobywać podziemne bogactwa tam, gdzie mieszkają gnomy, ja zaś naruszyłem ten zakaz. W tamtych czasach jednak gnomy mieszkały tylko pod górą Zielonkawą i Wilczą Przełęczą, tak więc ludziom zostawało dużo miejsca, aby swobodnie ryli w ziemi! A obecnie nieludzie rozplenili się po całej Targali i żądają dla siebie bezwarunkowo wszystkiego, co znajduje się pod powierzchnią. Wszędzie! Nawet studni nie wolno wykopać bez ich zgody! Nino, to przecież dla nas zniewaga!

- Zniewaga - powtarza królowa. - A czy nie jest zniewagą, że do książęcej sypialni wchodzi, jak do siebie? Czyj to w końcu pałac? Chyba nie podziemnych nieludzi?

Dreszcze mijają, lecz strach jej nie opuszcza. Ten sam strach, jaki czuła przed laty, gdy jej maleńkiego synka uprowadzili podziemni...

- Wytepię to wraże plemię! Nie będą rządzić się w moim pałacu i królestwie!

- Ale jak zdołamy dostać się do Podziemia?

- Bardzo prosto! Obiecuję królewską nagrodę: złoty dukat za głowę gнома, dziesięć za znalezienie wejścia do Podziemia... dziedziczne prawo własności na odebrane im dobra i dochody z kopalni aż do ostatniej grudki miedzi! Zaraz zaczną na nich polować! Mówiłem, że

pożalują? Nie będzie miał kto żałować!

- Należało to zrobić od razu... wtedy.

- Nie wiem, co mnie powstrzymało - mówi król, wymachując pięścią.

- Ale ja wiem. - Nina podchodzi do króla, ujmując jego dłoń. - Najpierw ślub Małgorzaty, potem posłowie Imperium, wyjazd do Gotwinia, jesienny turniej i tak jakoś zeszło. Teraz jednak zadbajmy o bezpieczeństwo naszego syna.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Nigdy jeszcze Ojciec Przewielebny, wysłuchawszy mej opowieści, nie wpadł w taką euforię. Gdyby tak zachowywał się zwykły prostaczek, sąsiedzi orzekliby zaraz: oszalał! Zrywał się, zacierał ręce, znowu siadał, pokrzykując:

- Otóż to!

Uściskał mnie, błogosławiąc i kazał zapisać wszystko dokładnie, co do joty! Musiałem powtórzyć wizję i sprawdzić, czy dobrze zapamiętałem gniewną przemowę króla. Straciłem przy tym wiele sił, ale wynagrodziła mi to po stokroć wdzięczność Przewielebnego.

Resztę dnia wypoczywałem, rano zaś znowu wróciłem do drogiego ułamka. Przeprowadzałem z nim próby cały tydzień, lecz nie dowiedziałem się wiele więcej. Królowa zabrała syna i księżę więcej nie wrócił do swojej sypialni. Królewscy gwardziści próbowali bezskutecznie otworzyć tajne przejście gnomów, król wpadał w gniew... W końcu rozkazał wystawić w komnacie stałą wartę i chwycić każdego, kto tylko wysunie nos zza ściany. Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, potem zawrócił. Obiecał pięćdziesiąt dukatów za każdego gнома schwytanego w tej komnacie.

Zasadzka istniała wiele dni i nocy, lecz okazała się daremna. Nadaremnie także szukałem w pamięci kawałka metalu czegoś więcej niż tylko nuda strażników warujących u tajnego wejścia. Wiezorami czytałem więc kroniki.

### **4. KRÓLEWSKIE KRONIKI TARGALI, ZAWIERAJĄCE**

#### **KU WIECZNEJ PAMIĘCI POTOMKÓW IMIONA**

#### **GODNYCH KRÓLEWSKIEJ NAGRODY**

„Pierwszym, który otrzymał królewską nagrodę, zwaną przez lud gnomyczną premią, był rusznikarz, Fryderyk Południowiec. Złożył do królewskich stóp cztery głowy gnomów. Oznajmił przy tym, że gnomy szły od jego sąsiada, Mateusza Krzywego, na co ma świadków.

Wszyscy wiedzą w ich dzielnicy, dodał mistrz Fryderyk, że Mateusz uczył się rzemiosła u gnomów i dotychczas z nimi współpracuje. Nasz wielki król skazał Mateusza na śmierć wraz z jego synem, Jędrzejem, jako dorosłym współnikiem. Nakazał egzekucję na głównym placu, po obiedzie, w obecności wszystkich rzemieślników Korwarenu, żeby ujrzeli, jak kończą się konszachty z podziemnymi nieлюдźmi. Rodzinę skazańców król wygnał ze stolicy i wszystkich ziem Korony, a dobytkiem ich wynagrodził majstra Fryderyka, z wyjątkiem tej części, która poszła na zapłatę dla kata".

Zamykam księgę i przymykam oczy. Podłość ludzka jest niezmienna od wieków!

- Mamy też księgę zatytułowaną *Rejestr królewskich nagród* - cicho mówi brat bibliotekarz. - Jest w niej dużo podobnych zapisków. Mnóstwo, Błażeju. Co najmniej połowa korwareńskich rzemieślników została stracona w ciągu paru miesięcy, dopóki król nie zdał sobie sprawy, że za chwilę wygubi wszystkich, kazał więc za oszczerstwa ściąć głowy donosicielom. Jeszcze o tym przeczytasz. Chociaż, jak sam zauważyłeś, kronikarz królewski mylił się tylko wtedy, gdy wymagał tego interes państwa...



# KARCZEMNE PLOTKI

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Znowu nie wiem, jaki przedmiot wziąć do ręki, i znów odczuwam pokusę... Zastanawiam się, dlaczego nie wolno mi powołać się na świadectwo kronikarza królewskiego? Pewnego dnia przeczytałem w kronikach o niepokojących stolicę pogłoskach: o dwugłowych cielętach, które zrodziły się z dwunastu krów w stadzie należącym do królewskiego krewniaka, Ludwika, władcy Działki Północnej, o podrzuconym odmieńcu w Przygórzu i zaczarowanym skarbie gnomów, który obrócił nieszczęśliwego znalazcę w kamień. Zapytałem więc znów Ojca Przewielebnego, czy nie mógłbym zająć się powtórnie królewskim dziejopisem. Można przecież dzięki temu dowiedzieć się co, a przede wszystkim: JAK mówiło się wtedy o tych sprawach w Korwarzenie.

- Widzę, Błażeju - odpowiedział z westchnieniem Przewielebny - że nie możesz o nim zapomnieć. Naprawdę jesteś jak ciekawska kumoszka! Próbujemy odkryć wielką tajemnicę, ciebie zaś intryguje sprawa nic nieznaczącego człowieka. No cóż, spróbuj, bo widzę, że inaczej nie dasz mi spokoju.

Tak zawstydzony, nie rezygnuję jednak z realizacji mego pragnienia i wdzięczny jestem Przewielebnemu za wyrozumiałość dla mej słabości. Wróciwszy do siebie, natychmiast otwieram kronikę. Wodzę końcami palców po gładkim, przyjemnym w dotyku papierze. I otwieram się na jego pamięć...

## **2. KRONIKARZ KRÓLEWSKI**

Karczma, nawet gwarna i zatłoczona jak „Płetwa Rekina”, nie nadaje się na spotkanie. Do siebie jednak może kronikarz zaprosić każdego. To jego nienaruszalne prawo, istota jego pracy. Komnatka jest odpowiednio zabezpieczona przed niepowołanymi uszami. Nie pożalował pieniędzy na właściwe zakłęcia...

Dzisiejszy gość nie jest zwyczajnym mieszczaninem, sługą królewskim czy też kurierem, przywożącym wraz z depeSZami nowości z wszystkich krańców Targali i krajów ościennych. Wygląda na arystokratę wybierającego się w daleką i niebezpieczną drogę:

płaszcz dobrej jakości, lecz nierzucający się w oczy, pod spodem czarna kurtka, czarne zamszowe spodnie wpuszczone do wysokich butów, pas obciążony nie tylko sakiewką, ale także parą kindżałów. Wyraźnie czuje się tu jak u siebie, podobnie chyba jak wszędzie, dokąd zanosi go niezwykły los.

- Zostawiłeś dla siebie listę majstrów, o których mnie informowałeś?

- Po co, mój panie? Mam dobrą pamięć. Wszystkie raporty mogę powtórzyć, choćby zaraz, słowo w słowo. A także wszystko, co usłyszałem ciekawego i to, co nie jest w tej chwili zbyt interesujące, ale może przydać się później. Pamiętam, gdzie i od kogo się dowiedziałem. Ufam swojej pamięci, lecz nie papierowi.

- Dobrze, że jesteś roztropny. Zresztą zorientowałem się już w tym z twoich doniesień. Powiedz teraz, czy mógłbyś rozpuścić po Korwarenie pewne pogłoski?

- Nic prostszego, mój panie. Któż zwątpi, że jestem dobrze poinformowany?

- Doskonale. Zaczniemy więc od... - Rozmówca kronikarza zastanawia się chwilę z drapieżnym uśmiechem na pociągłym obliczu. - Zaczniemy od małej sprawy. Pamiętasz królewskiego wróżbitę, którego wygnano w związku ze ślubem księżniczki?

- Oczywiście.

- Mówią jeszcze o nim w stolicy?

- Nie, panie. Kogo obchodzi zeszłoroczny śnieg?

- Niech go znów złączą wspominać i ową przepowiednię, przez którą popadł w niełaskę. Niech mówią, że wszystkie poprzednie jego wróżby się spełniły. Że jest świętym natchnionym Bożą Światłością. Że przepowiedziane nieszczęścia już nadchodzą, co zrozumie każdy, jeśli weźmie pod uwagę wszystkie wypadki, jakie ostatnio wydarzyły się w różnych zakątkach Targali.

Kronikarz przymyka oczy, zaciska dłoń na gęstej bródce. Mamrocze coś pod nosem. Kiwa głową - ni to do gościa, ni to do własnych myśli.

- Takie wieści prędko obiegają cały Korwarren, mój panie. Trzeba jednak będzie zacząć od końca.

- Od którego dokładnie? - pyta gość, chichocząc.

- Jeśli coś złego zdarzy się w jakiejś głuszy, w karczmach Korwarrenu na pewno o tym nie będzie głośno. Skoro ludzie mają porzucić powszednie ploteczki, powinno się zdarzyć coś naprawdę przerażającego.

- Oho! Jesteś mądrzejszy niż myślałem.

- Nie, panie, po prostu dobrze się rozumiemy. Ale czuję się doceniony. - Dziejopis kłania się grzecznie. - Dziękuję za pochwałę.

- Tego dnia, kiedy Korwaren zapomni o zwykłych plotkach, moja pochwała wyniesie tysiąc złotych imperialów.

- Myślę, że mi się przydadzą, ale lepiej, żeby czekały na mnie za morzem. Dasz mi znać, panie, kiedy nadejdzie pora podróży do ciepłych krajów?

- Sam się zorientujesz. W zależności od rozwoju sytuacji być może odpłyniemy wspólnie. Jakże zatem nieszczęścia powinny wydarzyć się na Półwyspie, żeby cały Korwaren uwierzył w przepowiednię?

### **3. POKORNY BŁĄŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Nie spieszę się z otwarciem oczu. Palce wciąż wiodą po gładkich kartach kronik. Całkowicie fałszywych kronik. Czyżby wyglądało na to, że Trudne Czasy zostały sprowokowane przez Imperium? Nie podoba mi się ta myśl. A jednak chyba jest bliska prawdy! Trudne Czasy osłabiły Targalę. Właśnie wtedy Wyspy Południowe zostały przyłączone do Imperium Chandzarskiego, które zaczęło panować na morzach. Wtedy również zebrała się po raz pierwszy Najświętsza Kapituła, a stało się to w Icz-Toiwinie, ówczesnej stolicy Imperium! Do dzisiaj zbiera się tamże, raz na trzy lata i właśnie tego lata pojedzie tam nasz Ojciec Przewielebny... To wielki zaszczyt dla klasztoru! Może dlatego Przewielebny zabraniał mi zajmować się kronikarzem? Czyżby ten, którego uznałem za zdrajcę, pracował dla Świętego Kościoła? Obecnie, jak mówią, Kościół ma wszędzie swoich szpiegów, może więc wszystko zaczęło się wtedy?

Oj, Błażezu, wstąpiłeś na grząski grunt! Nie wsadź nosa, gdzie nie trzeba i wycofaj się cicho, dopóki nie przekroczyłeś granicy bezpieczeństwa. Sprawy Kościoła nie są dla ciebie. Kim w końcu jesteś? Nowicjuszem w Bożych dziełach.

Wolę o tym nie rozmawiać z Ojcem Przewielebnym, choć niby powinienem...

- Przejdźmy się trochę po ogrodzie - zwracam się do brata Bernarda.

- Dobrze - zgadza się. - Wyglądasz, jakbyś wstał z martwych.

Wychodzimy do ogrodu. Na twarze kropi lekki deszczyk, wdycham więc pełną piersią zapach świeżej ziemi... Nareszcie wiosna! Jak dobrze. Można by uwierzyć, że nigdy nie było Trudnych Czasów. Po Korwarenie rozeszły się straszne pogłoski podchwyczone przez minstrelki i rozdmuchane w legendę po iluś tam latach. Wiem jednak, że to, co opowiadali niegdyś małemu ciekawskiemu chłopcu podziemni, nie było wcale wymysłem.

Kiedy spotykamy Przewielebnego, wiem też, że powiem mu o kronikarzu. Całą prawdę, żebym potem nie musiał kajać się na spowiedzi. Prawdę można jednak przekazać na

różne sposoby...

- No, Błażeju, co z naszym kronikarzem? - pyta Ojciec z uśmiechem.

- Boi się przespać tę chwilę, gdy trzeba będzie uciekać z Korwarenu - odpowiadam.

- Więc tego dowiadujesz się od człowieka obciążonego ważnymi obowiązkami - wzdycha Przewielebny. - Nie wracaj już do niego, Błażeju. Nie marnuj daru Bożego.

Schylam posłusznie głowę. Nie zrobię tego więcej. Właśnie poruszałem się po cienkiej granicy między prawdą a kłamstwem, lecz lepiej tego nie powtarzać. Cóż z tego, że Imperium i Święty Kościół przyłożyły rękę do Trudnych Czasów... To było dawno. I nie na mój rozum. Mam przecież zbadać wiarygodność podania o świętym Karolu? Zajmę się więc nim od jutra.

Ojciec Przewielebny wykonuje gest błogosławieństwa nad moją pochyloną głową.

- Posłuchaj, co wymyśliłem dla ciebie, Błażeju. W Korwarenie jest tawerna, która pozostała z Trudnych Czasów w prawie niezmienionym stanie. Oczywiście, jeśli jej właściciel nie kłamie. Możesz tam popracować jutrzejszego ranka. W sobotę powinni nam przywieźć z Gotwinia sakiewkę księcia Karola.

No pięknie. Zajęty nową robotą, mam zapomnieć o kronikarzu.

#### **4. TAWERNA „KRÓLEWSKA KOTKA”**

Tego na pewno nie oczekiwałem! Myślałem, że wyślą ze mną tylko dwóch braci do pilnowania niesfornego nowicjusza. A tymczasem dostałem chmarę ochroniarzy. Straż królewska we wszystkich drzwiach, gości wypędzono, nawet właściciel sterczy za oknem wraz z tłumem gapiów... Pracuj, Błażeju! Masz zakopcone ściany, na nich starodawny sprzęt żeglarski, dębowe stoły z nadgryzionymi zębem czasu nogami i dzwonek nad wejściem. Wybieraj!

Zaczynam od dzwoneczka. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się najlepszy. Nie pamięta jednak Trudnych Czasów i w ogóle mało co pamięta. Zrobiony został trzy lata temu. Właściciel tawerny przywiózł go z Przygórza, gdzie ukrywa się dawny uczeń gnomów, niegdyś najlepszy stołeczny złotnik i fałszerz monet, niejaki Michał Nożyk. Zlecił mu wykonać tę podróbkę staroci, za którą zapłacił sporym trzosem srebra.

Stoły, chociaż są niewątpliwie starsze, także nie pamiętają czasów Małgorzaty i Karola. Dowiaduję się od nich jedynie o egzekucji Macieja Niewielkiego, która miała miejsce nie w karczmie, lecz w pracowni, gdzie meble widziały skazańca.

- Kim był Maciej Niewielki? - pytam.

- Znanym złodziejem - odpowiada brat bibliotekarz. - Czytałem o nim w kronikach króla Sergiusza. Napisano tam, że nie było domu, do którego nie zdołałby się zakraść ani

rzeczy, której nie mógł z niego wynieść.

- Król Sergiusz był synem Karola - dodaje Przewielebny - i wnukiem Henryka Okrutnego. To były dobre, spokojne lata: Pan zlitował się i dał ludziom odetchnąć po Trudnych Czasach.

Podchodzę do ściany i dotykam czołem pociemniałego drewna. Ściany przecież chyba stały już wówczas!

I tutaj jednak spotyka mnie niepowodzenie. Pamięć ścian zatarł pożar. Być może nawet z tego samego czasu, którego poszukuję. Tylko płomienie buchają na mnie z osmalonych belek...

Brat bibliotekarz opowiadał mi potem, że tak okropnie krzyknąłem, iż wystraszyłem nawet królewskich gwardzistów. Nie pamiętam tego. Słyszałem tylko wołania kucharzy i pomywaczek odciętych przez ogień od wyjścia. Boże, ratuj!

Potem tak długo poili mnie grzonym winem, aż przestałem drżeć na całym ciele i mogłem znowu mówić. Kiedy skończyłem opowieść, Ojciec Przewielebny pokręcił głową i rzekł:

- Płonne były nasze nadzieje, że czegoś się tutaj dowiesz. Przynajmniej jednak nie możemy mieć do siebie pretensji, że nie próbowaliśmy.

I wróciliśmy do klasztoru.

# KRÓLEWSKI LAS

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Zwykła aksamitna sakiewka, wykończona kręconym sznurkiem. Nie ma na niej herbu ani monogramu, tylko maleńka czterolistna koniczyna wyszyta srebrną nicią. Jasne srebro sznura i fioletowy aksamit przypominają o barwach domu królewskiego.

- To naprawdę sakiewka księcia Karola?

- Tak mi powiedziano. - Wzrusza ramionami Ojciec Przewielebny.

Przeciągam palcem po srebrnym obszyciu. Koniczynka pamięta wyszywającą ją delikatną, wypielęgowaną dłoń. I cichy szept, poprzedzający każdy ścieg: „Zaklinam swą mocą. Zaklinam swoją wolą. Zaklinam swą miłością. Bądź tarczą dla mego syna i uchron go przed złym spojrzeniem, złym słowem i dotykiem nie ludzi. Bądź ochroną i wybawieniem”. Dłoń królowej Niny.

- Tak, to sakiewka księcia - szepczę. - Jakim sposobem znalazła się w Gotwiniu?

- Jeśli cię to ciekawi, Błażeju, na pewno się tego dowiesz - powiada Ojciec Przewielebny z wyrozumiałym uśmiechem - lecz nie jest to najważniejsze. Ujrzyj lepiej księcia Karola w zaraniu jego młodości. I pamiętaj, że możesz używać tej rzeczy tylko trzy dni. Potem będziemy musieli ją zwrócić.

- Trzy dni?!

Przewielebny rozkłada ręce, jakby prosił o wybaczenie.

- Trzy, a na dodatek jeden z nich jest świąteczny. Trzymasz w dłoni relikwię należącą do jednej z najważniejszych rodzin w Gotwiniu. Na szczęście są spokrewnieni z opatem kaplicy królewskiej. To właśnie on ich namówił, by rozstali się na krótko z relikwią dla dobra Świętego Kościoła.

Trzy dni... Jak przyjemny jest w dotyku aksamit, jak niepokojąca nierówna miękkość sznura... Tylko trzy dni.

Kiwam głową.

- Pobłogosław mi, Ojcze. Zaczę natychmiast.

## **2. KSIĄŻĘ KAROL, NASTĘPCA TRONU TARGALI**

Karol podąża tropem kłusownika.

Niskie, ciemne chmury zapowiadają śnieg. Kłusownik pewnie także na nie spogląda, myśli Karol. Czeką, aż zacznie padać. Boi się, że kara dosięgnie go szybciej, nim zimowa aura zdąży zatrzeć ślady. Nieszczęśnik, który ośmielił się podnieść rękę na królewską dziczyznę, by uratować rodzinę od śmierci głodowej. Nie zdołał jednak dokonać tego bez śladu.

Strzelał do sarny. Drgnęła mu dłoń ze strachu czy po prostu nie umie celnie strzelać? Tak, czy inaczej, miał czelność wejść z bronią do królewskiego lasu! Teraz ściga zranioną zwierzynę, jego zaś ściga prawo.

- Sarna słabnie? - pyta Karol. - Zdaje mi się, że jest więcej krwi i trop robi się coraz bardziej nierówny.

- Masz słuszność, książę. - Herbert ujmuje wygodniej samopał. - Brawo! Powinni być niedaleko.

Karolowi towarzyszą tylko Herbert i Józef, dwaj królewscy łowczy. Zapewne dlatego książę tak lubi spędzać czas w owym lesie. W Korwaranie matka zbyt narzuca mu się z opieką.

Słyszą straszny krzyk od strony, w którą prowadzi podwójny ślad znaczony plamami posoki. Dziki wrzask, pełen śmiertelnego przerażenia, który urywa się nagle, jak nożem uciął.

- Co to było? - pyta wstrząśnięty książę.

- Mamy obowiązek to sprawdzić, Karolu - powiada z cicha Herbert - ale nie powinniśmy ciebie narażać.

- Bzdura - sprzeciwia się książę z dumną pewnością siebie. - Wiesz przecież, że nawet moja matka zgodziła się w końcu, bym z wami polował. Zdaje się, że tam właśnie jest na kogo polować.

- Królowa matka powierzyła nam twoje bezpieczeństwo.

- A mój ojciec, król, kazał wam zrobić ze mnie myśliwego i chyba nieźle wam to wychodzi.

- Jesteś pojętym uczniem - mamrocze Józef. - Nie tchórz, Herbercie, jesteśmy przecież we trzech. Zobaczmy, co się stało z naszą dziczyzną.

- Odpowiesz mi za tego tchórze - burczy Herbert. - Karolu, bądź gotów do strzału.

- Jestem - odpowiada książę, unosząc samopał. - Idziemy?

Herbert potwierdza skinieniem głowy i rusza do przodu. Karol, jak zwykle w niebezpiecznych sytuacjach, trzyma się nieco z tyłu, po prawej stronie. W takiej chwili nie przyznałby się do tego głośno, ale wrzask go jednak wystraszył. Uwielbia ten las, w którym

spędza najlepsze chwile swego życia, więcej czasu niż wypada następcy tronu - tak powiada jego matka za każdym razem, gdy się tutaj wybiera i kiedy powraca stąd do stolicy. Takie wycie usłyszał jednak pierwszy raz w życiu i lepiej nie myśleć, co może oznaczać. Jako czternastolatek wie już jednak, że strach można pokonać tylko mierząc się z nim oko w oko.

Nie trzeba iść daleko. Karol był bardzo uważny, a jednak szczęk zamka strzelby Herberta i ryk zwierza zaskakują go. Przegapić taką olbrzymią bestię! Książę, twoja kolej... Karol strzela, kiedy niedźwiedź staje na tylnych łapach dziesięć kroków od niego, trzy kroki zaś od wyciągającego myśliwski nóż Herberta. Strzela jak we śnie, bez namysłu, bez celowania i obawy, że spudłuje... Dopiero chwilę później strzał Józefa budzi go i przypomina, że to się dzieje naprawdę. Książę spogląda otępiałym wzrokiem na niewiarygodnie ogromnego zwierza walącego się na ziemię i uskakującego Herberta. Nogi uginają się pod Karolem, chwytą się więc rosnącego w pobliżu młodego dębczaka, głęboko wciągając powietrze. Nie może jednak oderwać oczu od tego, co się dalej dzieje. Łowczy krzątają się wokół powalonego niedźwiedzia. Książę powinien im pomóc, lecz cały się trzęsie jak wystraszony szczeniak. Może dlatego, iż zrozumiał, co zobaczy u końca tego przekłętą tropu.

- Prosto w serce - informuje Józef, stając przed nim. - Gratuluję, książę, trofeum. Ojciec będzie z ciebie dumny.

- Prawdę mówiąc, trochę się bałem... - Karol z trudem odrywa oczy od martwego zwierza.

- Strach w niczym ci nie przeszkodził - odpowiada łowczy z ledwie zauważalnym uśmiechem. - Tym większy triumf. Wspaniały strzał, książę.

- Wy także strzelaliście.

- Pocisk Herberta poszedł po wierzchu czerepu. Taka bestia ma twardy łeb i tylko ją to rozdrażniło.

- Ale ty strzeliłeś?

- Strzeliłem. Całkiem nieźle, ale ty byłeś pierwszy. Łyczka? - Józef wyciąga w stronę księcia dłoń z manierką.

- Tak, chętnie. - Karol pociąga łyk, wzdryga się i krzywi na twarzy. Wino jest bardzo kwaśne, lecz mocne, dobre na rozgrzewkę. - Dziękuję, Józefie. Jestem gotów iść dalej.

- Herbert sam sobie da radę.

- Muszę - mówi cicho Karol.

- Dlaczego? - pyta nieco zdziwiony łowczy.

- Lepiej raz zobaczyć ten widok niż wyobrażać go sobie tysiąc razy. - Książę spuszcza



oczy. - Żaden ze mnie bohater.

- No, tego bym nie powiedział - sprzeciwia się królewski leśniczy.

- Tak - potwierdza Karol. - Nie jestem bohaterem. Często się boję. W gruncie rzeczy jednak nie lękam się samego niebezpieczeństwa. Rozumiesz? Chodzi o cienie w ciemności, tajemnicze rozmowy, niedopowiedzenia... tego, co istnieje głównie w mej wyobraźni. Niby nic się nie dzieje, ale ja się trzęsę ze strachu. Dlatego właśnie chcę... Pojmujesz to, Józefie?

- Rozumiem - przytakuje Józef. - Chodźmy popatrzeć.

Karol staje nad padłym niedźwiedziem. Trudno uwierzyć, że tak wielki stwór został powalony jednym celnym strzałem. Jeszcze trudniej uwierzyć, że był to jego strzał. Józef ma rację, ojciec będzie dumny! Matka się oczywiście przestraszy i zacznie namawiać męża, żeby nie puszczał ich syna do lasu bez należytej ochrony.

Trudno oderwać wzrok od tego ogromnego kłębowiska burch kędzi. Musi podnieść oczy i spojrzeć tam, gdzie leży ze strasznie rozszarpaną pierśią niefortunny kłusownik, a potem podejść. Chyba nie chcesz, książę, by uznali cię za tchórza? Józef: „Herbert sam sobie da radę”. Herbert: „Nie powinniśmy cię narażać”. Roger i Jeremi, którym łowczy na pewno wszystko opowiedzą... Trzeba tam podejść, Karolu!

Grzęznąąc w śniegu, zaciskając zęby, żałując, że wstydził się poprosić o jeszcze jeden łyk z manierki Józefa, Karol zmierza w stronę Herberta.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Dzień świętego Karola...

Dzisiaj odprawiamy świąteczną mszę poranną, potem odbywa się procesja po Korwarzenie, później uroczyste nabożeństwo na placu przed pałacem królewskim, następnie wracamy do klasztoru i po obiedzie modlimy się do wieczery. Po wieczery znowu procesja z pochodniami, po czym odbywają się ludowe zabawy do białego rana z fajerwerkami, muzyką i tańcami przy ogniskach na wysokim brzegu rzeki. Rankiem puszcza się wianki na wodę.

Zawsze mamy piękną pogodę.

- Tego dnia, Błażeju, urodził się książę Karol. - Ojciec Przewielebny zwalnia kroku, zrównując się ze mną. Idziemy korwareńską ulicą, przodem bracia, za nimi nowicjusze, a wiatr pachnie wiosną. - Uznano to za dobry znak i dlatego książę otrzymał miano świętego. Rok po śmierci króla Karola Kapituła Targali zwróciła się do Najświętszej Kapituły o zaliczenie zmarłego w poczet błogosławionych. I od tamtego czasu czcimy tego dnia dwóch

świętych. Obecnie mało kto o tym pamięta, gdyż sens świątecznych dni zaciera się z czasem w ludzkiej świadomości.

Przewielebny przyspiesza, doganiając czoło naszego pochodu. Cały dzień wracam myślami do jego słów. Ciągłe też przywołuję i rozpatruję drobiazgowo wczorajszą wizję polowania, rozmyślając o młodym księciu i Trudnych Czasach. Pod wieczór przestaję radować się świętem. Pragnę wrócić do celi i położyć dłoń na fioletowo-białej aksamitnej sakiewce zachowującej pamięć tamtych dni. Przed nami jednak wesoła świąteczna noc przy ogniskach, kiedy nawet bracia mogą zapomnieć o zakonnej regule.

Znajduję Ojca Przewielebnego w towarzystwie, do którego chyba nie zbliżyłby się zwykłego dnia. Bogato odziani, władczy, pewni siebie panowie... Biały obrus rozłożony wprost na ziemi, butelki drogiego wina, srebrne pucharki. Tej jednej nocy w roku może się jednak zdarzyć wszystko. Podchodzę z ukłonem, prosząc, by Przewielebny poświęcił dla mnie chwilkę. Odciąga mnie na bok i pyta życzliwie:

- Słucham, Błazeju?

- Pozwól mi, ojcze, wrócić do pracy - szepczę, stropiony swą arogancją. - Zmęczyło mnie świętowanie. Wszystkie moje myśli są ciągle tam...

#### **4. KSIĄŻĘ KAROL, NASTĘPCA TRONU TARGALI**

Głębokie granie rogu milknie zanikającym echem wśród drzew. Pozostaje już tylko czekać. Karol siada prosto na niedźwiedzim cielsku. Ma lekkie mdłości i dlatego chce koniecznie rozmawiać, wszystko jedno o czym. Zresztą akurat jego towarzysze nie mają nic przeciwko temu.

- Całą drogę zastanawiałem się, czy zdołam strzelić do człowieka. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że go nie dogonimy. Gdyby stało się to wcześniej, nie wpadłby na niedźwiedzia.

- Koniec dla nędznika byłby jednaki - burczy Józef. - Tylko że niedźwiedź...

- Jest lepszym trofeum dla księcia niż wiejski dureń zajmujący się kłusownictwem. - Herbert pociąga z manierki i przekazuje ją Karolowi. Jego wino jest jeszcze bardziej cierpkie niż to od Józefa i mocniej uderza do głowy. - Chyba powinieneś, księżę, wrócić teraz od razu do domu. Twój dostojny ojciec z pewnością odpowiednio doceni taką zdobycz.

- Nie chcę! - Karol kręci głową, pokaszując. - Miałem tu spędzić cały tydzień. Zostały jeszcze trzy dni!

- Niedźwiedź to... - Herbert zajakuje się, odbiera manierkę od Karola, pociąga kolejny łyk. - To chwala przyszłego króla, chciałem rzec. Ktoś nadchodzi!

Karol nasłuchuje i szepcze:

- Niczego nie słyszę.

- Nadchodzą - potwierdza Józef. - Kilku ludzi, trzech albo czterech. Pewnie zbiegowie. Mają ze sobą dziecko. Zajdź ich od tyłu, Herbercie, my wyjdziemy im na spotkanie.

Herbert chwytą w biegu samopał i prędko znika między drzewami.

- Chodźmy, książę - szepcze Józef. - Kim by nie byli, dziecko nie powinno oglądać czegoś takiego.

Karol mimowolnie się odwraca. Oczywiście, że nie! Prawie żałuje, że sam nie jest już dzieckiem.

Od razu widać, że to zbiegowie. Karol oczekuje, że spróbują walczyć albo chociaż uciekać. Oczywiście, byłoby to głupie i beznadziejne, ale tak się poddawać bez walki... Jednakże uciekinierzy posłusznie się zatrzymują. W ich udręczonych obliczach nie pozostało nic, oprócz bezgranicznego zmęczenia. Książę oglądał już egzekucje na Placu Królewskim. Myśl, że tych ludzi czeka taki sam koniec, każe mu się im przyjrzeć z bacznyim zainteresowaniem.

Niemłody, chudy i nieprzyjemnie pociągający nosem, mrugający trwożnie oczami mężczyzna z workiem na plecach. Kobieta z małym chłopcem na rękach. Obok stoi małe nieco młodszy od Karola. Księżciu wydaje się jakby znajomy. Gdzieś już mignęła mu ta twarzyczka, tylko gdzie? Jest jeszcze siedmioletnia, może ośmioletnia dziewczynka, mocno trzymająca brata za rękę. Wyglądają, jakby zbierali się w pośpiechu: odzież mają raczej miejską, nie pomyśleli, by założyć czapki, nie mówiąc o obuwiu...

- No cóż... - Józef także ich obserwował chwilę, w końcu mówi, wzdychając: - W imieniu króla...

- Zaczekaj, Józefie! - Karol, zatapiając wzrok w chłopcu, wreszcie sobie go przypomina. - Nazywasz się Edward? Edek, wnuk pana Mikołaja ze Szkoły Królewskiej?

- Aha - mamrocze chłopczyk - a ty jesteś książę Karol.

- Książę Karol - powtarza głucho mężczyzna. - No cóż... widać, tak nam było pisane.

- Ty zaś... - książę zwraca się do mężczyzny - jesteś Tomaszem, wykładowcą historii na Uniwersytecie? Prawda?

- Byłem - odpowiada Tomasz drżącym głosem. - Historia to niebezpieczny przedmiot. Powinienem był to wcześniej zrozumieć.

- Dlaczego?

- Widzisz, książę...

- Niech pan nie odpowiada! Myślę, że nie czas na wykład. Powiedźcie lepiej, jak

znaleźliście się tutaj?

- Mam rodzinę, księżę. Dzieci. Nawet jeśli okazałem się głupcem, czemu mają za to pokutować? Miałem zamiar przedostać się do Sebasty, a tam... Świat jest wielki.

Tomasz milknie i w lesie zapada cisza. Józef spogląda pytająco na księcia. Nad czym się tu zastanawiać, skoro uciekają, z pewnością są winni. Karol chyba jednak tak nie uważa. Zastanawia się nie dłużej niż minutę.

- Józefie, zawołaj Herberta.

- Wedle rozkazu, panie. - Gwiżdże przenikliwie i jego towarzysz pojawia się za plecami uciekinierów. - Podejdź tu, Herbercie. Zdaje się, że musimy odbyć naradę.

- Tak, proszę. - Karol spogląda z wdzięcznością na Józefa. - Nie mogę wam rozkazywać, więc proszę. Czy mógłby jeden z was wyprowadzić ich z lasu jak najbliżej Sebasty?

- Powinniśmy ich zatrzymać, Karolu - mówi cicho Józef. - Wierz mi, mnie także ich żal.

- Nie ma ich jeszcze na liście zbiegów. Nie polowali w królewskim lesie. Uznaj, że zabłądzili i poprosili cię o pomoc.

- Do wieczora będą ich szukać po całej Targali. Tego, kto spróbuje im pomóc, skażą jako współnika. Nadstawiłbym głowę za ciebie, księżę, ale czy mam to zrobić dla zbiegłych przestępców?

- Nie wierzę, żeby byli przestępcami, Józefie.

- Ja ich odprowadzę - mówi z wysiłkiem Herbert. - Pod warunkiem, że Józef ukryje moją nieobecność. Tydzień konnej jazdy po ubitej drodze, oni zaś są pieszo i z dziećmi... A przedzierając się lasem, stracimy jeszcze trzy dni.

- To jak, Józefie? - pyta księżę.

- Słowo daję, robimy straszne głupstwo - odpowiada gniewnie łowczy. Odwraca się od Karola i spogląda na zbiegów oczekujących w milczeniu na wyrok losu. - Skoro koniecznie chcesz ocalić tych ludzi... Pomyśl jednak, że nie wystarczy wyprowadzić ich z lasu i tak ich schwytają, nim zdążą dotrzeć do Sebasty.

- Widzę, że wymyśliłeś coś lepszego - odpowiada powoli Karol. - Co takiego?

- Możesz im dać królewską ochronę, księżę. Masz chyba coś ozdobionego rodowymi barwami?

- Co za głupiec ze mnie! - szepcze księżę. - Że też sam na to nie wpadłem!

- Z pewnością nie miałeś jeszcze okazji posługiwać się owym przywilejem.

- Nie miałem okazji. - Karol rozchyła kołnierz i wydobywa zza pazuchy sakiewkę. -

Coś mi się tylko obilo o uszy na ten temat. Ja, Karol, następca tronu Targali, daruję panu Tomaszowi wraz z rodziną swoją opiekę i ochronę. Proszę, weźcie. - Karol wciska sakiewkę w dłoń zdumionego historyka.

- Wybacz, mój książę! Tu są pieniądze...

- Chce pan powiedzieć, że się wam nie przydadzą? Wątpię. Tak więc Herbert wyprowadzi was na drogę jak najbliżej Sebasty, a dalej już musicie sami. Tylko... nigdy jeszcze nie posługiwałem się prawem ochrony. I myślę, że przesyłanie wieści do pana Mikołaja mogłoby być niebezpieczne.

Historyk pada na kolana.

- Mój książę...

- Czemu to robisz? - wybucha mały Edward.

- Rzekłem - odpowiada Karol. - Nie wierzę, że jesteście przestępcami. Zwłaszcza ty, Edku i twoja mała siostrzyczka. A twój dziadek był moim najlepszym nauczycielem.

- Mój książę - mówi Tomasz, wstając powoli - mam nadzieję, że Bóg da mi okazję się odwdzińczyć.

- Też mam nadzieję, że spotkamy się w lepszych czasach, panie Tomaszu - odpowiada poważnie książę. - Opowie mi pan wtedy, co może być niebezpiecznego w historii. Oczywiście, jeśli sam się tego tymczasem nie dowiem.

- Zbierajcie się - mruczy Herbert. - Szkoda czasu.

# WOLNE MIASTO SEBASTA

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Brat Sergiusz wchodzi do celi, wnosząc ze sobą zapach splukanej deszczem zieleni.

- Coś niewesoły jesteś, Błażeju.

- Kolejna stracona rzecz. - Odkładam z westchnieniem sakiewkę. - Ciekaw jestem, jak zareagowała królowa Nina. Chcę powiedzieć, że nie jest prostą sprawą zrobić ze zwykłego przedmiotu ochronny amulet. Długo nad tym pracowała. Szeptala przy każdym ściegu. Książę zaś podarował ją pierwszym z brzegu zbiegłym skazańcom.

- I znowu nie wiesz, jak do niego dotrzeć - potakuje Sergiusz. - Spróbowałbym w królewskiej zbrojowni. Chociaż, co ja gadam! Ojciec Przewielebny pewnie już tam był. Na pewno jeszcze coś dla ciebie znajdzie, zobaczysz. Może wyszlibyśmy do ogrodu? Tam tak ładnie...

- Nie! - Potrząsam głową, odpędzając pokusę wyjścia z Sergiuszem i odetchnięcia pełną piersią wiosennym powietrzem. - Nie mogę. Jutro zabiorą tę sakiewkę, a muszę się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Ale mówiłeś, że książę Karol ją komuś dał?

- Nie szkodzi, ciekaw jestem, czy im się udało... - Na pewno się rumienię. Nie bez powodu Przewielebny gromił moją ciekawość! - Wyczuwam coś jeszcze!

- Przestań się usprawiedliwiać, Błażeju! Nie ma się czego wstydzić, że dzieło Boże tak tobą owładnęło! - Sergiusz uśmiecha się szeroko. - A wiesz co, przyjacielu? Mnie też się ciekawi.

Sergiusz bierze do ręki sakiewkę i przesuwa palcem po zaczarowanym ściegu.

- Dotykał tego święty Karol... Dokonujesz cudownego dzieła, Błażeju!

- Daj spokój, bracie - szepczę.

- Tak - powtarza cicho Sergiusz - cudowne dzieło Boże...

## **2. PAN TOMASZ, BYŁY WYKŁADOWCA HISTORII**

### **NA UNIWERSYTECIE KORWAREŃSKIM**

Boi się. Nigdy nie sądził, że można się tak bać: od samego dna duszy aż po końcówki włosów... Strach wypełnia każdy element jego ciała, pełnie z każdym uderzeniem serca i napelnia zgrozą.

Kiedy zrozumiał z porażającą jasnością, że trzeba będzie rzucić wszystko i uciekać... Kiedy z udanym spokojem mijał wraz z rodziną strażę przy Bramie Południowej... Kiedy znaleźli się w królewskim lesie i jeszcze minutę wcześniej wierząc w ratunek, zrozumiał, że nie ma dla nich ratunku - nawet wtedy tak się nie bał.

Ale teraz...

Teraz, gdy osiągnął pozorne bezpieczeństwo, otrzymując znak nietykalności, nie może spokojnie spać i wzdryga się na każdy szelest wśród drzew... zupełnie, jakby tracił zmysły! Wciąż słyszy gruby głos naczelnika straży przy bramie Sebasty: „Królewska ochrona, patrzcie no! Dobrze, zamelduję o tym. Serdecznie zapraszamy do naszego miasta, panie Tomaszu!”. Komu zamelduje? Oczywiście, królewską ochronę otrzymuje się raz na zawsze. Naturalnie, to bez znaczenia, kto jej udzielił: król, królowa czy książę. Czy jednak spodoba się królowi synowski postępek? Wszyscy wiedzą, że nasz wielki władca, raz wydając rozkaz, nie uznaje żadnych przeszkód ni sprzeciwów.

- Byłam na rynku. - Żona podchodzi do niego cicho, obejmuje.

Jest tak zdumiewająco spokojna! Zresztą, czego oczekiwać od głupiej niewiasty! Czy jest w stanie zrozumieć... nawet o tym nie pomyślała!

- I co tam na rynku?

- Bardzo tanio - trąkocze z zachwytem małżonka. - A ile towarów, aż się w oczach mieni! Nie wiedziałam, że może być tyle gatunków ryb, nie zapamiętałam nawet połowy nazw! Co to ja... Nie o tym chciałam! Posłuchaj, rozmawiałam tam z jedną dobrą kobietą...

Bryła zimna, zastygła przez wszystkie te dni w brzuchu pana Tomasza, zaczyna niemile przemieszczać się ku górze. Rozmawiała! I kto wie, czego nagadała... Zaprawdę, głupia niewiasta!

- Prosiłem cię...

- Pamiętam, kochanie! Nie powiedziałam niczego niepotrzebnego, mówię ci! Ale przecież musimy jakoś żyć! Przede wszystkim żyć! A ta gospoda jest droga!

- Pieniędzy starczy na dziesięć lat, dzięki dobroci księcia Karola. Moglibyśmy wynająć lub nawet kupić dom, ale zrozum, że to zwróciłoby na nas uwagę! Teraz żyjemy cicho i niezauważalnie.

- I naprawdę myślisz, że nikt nas tutaj nie znajdzie? Dlatego, że żyjemy spokojnie i w ukryciu? Nikt nas już nie poszukuje, Tomaszu! Dzięki naszemu księciu, niech go Bóg

błogosławi, masz królewską ochronę! Koniec z tym ciągłym strachem! Możemy zacząć nowe życie. Boże mój, moglibyśmy nawet wrócić do Korwarenu, gdybyś nie był takim tchórzem!

Głupia...

- Co chciałaś mi opowiedzieć?

- Ach, tak! Więc ta dobra kobieta zaproponowała mi... Ma pustą oficynę i moglibyśmy tam zamieszkać, dopóki nie staniemy na własnych nogach! Gotowa jest oddać nam mieszkanie bezpłatnie, jeśli będę dbać o jej ogród i zamiatać podwórze. Czy to nie wspaniale? Przecież dopóki mała nie podrośnie, nie mogę szukać roboty. A właściwie, co to jest oficyna?

Rozdrażniony Tomasz wzrusza ramionami.

- Zdaje się, że zwykła szopa.

- Szopa? - powtarza żona z urazą. - No... ale może jednak zobaczymy? A jeszcze do tego powiedziała, że człowiek piśmienny łatwo znajdzie pracę w porcie.

- W porcie? - odpowiada pytaniem mąż. W jego głosie pobrzmiewa jakiś zamysł, którego nie zauważa pogrążona we własnych myślach kobieta.

- Tak, mówiła, że tam mają bardzo dużo papierkowej roboty. Więc jak, Tomaszu? Pójdiesz tam?

- Do portu? Tak, pójdę - odpowiada nieoczekiwanie twardo.

Z kobiecej twarzy bije zadowolenie. Tomasz, choć niby patrzy na żonę, wcale jej nie widzi. Owładnęła nim całkiem nowa myśl. Myśl o statku odpływającym do brzegów Złotego Półwyspu. Świat jest wielki... Czy można całe życie spędzić w zamknięciu, wzdrygając się na odgłos kroków za drzwiami?

- Pójdę - z nieczęstą u niego stanowczością powtarza pan Tomasz.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Co za ciężki dzień! Czuję, że jeszcze wiele mógłbym się dowiedzieć, a nic z tego nie wychodzi. Jestem wykończony cudzym strachem. Próbuję kilka razy i wciąż to samo. Portowy zamęt i zgiełk. Gubię się w tym, jak zapewne gubił się pan Tomasz. Migające twarze, strzępki rozmów i równomierny, nigdy niemilkący szum morskich fal.

Przypadkowe, bezsensowne urywki zdarzeń, całkiem jak wtedy, kiedy mój dar dopiero się objawiał. I wszystko to następuje po jasnych, konkretnych widzeniach! Co za szkoda!

Widocznie taka jest wola Boża.

Wieczorem przychodzi Przewielebny i słucha ze współczuciem. Wodzi palcem po aksamicie i srebrnym obszyciu. Rzuca:



- Chociaż cokolwiek...

Przepelnia mnie rozpaczliwy wstyd, mamroczę więc coś przepraszająco. Zachmurzony Przewielebny przerywa mi ostro i gniewnie:

- Wola Boża, Błażeju, i jego dar. Myślę, że dał ci znak: nie bądź zbyt gorliwy. Nie możesz poświęcać całego życia dochodzeniu. Sam jestem nie bez winy, zanadto cię eksploatowałem... - Ojciec Przewielebny milknie na chwilę i ciągnie dalej ojcowskim tonem: - Jutro pójdziesz pracować w ogrodzie. Świeże powietrze i cielesny trud dobrze ci zrobią. Pójdziesz z bratem Sergiuszem. Ty zaś, Sergiuszu, pilnuj, żeby Błażej i tam się nie zagubił. Będziesz jego aniołem stróżem.

Brat Sergiusz skłania posłusznie głowę, a Przewielebny opuszcza nas, uprzednio pobłogosławiwszy. Zabiera ze sobą nieszczęsną sakiewkę, która nie zdążyła mi wiele powiedzieć.

- Błażeju, czy ty w ogóle wychodziłeś dzisiaj na zewnątrz? - pyta Sergiusz.

- Nie miałem kiedy - odpowiadam z westchnieniem.

- A dzionek był dzisiaj piękny. - Przymruża oczy marzycielsko. - Wiosna zaczęła się na całego, bracie Błażeju. Zobaczysz, kiedy jutro wyjdiesz i popracujesz w ziemi, wspomnisz moje słowa i nie zechcesz wracać do celi. Myślę, że Przewielebny ma rację: jesteś nadgorliwy. Całkiem zmarniejesz przez to dochodzenie.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością, ale w sercu mam ciągle smutek.

- Kompletny nieudacznik - mruczę o sobie.

- Nie gadaj głupot! - odpowiada. - Nieudacznik... Pomyśl, że twoje „nieudacznictwo” mogłoby się wydać szczęściem niejednemu biedakowi!

- To prawda. - Wzdycham, wspominając siebie sprzed roku. Z tamtego punktu widzenia nie ośmieliłbym się tak określać mego obecnego położenia!

- Wiesz, Błażeju, kiedyś błędna dróżka zaprowadziła mnie do Sebasty. I przydarzyła mi się tam ciekawa przygoda.

Sergiusz zawiesza głos z chytrą miną. Ma wyczekujący wzrok doświadczonego bazarza: chcesz, mały, posłuchać, co dalej?

- Opowiedz, Sergiuszu! - Uśmiecham się z przymusem, nie chcąc go zarazić swoim kiepskim nastrojem.

Kiwa głową i zaczyna:

- Byłem wtedy, hm, zbiegiem, poszukiwanym we wszystkich ziemiach Korony. Przeczekałem ten czas w Sebaście Nadmorskiej, w miejscu zwanym Psiarnią, gdzie łatwo zniknąć. Siedziałem tam cicho parę tygodni, codziennie bywając w porcie w gronie

rozmaitych lumpów i włóczęgów, szukając chociaż dorywczego zajęcia.

Potakuję mu, kiwając głową. W każdym dużym mieście jest miejsce, gdzie zbierają się ludzie tego pokroju. W Korwarenie również jest taki skwerek na tyłach misji Świętego Karola. Spędziłem tam prawie dwa miesiące, dopóki nie znalazł mnie Przewielebny.

- Wyobraź sobie, przyjacielu, że podchodzi raz do mnie pewien pan. Taki, wiesz... nie zwykły pan, ale co najmniej jego wysokość. Wyglądał też na takiego, co to wymachiwał szpadą nie tylko na sali fechtunku. Widać, że sporo przeżył i nieraz bywał w tarapatkach albo je sam powodował. A spogląda tak, że od razu człowiek staje przed nim na baczność. „Chodź ze mną, chłopcze - powiada. - Mam dla ciebie robotę”. I prowadzi mnie prosto do „Minogi”, knajpy, gdzie nikt nie zadaje niepotrzebnych pytań.

Milknie na chwilę, jakby zbierał myśli. Czekam.

- Zaproponował mi prosto z mostu, żebym został piratem. „Ścigają cię, mały...” Znał moje imię, pochodzenie i wszystkie sprawki. „Ścigają cię, chłopcze, a jak złapią, sam wiesz, co z tobą będzie. Tak więc nie masz wyboru. Podpiszesz ze mną umowę na pięć lat i powierzysz swój los, a potem, jeśli przeżyjesz, osiądziesz na łodzi we własnym domu i nikt cię nie tknie, jeśli będziesz płacił regularnie podatki”. Na jakim łodzi, zapytałem. Zauważyłeś, Błażeju, że w takiej sytuacji pierwsze cisną się na język same głupie pytania?... „Na południowym brzegu Morza Zewnętrznego - spokojnie odpowiada mój dobroczyńca - lub Wewnętrznego, jeśli tamtejsze miasta bardziej ci odpowiadają”. Wybaczenie, panie - mówię - chcecie mnie zwerbować do służby Imperium? „No jasne - odpowiada - a co myślałeś? W tym kraju to jedyna droga dla ciebie”.

Sergiusz znowu milknie, ja także milczę.

- Miał rację, Błażeju - podejmuje z goryczą opowieść. - Bez wątplenia. Ale być korsarzem... łupić, rabować... Odpowiadam więc z całą szczerością: nie ciągnie mnie do piractwa. Morze w ogóle mnie nie pociąga. Wybaczenie, szlachetny panie, ale nie znoszę choroby morskiej. I myślę sobie: trzeba wiać. Jeszcze mnie wyda. On zaś wzrusza obojętnie ramionami: „No, jak chcesz, młodzieńcze. Ja tylko pytam. Radzę jednak dla twego dobra zapomnieć o tej rozmowie. Jeśli pójdziesz teraz do sierżanta królewskiego i doniesiesz mu jako dobry poddany, że ktoś namawiał cię tutaj, w Sebaście, do służby Imperium, nie zmażesz tym dawnych grzeszków. Ja także nie jestem zainteresowany, by cię wydawać. Chcę uniknąć zbędnych pytań. Rozumiemy się, chłopcze?” No pewnie, odpowiadam. „To świetnie - stwierdza tamten. - Więc powiem ci coś jeszcze. Jeśli los przyciśnie cię tak, że przestaniesz się bać morskiej choroby, przyjdź znów do »Minogi«, podejź do właściciela i powiedz tak: Kapitan Birkut proponował mi robotę, a ja się namyśliłem. Zapamiętasz, chłopcze?” Dzięki,

zapamiętam, odpowiadam. I zwiąłem z Sebasty jeszcze tego samego dnia. Tak to wygląda, Błażeju. Sam widzisz, co się u nas dzieje.

- Nikomu o tym nie mówiłeś? - pytam.

- Owszem, powiedziałem o tym Ojcu Przewielebnemu - odpowiada Sergiusz. - Właśnie wtedy trafiłem do klasztoru. Z Sebasty prysnąć łatwo, ale co dalej? Szukali mnie w całym królestwie i to dosyć wytrwale, druho Błażeju! Tak więc pewnego pięknego dnia pozostało mi już tylko zapukać do wrót klasztornych, prosząc o azyl, albo oddać się w ręce królewskiej straży. Tak zaczęło się dla mnie nowe życie, do którego dosyć łatwo przywykłem. Zrozumiałem, że można się cieszyć małymi rzeczami, a spokój nie musi być nudnym ciężarem. Że przeszłość także zaczyna się wspominać ze spokojem. Niezbadane są ścieżki Pana...

# O WIOŚNIE

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Niemal zapomniany ciężar łopaty w rękach okazuje się nieoczekiwanie przyjemny. Jak wspaniale pachnie świeżo skopana wiosenna ziemia! Chłonę ten zapach, nieśmiałe promienie słońca, lekki powiew wiatru, a także wysiłek wbijającego się w glebę metalu i ciepło drewnianego trzonka w rękach. Chłonę całą skórą i świadomością. Miał rację Przewielebny, że nie należy ciągle siedzieć w ciemnej celi i odgradzać się od życia. Przecież nasze życie także jest darem Bożym. Tak samo, jak wiosna, słońce, wiatr, ziemia pod moją łopatą i niebo nad głową.

Idę na obiad, przepełniony przyjemnym zmęczeniem. Dziwnie jest myśleć, że ten dzień mógł przebiegać inaczej. Nie, raczej nie mógł! Właśnie w takie dni jesteśmy w stanie docenić całe piękno świata Bożego. Dlatego się czasem zdarzają.

- Wszystko dobrze, Błażeju? - pyta Sergiusz z uśmiechem.

- Jeszcze jak - odpowiadam. Cieszę się, że i mój przyjaciel też to odczuwa.

Po obiedzie znowu bierzemy się do łopat. Przy skopanej rano grządce pracuje trzech nowicjuszy sadzących dymkę. Oni także cieszą się pięknym dzionkiem. W kącie ogrodu palą śmieci, dym unosi się w niebo równym słupem, zwiastując dobrą pogodę. Po wieczornych modłach myślę sobie, że cały ten dzień był jedną świetlistą modlitwą.

Spędzam tak całe sześć dni w towarzystwie Sergiusza, radując się pięknem otaczającego nas świata. Lecz rankiem dnia siódmego...

Brat Sergiusz wchodzi do mnie rozpromieniony, wprost tryskający radością.

- Prędko, Błażeju - powiada. - Przewielebny cię wzywa...

- Byłem u naszego dobrego króla - zaczyna Ojciec Przewielebny ledwie weszliśmy. - Rozmawialiśmy o wszystkich trudnościach związanych z twoim dochodzeniem.

Przewielebny jest niespokojny, zauważam w myślach. Miał taki sam głos, kiedy wysłuchał mej opowieści o porwaniu księcia Karola.

- Pójdziesz do królewskiego lasu, Błażeju. Nasz umiłowany władca pozwolił ci tam spędzić tyle czasu, ile będzie trzeba. Możesz tam wszędzie chodzić, wszystko oglądać i pytać,

o co chcesz. W mojej obecności posłał zaraz gońca z rozkazem dla leśniczych.

- Królewski las - powtarzam zaskoczony. - Co miałbym tam robić? Drzewa są przecież żywe, mój dar nie podziła.

- Las nie składa się z samych drzew - odpowiada z uśmiechem Przewielebny. - Pójdiesz tam z bratem Sergiuszem zaraz po jutrzni.

Bóg jeden wie, jak bardzo chciałbym podzielać zapach Ojca Przewielebnego i brata Sergiusza, ale nie potrafię. Czym innym jest prowadzić dochodzenie w klasztornych murach, czym innym w lesie, nawet jeśli dobrze nas tam przyjmą. Sama droga zajmie nam na piechotę trzy dni i trudno, by cieszyły mnie owe stracone godziny.

## **2. BRAT SERGIUSZ, STRAŻNIK KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Bałem się znowu wychodzić poza mury klasztoru.

Jak przykazał Przewielebny, wybraliśmy się w drogę zaraz po skończonej jutrzni. Ranek był chłodny, zimny wiatr przenikał do kości, a przynajmniej tak mi się wydawało. Przypomniałem sobie strach pana Tomasza i stwierdziłem: teraz go rozumiem.

- Ominiemy Korwaren - mówi wesoło Sergiusz. - Szybciej dotrzemy do południowej drogi, idąc wzdłuż rzeki. Pójdziemy na skróty. Trzeba sprawdzić, co nam dali na wędrowną, prawda, Błażeju?

Głos Sergiusza wydaje mi się odległy i nierealny. Tak odległy, jak niebo nad głową i nierealny, jak wiosna, rzeka, Korwaren... Prawdziwy jest tylko strach. Kiedyś przyszedłem do stolicy drogą południową, lecz niewiele z tego pamiętam. Coś sobie przypominam, ale wolałbym zapomnieć.

- Hej, bracie Błażeju! Co się z tobą dzisiaj dzieje?

- Nic - mamrocę z wysiłkiem. - Przejdzie mi.

Sergiusz kręci głową.

Docieramy w milczeniu do rzeki. Sergiusz od razu wypatruje odpowiedni pagórek i rozkłada tam skromne śniadanie: chleb, ser i wodę lekko wzmocnioną winem.

- Tak - stwierdza z uśmiechem - skromniutko. No nic, zjemy obiad w tawernie. Wiesz, to zabawne - ciągnie, śmiejąc się coraz bardziej - mogę spotkać się twarzą w twarz z jednym z tych, którzy mnie wtedy ścigali. Chociażby w karczmie... Pogawędzimy z nim przy kuflu piwa o dawnych wesołych czasach...

- Pogawędzicie? - Omal się nie zakrztusiłem. - A jeśli zechce cię aresztować?

- Coś ty, oprzytomnij! Aresztować świątobliwego zakonnika? Masz dzisiaj zaćmienie

umysłu. Jesteśmy sługami Bożymi. W każdej karczmie nakarmią nas i napoją, w każdym domu udzielą noclegu, a każdy strażnik będzie szczęśliwy, gdy go pobłogosławimy. Wszystkim swoim dawnym lękom możesz spojrzeć spokojnie w oczy, a nawet plunąć w gębę. Jedz, Błażeju, i nie myśl o głupstwach.

Tak, dumam, rzeczywiście! Sergiusz ma rację, a ja jestem głupcem. Dlaczego Boży sługa miałby się bać wyjścia na świat?! Jedno, co mnie usprawiedliwia, to fakt, że jestem wciąż nowicjuszem, nieobleczonej jeszcze Bożą Światłością. Unoszę głowę i spoglądam w niebo: dalekie, jasne, ogromne... Wiosna znów uderza mi do głowy. Czuję też wdzięczność do Sergiusza, że rozproszył mroki głupich lęków w moim umyśle. I do Ojca Przewielebnego, który osłonił mnie przed złem tego świata imieniem Pana. Wdzięczny jestem Bogu za wiosnę, oślepiająco jasne niebo, upajający wietrzyk, zapach ziemi, nawet chleb i ser. Za to, że mój przyjaciel i Ojciec są na tym świecie.

- Dziękuję, Sergiuszu - mówię i dodaję w myślach: „Dzięki Ci, Panie!”.

- Proszę bardzo - odpowiada.

Promień słońca, padający na twarz, jest jakby odpowiedzią Boga: „Proszę bardzo, Błażeju!”.

- To nic takiego, Błażeju. - Sergiusz odłamuje kawałek sera, wkłada do ust, zapija. - Ja też nie od razu zrozumiałem... także z początku się bałem. A jak i kiedy zrozumiałem, to cała historia. Zdarzyło się to w taki uroczy dzień, jak ten... Ojciec Przewielebny wysłał brata bibliotekarza do królewskiego archiwum. Brat był osłabiony po przebytej chorobie i wziął mnie ze sobą do pomocy, bym przynosił ciężkie foliały. Idziemy więc po Korwarzenie, dochodzimy do Placu Królewskiego... - Jego wzrok zatrzymuje się na czymś za moimi plecami. - Ojej! Zobacz, Błażeju!

Oglądam się natychmiast.

Z Bramy Południowej wyjeżdża konny oddział. Odświętnie odziani rycerze zasiadają na wspaniałych, silnych rumakach, wszyscy w jednakowych fioletowych płaszczach, z identycznym emblematem na błyszczących pancerzach: miecz i korona na białym tle. To samo godło widnieje na fioletowej chorągiewce, trzepoczącej na posrebrzanej kopii, jadącego na czele jeźdźca. Bractwo Świętego Karola z dewizą: „Czyń dobro i nie oczekuj nagrody”. Zakon założony przez ich patrona, na chwałę kraju i monarchy...

- Królewscy rycerze - mówię z zachwytem. - Zobacz, jak ich wielu! Cały korwarski garnizon?

Sergiusz przymyka oczy i odpowiada z jawnym zadowoleniem:

- Tak, cała piętnastka! A na przedzie, na rączym wierzchowcu sam sir Archibald.

„Korwareńscy Motacze Głów" w pełnym składzie.

- Rozumiem! - Chwytam się za głowę. - Wiosenny turniej! Gdzie się odbywa w tym roku? W Sebaście czy w Gotwiniu?

- W Sebaście - odpowiada z wyższością. - W Gotwiniu był zeszłej wiosny. Nakosili „zgniłozębych" aż miło!

Kiwam głową. Nie widziałem osobiście, jak „Korwareńscy Ścinacze Głów" rozprawili się z „Gotwińskimi Zębaczami", ale słyszałem o tym wiele niesamowitych opowieści. Zakonne turnieje są chyba najbardziej barwnym, ciekawym i popularnym świętem na Złotym Półwyspie. Trudno orzec, czy turnieje bardziej lubiane są dzięki rycerzom, czy też rycerze dzięki turniejom. Jedno jest pewne: rycerze są uwielbiani. Mało jest równie elitarnych oddziałów, a młodszy szlacheccy synowie poczytują sobie za najwyższy honor służyć pod znakiem miecza i korony na białej tarczy. Tym ważniejsza to sprawa, że nie każdy może dostąpić takiego szczęścia. Rycerze sami decydują, czy potrzebne jest uzupełnienie ich oddziału. Nawet król może się tylko wstawiać za kandydatem, lecz nie może rozkazać, by go przyjęto. A wszak nie można powiedzieć, żeby bycie królewskim rycerzem oznaczało ciekawe życie! No bo czy zyska się wielką sławę, przewożąc listy z miasta do miasta lub ochraniając samotnych podróżników? To jednak też ważne sprawy. Po to właśnie król Karol ustanowił we wszystkich miastach oddziały, by każdy dobry poddany mógł się zwrócić o pomoc do ludzi godnych zaufania. Oczywiście, rycerzom płaci się za ochronę, ile kto może. Lecz nie za pomoc ich kochają! Klasztory też wspomagają biednych, lecz nie cieszą się taką popularnością. W opowiadanych po pijanemu karczemnych historiach mnich występuje zazwyczaj jako szachraj i przechera. Królewski rycerz zawsze jest bohaterem. Nawet jeśli czasem polegnie, to z honorem. Sami chętnie tworzą o sobie legendy. Te wszystkie nazwy miejskich oddziałów: „Korwareńscy Ścinacze Głów", „Wilki Wybrzeża"... Naprawdę brzmią pięknie i groźnie. Ci z Sebasty nie wpadli jednak na to, że lud będzie ich nazywać „zmokłymi pieskami". Tego się nie spodziewali. Oto, co się opowiada: spotkali się kiedyś w drodze dwaj gońcy, „zmokły piesek" i „motacz", i zaczęli szukać miejsca na nocleg...

- A słyszałeś, jak jeden „motacz" poprosił łowczego o nocleg? - Sergiusz posyła „Ścinaczom" ostatnie ironiczne spojrzenie i zwraca się do mnie.

- Ta historia z nocującym tam poborcą podatkowym?

- Nie, ale też śmieszna. Posłuchaj. Zaskoczył w lesie wieczór „motacza" daleko od wsi i gospody. Miał już zamiar nocować pod gołym niebem, kiedy zauważył dym. Poszedł w tamtą stronę i ujrzał dom leśniczego. Puka, mówi, kim jest, i prosi o schronienie na noc. Z radością i zadowoleniem przyjmę królewskiego rycerza, odpowiada leśnik. Ale, wybaczcie

panie, mam w domu tylko dwie izby. W jednej śpimy z żoną, w drugiej dziecko. Szanowny pan sam zdecyduje, czy woli spać przy dziecku, czy na stryżku. „Oczywiście nie chcę spać przy dziecku - odpowiada szanowny pan - wolę strych”.

Sergiusz śmieje się, wytrzeszczając oczy i kontynuuje:

- Rano schodzi na dół i widzi tam uroczą dziewczuszkę, jak w samej koszulce szykuje śniadanie. „Kim jesteś?” - pyta rycerz. „Córką leśniczego - odpowiada ślicznotka. - A ty, panie?”

Najlepsze w takich historiach, że można śmiać się, nie doczekawszy do końca dowcipu. Z trudem powstrzymuję śmiech, kiedy Sergiusz, imitując odpowiednio intonację rozeźlonego rycerza, kończy: „Jak to, kto? Motacz głów, rzecz jasna!”.

Podczas gdy rechoczę na całego, Sergiusz zbiera resztki posiłku.

- Chodźmy, przyjacielu. Wierzysz w znaki? Spotkanie królewskiego rycerza przynosi szczęście. A cóż dopiero całej piętnastki?



# SPOTKANIE W DRODZE

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Dawno opadł kurz wzniecony kopytami rumaków oddziału „motaczy”, ale pozostał po nich ślad. Nie w pyłe, lecz w ludzkich sercach. W karczmie, do której zawłókł mnie Sergiusz, wciąż opowiadali o nich historyjki. Ludzie śmieją się i aż trudno uwierzyć, że mają swoje zmartwienia. Podziwiają cudzą szlachetność i trudno uwierzyć, że każdy zdolny byłby do podłości. Nie tylko zdolny! Wystarczy im dać jakikolwiek powód... Wiem coś o tym, bo odczułem na własnej skórze. Teraz jednak przyjmują mnie i Sergiusza, jeśli nie z całej duszy, to przynajmniej uprzejmie.

- Czemu jesteś znowu ponury, Błażeju?

Wzruszam ramionami. Nigdzie od siebie nie uciekniesz. Nikt nie panuje nad własną pamięcią.

- A wtedy sir Bartłomiej odpowiada: „Po co pętać konia, skoro można pojechać wcześniej?”...

- Chodźmy, Błażeju. - Sergiusz wtóruje trzęsącym się ze śmiechu gościom. - sir Bartłomiej miał słusność.

## **2. BRAT SERGIUSZ, STRAŻNIK KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Słyszałem o sir Bartłomieju jeszcze jedną ciekawą historię. Chociaż nie tak zabawną... - Sergiusz spogląda na niebo i krzywi się. - Nadciągają chmury. Może będzie burza.

Ani ja, ani mój towarzysz chyba nie mamy nic przeciwko przyjemnej wiosennej burzy. Nawet jeśli zmokniemy, znajdziemy miejsce, gdzie będziemy mogli się wysuszyć.

- Mówisz o tej historyjce - wracam do tematu - jak baronowa Skatca chciała go ożenić ze swoją córką?

- A, już to słyszałeś! - Wybucha krótkim śmiechem. - Boże broń rycerza, by nigdy już nie spotkał baronowej! Nie, moja historia opowiada o tym, jak poproszono go, by

przeprowadził z Sebasty do Korwarenu jednego małego chłopca. Małemu urodziła się siostrzyczka i jego matka postanowiła wysłać go na jakiś czas do babci, tak powiedziano kapitanowi „Wilków Wybrzeża”. Konnemu rycerzowi jazda do Korwarenu zajmuje trzy albo cztery dni. Sir Bartłomiej posadził malca przed sobą na siodle i ruszył w drogę, nie zwlekając.

Milknie na chwilę. Jakaś nutka w jego głosie wskazuje, że nie będzie to zwykła zabawna anegdota. W milczeniu czekam, aż ją podejmie.

- Sebasta uznaje królewską władzę, ale pozostaje wolnym miastem. Wszystkimi sprawami zajmuje się rada miejska, nie królewski namiestnik. Nie wiem, jak dawniej wybierano członków rady, lecz obecnie ludzie się o to zabijają. A królewskiego rycerza nie tak znowu trudno wprowadzić w błąd. Sir Bartłomiej nawet nie podejrzewał, w co go wciągają. Jechał przed siebie, zabawiając chłopca rycerskimi opowieściami, gdy nagle wpadł prosto w zasadzkę.

Zrywa się wicher, unosząc kurz na drodze i sypiąc nim w oczy. Daleko przed nami, gdzie niebo zasnuła granatowa ciemność, pojawia się szara ściana deszczu.

- Jeden z sebastyjskich kupców, taki, co to robi interesy wszędzie, dokąd docierają okręty, postanowił wprowadzić do Rady swego najstarszego syna. Jak się domyślasz, Rada ma ograniczoną liczbę miejsc, które nie tak szybko się zwalniają. Czcigodny kupiec przygotował chytrą pułapkę na jednego z rajców, co nie jest takie trudne, jeśli sypniesz dobrą monetą. Pułapka zadziałała. Kupiec zdemaskował skorumpowanego chciwca, gotowego handlować na prawo i lewo sekretami Wolnej Sebasty. Rajcę mieli oddać pod sąd i na pewno nie skończyłoby się to dla niego dobrze.

- Skąd znasz takie szczegóły? - pytam.

- Od pewnego dobrego przyjaciela - wyjaśnia. - Królewskiego rycerza wplątano w groźną intrygę. Co gorsza, posłali go na prawie pewną śmierć. Miejscowy oddział przeprowadził w tej sprawie później dochodzenie. Pojmujesz, rycerzy Bractwa często proszono o opiekę nad dziećmi w podróży. „Wilki” nie zauważyły pułapki.

- Ależ, Sergiuszu, jakim sposobem kapitan królewskich rycerzy mógł mieć wpływ na skład rady miejskiej?

- Kupiec miał jeszcze jednego malutkiego synka. I w dodatku, jak przystało na poważnego negocjatora - wymawia obce słowo sylaba po sylabie ze złośliwym uśmiechem - miał wszędzie swoich ludzi. W tej liczbie kogoś podstawionego przez członka Rady. Donieśli kupcowi, że rajca chciał skłonić swego oskarżyciela, by odstąpił od oskarżenia. Zmusić siłą, bo przecież bezsensownie byłoby próbować przekupić kogoś, kto nie pożałował pieniędzy, by zdobyć część władzy.

Zaczynam rozumieć, a przynajmniej tak mi się zdaje. To ohydne, ale czy mało dzieje się ohydnych rzeczy między ludźmi ze znacznie błahszych powodów? Pytam:

- Ten rajca postanowił pojmać syna kupca? I kupić sobie uniewinnienie za cenę życia dziecka?

- Ano tak - potakuje Sergiusz. - Kupiec bardzo kochał synka.

Ściana deszczu szybko się przybliżyła.

- Zmokniemy - mówi mój druh, patrząc z niepokojem przed siebie, Ja zaś oglądam się, słysząc skrzypienie kół.

Nadjeżdża karawana gnomów.

- Zatrzymaj się, Sergiuszu - powiadam. - Podziemni chyba nie zostawią pielgrzymów na deszczu.

- Tak sądzisz? - Sergiusz spogląda to na nadjeżdżających, to na nadciągającą z naprzeciwka burzę. - Ty wiesz lepiej, Błażeju. Nie miałem jeszcze żadnych spraw z gnomami. Zaczekajmy.

- Opowiedz tymczasem, co było dalej.

- Dalej? Kupiec wsadził synka na statek, porywacz natomiast podążył śladem sir Bartłomieja. Statek odpłynął, nim oszustwo się wydało. Chłopczyk ocalał, a jeśli chodzi o tego podstawionego dzieciaka... chyba sam rozumiesz.

Rozumiem, że nie jest to historia, którą bezpiecznie opowiadać albo nawet słuchać w przydrożnej karczynie. Nie bez powodu Sergiusz nie wymienia imion.

- Więc co się stało z chłopczykiem, który odjechał z rycerzem?

- Z chłopczykiem? - Sergiusz wzrusza ramionami. - Wszystko się z grubsza zgadzało. Naprawdę urodziła się w jego rodzinie siostrzyczka i kupiec, jako człek uczynny i nabożny, zaproponował pomoc jego matce. Malec trochę obawiał się babci, ale za to pojechał do stolicy. Do tego jeszcze jechał z prawdziwym królewskim rycerzem. Wszystko go w drodze cieszyło.

Dogania nas karawana. Niezbyt duża, jak na gnomy: cztery furmanki i dziesięć jucznych kucyków. Woźnica pierwszej ogarnia nas czujnym spojrzeniem Stróża. Dowódca ściga wodze swego kuca, patrząc wyczekująco.

- Dobrej drogi i dobrego handlu, mistrzowie Podziemia! - kłaniam się tak, jak podpatrzyłem niegdyś u wujka, z głęboką powagą.

- Niech nie opuszcza was Boża Światłość - odpowiada dowódca. - Także do Sebasty?

- Chcielibyśmy - powiada Sergiusz, wzdychając. - Idziemy nieco bliżej, do królewskiego lasu.

- Wszystko jedno, to po drodze. Wsiadajcie, dobrzy ludzie, uchronicie się od niepogody.

Sergiusz prędko wskazuje na furmankę, ja za nim. W rozciągniętą nad nią skórzaną budę uderzają pierwsze krople deszczu. Gnom parska jak kot, zręcznie przeskakuje z siodła na wóz, przywiązując konia do drabiniastej burty.

- Dziękuję - dyszy Sergiusz. - Zjawiliście się w samą porę, dzięki Bogu. Jedziecie do Sebasty na turniej?

- Owszem - potwierdza z powagą gnom. - Mamy towary dla rycerzy i pięknych dam, i dla zwykłych mieszczan, kupców, i żeglarzy. Ech! Ludzie mogliby częściej urządzać turnieje!

Rozumiem owo pragnienie gnomich majstrów. Na turniejach zbiera się wesołe, rozbawione towarzystwo, skłonne wydać sporo pieniędzy. Handel zawsze lepiej idzie tam niż na zwyczajnym jarmarku.

- Może byśmy skrócili sobie jazdę ciekawą rozmową? - sugeruje gnom.

### **3. PODZIEMNI**

Wiosenne burze są krótkie. O zmierzchu mogliśmy się już pożegnać z podziemnymi, lecz gnomy proponują, byśmy jechali z nimi aż do królewskiego lasu, na co się z radością zgadzamy.

Chciałbym pogadać z podziemnymi o Trudnych Czasach. Gnomy wiele pamiętają, inaczej niż ludzie. Wiem jednak, że to bolesny temat. Tak więc słucham w milczeniu, jak brat Sergiusz rozmawia z majstrami. Po co psuć nastrój tak sympatycznym towarzyszom podróży?

Sergiusz dał upust swej ciekawości. Wypytuje, czy podziemni uprawiają jakieś jadalne rośliny, gdzie trzymają kucyki i czy lubią spoglądać na słońce. Czy prawdą jest to, co powiadają, że uczą niektórych ludzi rzemiosła i czy sami uczą się czegoś od ludzi. Przypomina kilka wypadków, kiedy gnomy ukrywały ludzkich zbiegów przed królewską strażą.

- Przecież to naruszenie sojuszu z królem, nieprawdaż?

Gnom się uśmiecha.

- Nie jesteśmy królewskimi wasalami, mamy tylko sojusz handlowy. Nie myl pojęć, Boży sługo. Nie pomagamy też byle komu.

Stróż, siedzący na koźle, pohukuje na potwierdzenie.

- Jesteś nosicielem Bożej Światłości - dodaje dowódca gnomów. - Czy nie powinienesz nieść ludziom miłosierdzia? I cieszyć się cudzym miłosierdziem?

- Jeszcze jak - odpowiada Sergiusz z szerokim uśmiechem. - Całkiem niedawno sam

musiałem uciekać przed królewskimi leśniczymi. W tym świecie miłosierdzie spotyka się tak rzadko, że człowiek naprawdę uczy się je doceniać.

- A ty? - zwraca się do mnie gnom. - Widzę, że coś ci leży na wątrobie. Co takiego?

- Trudne Czasy - odpowiadam szczerze.

- Oho - pohukuje Stróż z kozła.

- Ludzie dawno o nich zapomnieli - rzuca pogardliwie dowódca.

- Zapomnieli - zgadzam się. - To było wiele lat temu!... Pozostały tylko legendy i pieśni minstreli, w których jest wiele pięknych słów, lecz mało faktów. Święty Kościół chce się jednak dowiedzieć, jak było naprawdę.

- I właśnie Kościół ma taką możliwość - dodaje Sergiusz - chociaż to tajemnica, której nie powinien poznać nikt obcy.

- Więc dlaczego mówisz o tajemnicach waszego Kościoła? - pyta gnom.

- Rzeczywiście, dlaczego? - powtarza pytanie Sergiusz. - Kto, jak kto, ale Błazej ma do tego prawo. Chociaż nie spodoba się to Ojcu Przewielebnemu.

- Coś niecoś już wiemy - podejmuję. - O parę rzeczy chciałbym jednak zapytać. Wasza pamięć jest lepsza od ludzkiej, pamiętacie, jak było naprawdę.

- Tak - potwierdza majster gnomów - pamiętamy prawdę. Ludziom jest ona niepotrzebna, wolą baśnie minstreli.

- Łaknę prawdy - powiadam.

- Więc pytaj! - Ostre, świecące zielonym fosforyzującym blaskiem oczy gнома wpijają się w moje lico.

- Do czego był wam potrzebny książę Karol? I o czym mówiło proroctwo?

Wzrok gнома staje się coraz bardziej przenikliwy i zdaje mi się, że tonę w zielonkawej głębi wypełnionej jadowicie fosforyzującym światłem... Na szczęście trwa to tylko chwilę.

- Opowiem ci o tym, człowieku - decyduje gnom - jeśli wyjaśnisz, skąd wiesz to, czego ludzie znać nie powinni.

- Tak - zgadzam się - wyjaśnię.

- Przysięgnij, sługo Boży.

Przewielebny mówił, że nikt obcy nie powinien dowiedzieć się o moim darze, myślę. I sam się dziwię, jak myśl ta szybko umyka.

- Przysięgam na Bożą Światłość.

Przewielebny na pewno mnie nie pochwali. Nawet w klasztorze mało kto wie o dochodzeniu. Ja zaś, choć zdradzam tę sprawę podziemnym, wcale nie czuję się winny! Chcę

poznać prawdę.

Gnom kiwa głową.

- Tak więc ludzie postanowili wtargnąć do spraw żywiołów władających Podziemiem. Ech... Przecież próbowaliśmy zakończyć sprawę pokojowo. Chociaż ludzie w to dzisiaj nie wierzą...

- Wiem, że tak było - mówię. - Chcieliście dogadać się z królem po dobroci. Król poczuł się tym urażony. Wtedy porwaliście małego księcia Karola, wiem jednak, że nie chcieliście zrobić mu niezłego.

„Książę, nadzieja Podziemia” - przypominam sobie. Na pewno nie chcieli niczego złego...

- Mało kto z ludzi wie o Kamiennej Wyroczni. - Gnom znowu spogląda mi w oczy ostro i przenikliwie. - Ty jednak wiesz.

- Opowiadali mi - szepczę - dawno temu, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.

- A ja nigdy nie słyszałem - wtrąca Sergiusz. - Opowiedzcie nam?

- Kamienna Wyrocznia nieczęsto przemawia. - Gnom kiwa głową, drapie się po porośniętym gęstą szczecina uchu, wzdycha głęboko. - Bardzo rzadko. Nigdy nie zapowiada niczego dobrego, ale jeśli wskazuje zło, ukazuje też drogę wyjścia ze smutku i ciemności. Drogę, którą prawie nie sposób się posłużyć. Wąską, niebezpieczną ścieżkę, która biegnie często na granicy możliwości. A mimo wszystko daje nadzieję.

- Często się spełnia nadzieja? - pyta Sergiusz.

- Czasami. - Gnom chmurzy się. - Wtedy omal nie nastąpił koniec całego Podziemia... a także świata ludzi - dodaje po chwili.

- Także ludzi - przytakuje Sergiusz. - Nie bez powodu nazywa się tę epokę Trudnymi Czasami. Chociaż według mnie ludzie powinni byli rozważyć swoje czyny i działania.

- Proroctwo brzmiało tak - wspomina gnom, marszcząc brwi - jeśli dobrze pamiętam: „Podziemie znajdzie się na krawędzi...”. Nie. Inaczej: „Ludzie zepchną Podziemie na skraj przepaści, a nieludzie odpowiedzą im tym samym. W te dni smutku i rozpacz, gdy umrze wszelka nadzieja, zejdzie pod ziemię młody książę o czystej duszy, przynosząc nową nadzieję. Dla Podziemia nie będzie innej nadziei ani innej drogi, tylko ta, którą pójdzie królewski syn, dumny potomek okrutnego ojca.

- Nie całkiem zrozumiałe, jeśli się nie wie, czym wszystko się zakończyło - ocenia Sergiusz.

- A kto z ludzi wie?! Słyszałem waszych minstreli! Książę Karol przyniósł pokój swemu krajowi i Podziemi. My pamiętamy, za jaką cenę, ale ludzie?

- Dlatego pytałem - przypominam.

- Nasza pamięć jest lepsza od ludzkiej - w głosie gнома pobrzmiewa gorzki triumf. -  
Podziemie czci księcia Karola teraz i na wieki. Pamiętamy, jaką drogą doszedł do pokoju.

- Opowiesz nam o tym?

- Ech, nie wiem. Może tak, a może nie. Najpierw ty opowiadaj, sługo Boży Błażeju.

- No cóż - zauważa Sergiusz - daleka droga przed nami. Zaczynaj, Błażeju.

Zaczynam opowieść i już przy drugim zdaniu orientuję się, dlaczego Sergiusz zasugerował, bym to uczynił, wiedząc, że sam mam na to ochotę. Jest starszy ode mnie i wziął za to odpowiedzialność. Milknę na chwilę.

- Sergiuszu... - zwracam się do niego.

- Opowiadaj. - Sergiusz uśmiecha się dobrze mi znanym szerokim grymasem. - Sam chętnie posłucham po raz drugi, skoro poznałem przepowiednię.

#### **4. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

##### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Spożywamy wieczerzę wspólnie z gnomami, dodając do ich posiłku smętne resztki naszych zapasów. Śpimy przy ognisku okryci kocami, które dostaliśmy od naszych towarzyszy podróży, chronieni od nocnych niebezpieczeństw ich zaklęciami.

Długo nie mogę zasnąć. Gnomy chrapią chóralnym basem, ja zaś spoglądam w ciemne niebo i myślę o Kamiennej Wyroczni.

Prawie cały następny dzień jedziemy furmanką. Próbuję przekazać gnomom wszystko, czego się dowiedziałem. To bardzo dziwne uczucie, opowiadać o tym, co wiedzą lepiej ode mnie. Odczuwam jednak ich ciekawość nie tylko w duszy, ale też przez skórę.

- Dlaczego to dla was takie ważne? - pytam.

- To spojrzenie od drugiej strony - odpowiada dowódca. - Niczego nie zrozumiesz, kiedy patrzysz jednostronnie. Dobrze pamiętamy tamte czasy, lecz także nie wszystko rozumiemy.

Dojeżdżamy już do lasu królewskiego, którego granicę wyznacza czerwonobrazowy gład wielkości człowieka, a gnom jeszcze nie opowiedział mi wszystkiego o Karolu. Naturalnie smucę się z tego powodu.

- To znak od losu, skoro zostały pomiędzy nami rzeczy niedopowiedziane, Błażeju - powiada dowódca gnomów. - Jeszcze się ze sobą spotkamy i na pewno ucieszy mnie to spotkanie.

Zeskakujemy z wozu i stajemy przy drodze, nie odchodząc.

- Dziękujemy, mistrzowie Podziemia - mówi Sergiusz. - Szerokiej drogi.

- Wam także, Boży słudzy - odpowiada gnom. - Pamiętajcie, że będziecie mile widzianymi gośćmi w Podziemiu. Ty, Błażeju, i ty, Sergiuszu, możecie zawsze liczyć na naszą pomoc.

Kłaniamy się z wdzięcznością. Stróż pohukuje, furmanka rusza do przodu... Patrzymy w ślad za karawaną, dopóki ostatni kucyk nie zniknie za najbliższym zakrętem.



# MŁODY KRÓL

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Królewski łowczy czeka na nas na początku ścieżki, bardzo przystojny, wysoki i barczysty młodzieniec w zielonym obszytym biało-fioletową taśmą stroju myśliwskim.

- Który z was jest Błażejem? - pyta nieoczekiwanie ponuro.

Odpowiadam.

- A ty? - zwraca się do Sergiusza. - Powiedziano mi tylko o Błażeju.

- Brat Sergiusz - przedstawia się. Po krótkiej chwili dodaje: - Błażej jest jeszcze nowicjuszem.

- Boicie się nowicjusza wypuścić samego z klasztoru?

- Boimy się - ustępliwie zgadza się Sergiusz.

- No dobrze - mruczy łowczy - skoro tak, idźcie za mną.

Odwraca się od nas i idzie ścieżką lekkim, bezgłośnym krokiem myśliwego. Szerokie ramiona, jasne włosy opadające na kark, samopał na plecach, wielki nóż u pasa. Pewnie jest zły, że musi się zajmować dwoma mnichami.

- Myślałem, że królewscy łowczowie chodzą zawsze we dwóch - mówię cicho do Sergiusza.

- Nie zawsze - mruczy brat.

- Na was dwóch wystarczy mnie jednego - rzuca tamten przez ramię.

Różnie to można rozumieć... Sergiusz trąca mnie w bok, wymownym gestem nakazując milczenie. Kiwam głową.

Dość długo idziemy lasem. Zmrok gęstnieje, w szum wiatru wplatają się odległe głosy. To krzyk jakiegoś ptaka albo innego stworzenia... Nie znam się na leśnych dźwiękach. Sergiusz lepiej się w tym orientuje. Nasz przewodnik idzie pewnie, poruszając się, jakby był u siebie, nie oglądając się na nas. Widać, że dobrze zna las. Niemiły typ.

- Jesteśmy na miejscu. - Ponury opiekun zatrzymuje się i przepuszcza nas gestem gospodarza. - Witam was w królewskiej leśniczówce.

- Dziękuję - z niezwykłą dlań uprzejmością odpowiada Sergiusz. - Chodźmy, Błażeju.

W pierwszej chwili nie mogę ruszyć się z miejsca. Potem także nie patrzę pod nogi, lecz spoglądam z podziwem na leśny pałacyk. „Leśniczówka!” Dwupiętrowy budynek z białej cegły, produkowanej przez gnomy, jaśniejącej w zmierzchu, duże okna z prawdziwego szkła i solidny dach, bardzo podobny do tego, jaki położyli jeszcze za starego króla na gmachu Admiralicji w Gotwiniu. Żółte drewno pokryte kryształowym lakierem gnomów błyszczącym pięknie, złotawo. Lepiej nie myśleć, ile zapłacili podziemnym majstrom za tę robotę. Pewnie mniej więcej tyle, ile potrzeba dwóm lub trzem miasteczkom w rodzaju mojego rodzinnego Kamiennego Rogu na roczne wyżywienie. Ale efekt jest uderzający.

Wychodzi nam na spotkanie sługa o wyglądzie wielce majestatycznym, niemal królewskim. Nie wiemy, czy jest kamerdynerem, a może kimś pomniejszym, na przykład zwykłym gońcem. Wszystko jedno: w jego oczach widzimy odbłask królewskiej korony. Człowiek czuje się zaraz bardzo mały pod tym nieprzyjemnym spojrzeniem.

- Wejdźcie. - Kłania się nam, jako Bożym sługom, ale obrzuca wciąż pogardliwym wzrokiem. - Trzeba was nakarmić.

- Prowadź - mówi z uśmiechem Sergiusz.

Nowy przewodnik odwraca się i zmierza przed siebie, wyprostowany i niemile wyniosły. Sergiusz znowu mnie trąca:

- Czemu stoisz, chodźmy.

Przechodzimy wzdłuż wspaniałego ganku, mijając po drodze dwa wielkie okna oraz wtopiony w ścianę kinkiet ze starego srebra z jasnożółtym kloszem i skręcamy za rogiem. Okazuje się, że jest tam jeszcze jedno wejście. Drzwi z jasnego drewna inkrustowanego srebrem.

- Tutaj - mówi wielkopańsko przewodnik, wskazując wejście, i odchodzi z miną człowieka, który musiał spełnić niemiły obowiązek.

Za drzwiami znajduje się kuchnia. Ogromny piec z odkrytym paleniskiem, kamienna podłoga, ściany z pociemniałego drewna, wielki dębowy stół, taborety... A może to jednak jadalnia? Z wysokiej powały zwisają na łańcuchach żelazne kandelabry. Nad ogniem obraca się pieczeń na ruszcie. Trudzi się przy nim tłustawy jegomość w płóciennych spodniach i fartuchu na gołe ciało. Czyżby królewski kucharz? Na śniadej skórze błyskają odbłaski płomieni. Powiadają, że był podarunkiem od poselstwa Imperium Chandzarskiego dla naszego władcy z okazji dnia koronacji. Mówią też, że młody król docenił dar. Tłuszcioch zawiesza na nas uważne spojrzenie, po czym wychodzi.

- Zapamiętaj moje słowa, Błażeju, że będziesz robił tutaj zupełnie co innego niż to, po co przybyłeś - mówi cicho Sergiusz. - W końcu to sam król przywitał nas na ścieżce.

Widocznie chciał ci się przyjrzeć. Potem może wypytać... Domyślam się, że Przewielebny nie rozpieszczał go zbyt szczegółowymi opowieściami.

- Mam mówić wszystko? - upewniam się.

- A cóż ci pozostaje? - stwierdza, wzruszając ramionami.

Tłuścioch powraca i stawia przed nami ogromny srebrny półmisek. Chleb, ser, zimne mięso, wino. Dania proste, lecz podane w obfitości, która zaspokoiliby apetyty więcej niż pięciu ludzi.

- Dzięki naszemu dobremu królowi - mówi wesoło Sergiusz - i tobie, mój synu. Błogosławione niech będą te dary. Jedz, Błażeju.

Chleb okazuje się dosyć świeży, mięso po prostu rozpływa się w ustach. Wino godne samego króla. Skoro jednak podejmuje takim trunkiem dwóch ubogich mnichów...

Cichy odgłos każe mi podnieść oczy znad posiłku. Stoi przed nami rzekomy łowczy, czyli nasz młody król. Sergiusz wstaje i skłania wiernopoddańczo głowę.

- Miłościwy panie...

Podnoszę się wraz z nim, w pośpiechu przetykając niedogryziony kęs.

- Siadajcie - mówi król z uśmiechem. - Jedzcie. Jesteście moimi gośćmi. - Zbliży się, przyciąga nogą taboret i sadowi się naprzeciwko nas. - Akmi, jeszcze jeden kubek!

Akmi to oczywiście królewski kucharz. Oderwawszy się na chwilę od ognia, stawia przed swoim panem pucharek, taki sam, jak nasze: srebrna czara na drewnianej podstawce. Król osobiście rozlewa wino do kubków.

- Na pewno zmęczyła was podróż?

- Ktoś nas podwiózł - odpowiada Sergiusz. - Jesteśmy na królewskie usługi. - Po chwili dodaje: - Całkowicie.

- Doprawdy, całkowicie? - dziwi się król wesoło. Oczy jednak pozostają chłodne. Okrutne oczy myśliwego, wojownika i władcy. - Nie chcę się okazać niegościnnym. Przygotowano dla was komnaty, w których możecie spocząć. Jutro zapraszam was na śniadanie. Wtedy pogawędzimy.

- Dzięki ci, najjaśniejszy panie - odpowiada Sergiusz.

Kłaniam się milcząco.

## **2. LUDWIK, KRÓL TARGALI**

„Król jest pierwszy po Bogu” - któryż to już raz sobie powtarzam.

- Możesz sprawdzić, Błażeju, czy gnomy mogą wejść i teraz do mego pałacu jak do siebie?

- Pałac jest duży, mój królu. Ja zaś mogę tylko czytać pamięć dawnych wydarzeń zapisaną w przedmiotach.

- Przemyślę to.

W głosie młodego władcy wyczuwa się ogień i stal.

- Jeśli z Bożą pomocą Błażej zbada do końca podanie o świętym Karolu, będziemy też wiedzieć więcej o gnomach - mówi cicho Sergiusz.

- Zapewne... - Król Ludwik zamyśla się, zaciskając usta i przymykając oczy. - A jeszcze więcej dowiemy się o Dwunastu Ziemiach. Teraz rozumiem, Błażeju, czemu Ojciec Przewielebny nie pozwolił ci zajmować się dłużej Julią i jej gwardzistą. Sam myślałem tylko o tym, by poznać prawdę o życiu mego wielkiego przodka. Na Bożą Światłość, o wielu rzeczach nie pomyślałem! Dowiedz się o naszych sąsiadach wszystkiego, czego zdołasz, Błażeju. O ludziach wschodu i o podziemnych.

- Ale wszystko to było tak dawno - mruczy Sergiusz.

- Taka jest moja wola - oznajmia król. - Możesz ją przekazać Ojcu Przewielebnemu. Jeśli zażąda wyjaśnień, to ja sam... Zresztą, nie! Przekażesz mu moje słowa: z przeszłości można dowiedzieć się wielu rzeczy pożytecznych dla przyszłości. Zrozumiałeś, Błażeju?

- Tak, miłościwy panie! - Skłaniam głowę. - Tak uczynię.

- Myślę, że przydasz się później na moim dworze, Błażeju - stwierdza z namysłem władca. - Tymczasem mów dalej.

Kiedy opowiadam o kronikarzu, domyślam się, że każe mi także zająć się Imperium...

### **3. BRAT SERGIUSZ, STRAŻNIK KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Nieszczęsny Błażeju - mówi Sergiusz, kiedy las królewski został daleko za nami - nasz monarcha wycisnął cię do ostatniej kropli, ale zapewniam, że to jeszcze nie koniec.

- Po co mu to właściwie?

- Nie zrozumiałeś? Chce znać sposoby działania podziemnych, a przy okazji wysledzić sprawki tych poddanych, których ma prawo podejrzewać o wiarołomstwo.

Zatrzymuję się.

- Jesteś temu nierad? - Sergiusz zagląda mi w oczy ze złośliwym uśmiechem.

- Na Bożą Światłość, co za ohyda - szepczę.

- Chodźmy dalej, Błażeju - mruczy. - Ohyda... Widzę, że młody król nie zrobił na tobie wrażenia?

- Owszem, zrobił - sprzeciwiam się. - Nie sądziłem, że on jest tak... taki... nie mogę

znaleźć odpowiedniego słowa! Srogi...

- Tak - przytakuje Sergiusz - znalazłeś odpowiednie słowo. Nasz król ma dopiero dziewiętnaście lat, ale dobrze rozumie, czym jest władza.

Milczymy jakiś czas. Nie mogę zapomnieć okrutnych oczu władcy, ognia i stali w jego głosie.

- Słyszałem, że rycerzom podoba się bardziej od swego ojca - nieoczekiwanie dodaje przyjaciel. - Niezbyt dokładnie mu się przyjrzałeś, słuchając go, Błażeju. Sprawiał wrażenie chłopca marzącego o wielkich czynach. Z pewnością taki właśnie jest i dlatego tak lubi podanie o świętym Karolu.

- Przewielebny chyba nie będzie zadowolony - wzdycham.

- Zaproszenie do królewskiego lasu! - prycha Sergiusz. - Bardzo chytre, nie da się ukryć. Zauważyłeś, Błażeju, że nasz młody król pamięta imiona wszystkich swoich sług?

- Chcesz powiedzieć, że taki władca jest nam właśnie potrzebny, po epoce Ludwika Gnuśnego? Nie wiem, Sergiuszu. Być może. Kimże w końcu jestem, by osądzać królów?

- W każdym razie nie pożałował nam prowiantu na drogę - oznajmia Sergiusz. - Chcesz coś przegryźć, Błażeju?

- Chętnie - zgadzam się. - Mamy właśnie przed sobą przyjemne i suche miejsce na posiłek. Przy okazji dokończysz opowieści o sir Bartłomieju.

Schodzimy z drogi i rozsiadamy się na nasłonecznionym stoku niewielkiego pagórka. Sergiusz rozkłada zapasy i rozpoczyna opowieść:

- Na czym to ja skończyłem... Ach, tak! Sir Bartłomiej wjechał prosto w zasadzkę. Nieprzyjemna historia. Nie tyle dla samego rycerza, co dla Sebasty. Skoro dla części władzy gotowi są robić takie rzeczy, jakim prawem szczycą się, że są „Wolnym Miastem”? Powinni mieć króla... Słuchaj dalej. Sir Bartłomiej padł ofiarą rozciągniętego na drodze zaklęcia do przenoszenia ludzi, zwłaszcza królewskiego rycerza z jedenastoletnim chłopcem.

Kiwam głową. Słyszałem o zaklęciu przeniesienia, że to wielce kosztowna sztuczka.

- Przeniosło ich z powrotem do Sebasty - ciągnie Sergiusz. - Do piwnicy, gdzie czekali na nich liczni najemnicy członka Rady, dla których jedynym prawem był rozkaz ich pana. Można przy tym rzec, że rycerz miał szczęście: otrzymali rozkaz, by schwytać go żywcem. Byli więc ostrożni, a sir Bartłomiej długo się bronił... Rzucił szpadę dopiero wtedy, gdy jeden z najemników zdołał pochwycić malca i przystawił ostrze kindżału do jego gardła. Do tej chwili rycerz zabił co najmniej czterech napastników, reszta miała rany albo draśnięcia. Bartłomiej wiedział, że nie może oczekiwać znikąd pomocy. Domyślał się także, że chłopca zapewne zabiją. Ale „zapewne” nie oznacza jeszcze „na pewno”.

Sergiusz milknie.

- Kiedy się to zdarzyło? - pytam.

- Parę lat temu.

Gdyby rzeczywiście przydarzyło się to słynnemu rycerzowi, taka wieść rozeszłaby się lotem błyskawicy po całej Targali, zastanawiam się w duchu.

- To znaczy, że zdołał się z tego wyplątać. Przecież jednak nie wypuścili go po prostu, kiedy się poddał? Powinni dojść do wniosku, że odciągnął ich od prawdziwego kupieckiego syna i drugiego królewskiego rycerza. A wtedy... miał szansę ratunku!

- On także tak pomyślał - mówi Sergiusz - i zrozumiał, że pora wykorzystać „zew druha”.

Wiem, o co chodzi. Rycerski amulet, którym można posłużyć się tylko raz, w ostateczności, kiedy nie można samemu sobie poradzić i konieczna jest pomoc. Potem trzeba nabyć nową parę talizmanów i ustanowić nową więź, a to dzieło niełatwe i kosztowne. Użyć „zewu” łatwo: wystarczy wypowiedzieć w myślach odpowiednie zdanie i nie przeszkodzą w tym ani bitka, niewola, ni rana... jeśli, oczywiście, wojownik jest wciąż przytomny.

- Bartłomiej wezwał na pomoc sir Jana. Miał szczęście, że tamten przebywał akurat w koszarach „Wilków”. A może obaj mieli szczęście. Sir Jan wiedział, że skoro druh go wzywa, musi być w rozpaczliwym położeniu. Zanim wyrzekł słowo przeniesienia, poprosił jeszcze sir Michała o „szarego kota”.

- Co takiego?

- To bojowa magia, Błażeju, bardzo trudna i bardzo rzadka. Daje doskonałe widzenie w ciemnościach, niesamowitą szybkość, ale przede wszystkim zwinność, z jaką znika się przed oczu przeciwnika. Niemal niemożliwe jest skupienie uwagi na kimś zaczarowanym w ten sposób.

- Tak więc sir Jan oswobodził druha i chłopczyka - stwierdzam. - A co stało się z porywaczem? I z kupcem?

- Kupiec nabył dla Jana i Bartłomieja nowe amulety więzi, opłacił także nowego „kota” dla Michała w zamian za utraconego. Nic więcej nie wiem. Bartłomiej odwiózł chłopca do Korwarenu i tak zakończyła się jego historia. Bractwo Świętego Karola nie wtrąca się do cudzych swarów.

- Nie rozprawili się z porywaczami?

- Na pewno się rozprawili... - Sergiusz wzrusza ramionami. - Swary swarami, lecz bronią swoich do końca, jak wiesz. Mam do ciebie pytanie, Błażeju. Jeśli znajdziesz tajne przejścia podziemnych, czy powiesz o nich królowi?

„Możecie zawsze liczyć na pomoc podziemnych" - przypominam sobie.

Dzielili z nami podróż, jedzenie i nocleg. Udzielili nam swojej wiedzy, ja zaś odpowiedziałem tym samym.

„Szkoda, że nikt jeszcze nie wymyślił zaklęcia zrozumienia"...

- Nie wiem - odpowiadam szeptem.

# NIEBEZPIECZNA TAJEMNICA

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Siedzę w gabinecie Przewielebnego na krześle dla gości naprzeciwko jesionowego biurka i czekam na Sergiusza. Ojciec wysłuchał nas, i ku mojej uldze, tylko się roześmiał, gdy usłyszał o ciekawości króla. Później zaś powiedział:

- Zaczekaj tu, Błażeju. Brat Sergiusz przyjdzie po ciebie. Zwalniam was dzisiaj z wieczornego nabożeństwa. Brat Mikołaj da wam jeść, a potem możecie odpoczywać. Wcześniej jednak muszę porozmawiać z bratem Sergiuszem.

Jestem rzeczywiście zmęczony. Wydaje mi się, że ciemne drewno biurka przyciąga mnie, niczym czarodziejskie wody sennej głębin. Może bym się zdrzemnął chwilę? Czuję przyjemne ciepło jesionowego drewna pod czołem... Czyje słyszę głosy? Jak przyjdzie Sergiusz, to mnie zbudzi...

## **2. WYŚLANNIK KAPITUŁY**

- Święty Kościół powinien rządzić światem. Zgadzasz się, Przewielebny? - Obcy zakonnik, siedzący naprzeciwko Ojca Przewielebnego, przechyla się do przodu z dłońmi zaciśniętymi w pięści, wzrokiem przewiercając rozmówcę do głębi.

- Nasz Kościół istnieje już ponad tysiąc lat - przypomina gościowi Przewielebny. - Niejeden raz dzierżył władzę i nieraz ją tracił. Obecnie walczymy tylko o rząd dusz. Ta święta wojna bardziej przystoi sługom Bożym.

- Zaiste, mądre słowa! Poprzednie próby przejęcia świeckiej władzy poniosły klęskę, gdyż zapomniano walczyć o dusze. Najświętsza Kapituła wyciągnęła z tego właściwe wnioski i dlatego jej nowe rozkazy są bardziej przemyślane. Podporządkujesz się im?

- Znam swoje obowiązki.

- Niepotrzebnie się krzywisz, Przewielebny. Różne są sposoby władania światem. Obecnie pragniemy oddziaływać właśnie na ludzkie dusze. Pragniemy zdobyć tylko to, co ludzie sami są gotowi oddać. Zgodzisz się chyba, że na tym polu mamy możliwości, by zyskać mocną władzę!



- Wydaje mi się... - Ojciec Przewielebny milknie, bębniąc nerwowo palcami po blacie biurka.

- Co takiego? Śmiało, mów, Przewielebny!

- To zadanie ponad siły... Na Bożą Światłość, to raczej nieosiągalne marzenie niż realny cel!

- Całkiem realny. - Gość przymruża oczy i pyta zjadliwie: - Chyba, że Ojciec Przewielebny klasztoru Zofii Nadchodzącej zwątpił w mądrość Najświętszej Kapituły?

- Nie...

- Nie? To dobrze! - Pięść gościa uderza o blat, jakby przybijał pieczęć pod umową. - I co z tego wynika, Przewielebny?

Światłości Boża... Ojciec Przewielebny, zawsze tak pełen wewnętrznej godności, wygląda teraz jak zbity pies, skomlący o łaskę u nóg swego pana!

- Jestem wiernym synem Kościoła Świętego, gotowym zawsze mu służyć.

- Gotów jesteś mnie wysłuchać, przyjąć to do wiadomości i wprowadzić w czyn?

- Rozkazuj.

- I po cóż tak ostro! - Wysłannik Najświętszej Kapituły uśmiecha się chytrze, widząc swoje zwycięstwo. - Tylko wyjaśnię. Nie będziemy starać się rządzić otwarcie. Dlaczego? Za dobre rządy ludzie rzadko są wdzięczni władcom, lecz chętnie obwiniają ich za wszelkie trudy ich życia. Odtąd naszym zadaniem jest zdobywanie dusz! Chcesz powiedzieć, że do dzisiaj także się tym zajmowaliśmy? Jest jednak jedno „ale”, Przewielebny. Przede wszystkim będziemy walczyć o dusze tych, którzy rządzą! Niechaj władcy zaczną drzeć przed Kościołem, niech ich wasale wiedzą w głębi duszy, że Kościół jest największym suwerenem, niech ich armie ruszają w bój w imię nasze!

- Tak - mówi z namysłem Przewielebny - jeżeli tak się stanie...

- Gotów jesteś walczyć o taką przyszłość, bracie?

- Jest to w mej mocy... a nawet więcej.

- Więcej nie trzeba. Co myślisz teraz o tym nowicjuszu, o którym pisałeś kiedyś do Kapituły z prośbą o radę?

- Błazej? Jestem o niego całkiem spokojny. To prosty chłopak o czystej duszy, głęboko wierzący... Jego dar nie pochodzi od Nieczystego!

- Wspaniale. W takim razie pochodzi od Boga i możemy się nim posługiwać w interesie Kościoła. Posłuchaj, bracie - wysłannik zniża głos - znasz podanie o świętym Karolu?

- Każdy w Targali je zna - odpowiada zaskoczony Przewielebny.

- Piękna baśń o szlachetnych zamierzeniach i dzielnych czynach - kontynuuj zamyślony wysłannik - odpowiednia dla naszych celów.

- To nie baśń - protestuje Przewielebny - lecz prawda historyczna.

- Mój drogi bracie, naprawdę wierzysz, że wszystko to się zdarzyło? I co to właściwie znaczy: „naprawdę”? Wiesz, ile wersji tej opowieści krąży po Złotym Półwyspie?

- Minęło tyle lat... - mruczy Przewielebny.

- Owszem - zgadza się gość. - Ale ten nowicjusz Błażej z Bożą pomocą może się dowiedzieć, jak było rzeczywiście.

- Istotnie - szepcze Przewielebny. - Jego dar działa bez względu na to, jak dawno miały miejsce wydarzenia. Lecz tak niewiele przedmiotów zachowało się z Trudnych Czasów! Komu uda się zebrać tyle antyków, by...

- Komu? Właśnie tutaj, bracie, objawia się cel mej wizyty. Mamy swojego człowieka w otoczeniu króla Ludwika. Wiemy od niego, że młodemu władcy bardzo spodobało się podanie o jego przodku. Był nim zachwycony. Do tego stopnia, że wystarczy tylko napomknąć mu o możliwości...

- Ale w jaki sposób? Nie mam dostępu do króla.

- Na razie. - Gość się uśmiecha. - Wkrótce się to zmieni. Król sam do ciebie przyjdzie zapytać o nowicjusza z darem przywoływania przeszłości. To zadanie naszego człowieka. Młody monarcha jest z natury niezwykle ciekawy, zwłaszcza tego wszystkiego, co dotyczy czynów przodków. Wystarczy lekka zachęta, a sam zacznie szukać odpowiednich staroci.

- Święty Karol, książę Walerian, Podziemie... - mówi z namysłem Przewielebny. - Gdy byłem małym chłopcem, także lubiłem tę legendę. Lecz jaki z niej pożytek w walce o duszę?

- Pożytek z poznania prawdy, bracie. Chociaż z całej tej prawdy Kapitulę potrzebne jest tylko jedno: wykazać, że król Henryk Okrutny, i nikt inny, odpowiada za wszystkie okropności Trudnych Czasów!

- W gruncie rzeczy tak było - ocenia Przewielebny, wzruszając ramionami. - Inaczej niektóre szczegóły podania wydają się bezsensowne. Lecz jaki będziemy mieli zysk z orzeczenia o winie Henryka Okrutnego?

- Przewielebny, nie próbuj ogarnąć swym ograniczonym rozumem całości tak ogromnego dzieła. Wykonaj swoją część zadania, a wdzięczność Kapituły będzie dostateczną nagrodą za służbę dla Świętego Kościoła. - Wysłannik robi znaczącą pauzę i uśmiecha się porozumiewawczo. - Cała zaś reszta nie powinna cię obchodzić, mój bracie.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Przelotny sen znika, pozostawiając mnie głęboko wstrząśniętym.

Co to znaczy, myślę zaniepokojony, jak mam to zrozumieć i jak uwierzyć? Ojciec Przewielebny, nosiciel Bożej Światłości, zamieszany w światowe intrygi? Najświętsza Kapituła dążąca do ziemskiej władzy? Słudzy Boży posługujący się kłamstwem? Jak to? Dlaczego?!

Ta część mnie, która pamięta jeszcze świeckie zwyczaje i podłość ludzką, krzyczy: ukryj to! Niczego nie widziałeś i nie słyszałeś, nie twoja sprawa! Nie mieszaj się do działań większych od siebie, bo cię rozdepczą! Druga część, która ujrzała Bożą Światłość, szepcze ze strachem: okaż skruchę. Może nie jesteś w stanie pojąć wszystkiego? Zwykły nowicjusz ośmiela się oceniać czyny Przewielebnego i jemu podobnych? To wszak nie na twój rozum. Wypowiadaj się, przyjmij zasłużoną pokutę za grzeszne myśli i zapomnij. Nie, krzyczy świecka pamięć, nie rób tego! Ten, kto poznał przypadkiem cudzą i niebezpieczną tajemnicę, może łatwo utonąć w bagnie!

W takim dręczącym rozdwojeniu zastaje mnie brat Sergiusz. Nie czując się na siłach wybrać między posłuszeństwem a ostrożnością, wszystko mu opowiadam, włączając w to nawet własne refleksje. Wskaż mi właściwą drogę, bracie. Uczynię, co mi doradzisz.

- Na Boga, Błażeju! Czym się tak bardzo przejąłeś? Co z tego, że Najświętsza Kapituła postanowiła podporządkować króla Kościołowi? Sam go nazwałeś srogim! Może Kościół poskromi jego srogość. Siedzisz tu, jak u Pana Boga za piecem, pozostaw więc króla jego przeznaczeniu. Jedna władza warta drugiej.

Bez wątpienia ma rację. Czyż to nie Ojciec Przewielebny przywiódł mnie tutaj, ukrywając przed światem? Czy nie doświadczyłem jego dobroci? Tak mówię do Sergiusza, dziękując, że umocnił mą decyzję o spowiedzi.

- Chcesz się spowiadać? - odpowiada pytaniem Sergiusz. - Czy nie jesteś dla siebie zbyt surowy, Błażeju? Rób swoje, jak przedtem, to wszystko.

- Ale jutro się spowiadamy - przypominam.

- Spowiadamy? - powtarza za mną. - No tak... Och, Błażeju! Spowiadaj się szczerze, skoro musisz. Tylko zrób to tak, żeby nawet sam Nieczysty nie zwątpił o twej wierności Kościołowi Świętemu! Zrozumiałeś, przyjacielu?

Tak więc spowiadam się, przyjmując z radością pokutę nałożoną przez Przewielebnego, spędzam tydzień na modłach, by znowu odnaleźć w sobie pokorę. Umacniam się w postanowieniu służby dla Kościoła, chociaż moje sumienie wciąż gryzie chwilami jedna kwestia: czy godne Światłości Bożej są pragnienia zdobycia świeckiej władzy? Wybacz mi, Boże! - modłę się ciągle. I jakby w odpowiedzi słyszę wciąż słowa brata

Sergiusza: „Jedna władza warta drugiej”. Nie wiem tylko, jak je sobie tłumaczyć.

Tydzień modłów to jednak wielki trud i ciężka próba. Z każdym dniem zmniejsza się pokusa zwątpienia. Pokora i posłuszeństwo... Dzień spędzony na kolanach przed Bogiem, nocne leżenie krzyżem w kaplicy, po jutrzni kromka chleba i kubek wody, potem krótki spacer za potrzebą. Pokora. Posłuszeństwo. Tylko one mi pozostają. Kiedy Przewielebny błogosławi mnie na koniec pokuty, przyjmuję to z lekkim sercem.

Sergiusz kręci głową, spotykając mnie w drzwiach kaplicy. Całą drogę do celi zachowuje się tak, jakby chciał mnie podtrzymać, gdybym opadł z sił. Mówi później:

- No cóż, Błażeju, wszystko mogło się skończyć znacznie gorzej. Jak widzisz, nawet gdy jest się u Pana Boga za piecem, zdarza się czasem, że trzeba kroczyć po ostrzu noża.

# W SŁUŻBIE KRÓLEWSKIEJ

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Ojciec Przewielebny szykuje się do wyjazdu. Przy bramie czeka zaprzężony w czwórkę koni przestronny powóz, a przy nim brat woźnica, brat sekretarz i dwudziestka strażników. Droga do Icz-Toiwina jest daleka i wiedzie przez strony, w których wszystko może się zdarzyć. Przewielebny wybiera się na obrady Kapituły z prawie dwumiesięcznym wyprzedzeniem. Któż oprócz Boga wie, kiedy wróci do klasztoru? Może z końcem lata, może z początkiem zimy...

Czekam, co mi powie. Jakimi słowami pobłogosławi? Czy w ogóle uzna, że godny jestem błogosławieństwa?

Uznał.

Brat Sergiusz prowadzi mnie do jego gabinetu.

- Siadaj, Błażeju - wita mnie Przewielebny.

Siadam. To samo biurko i jesionowe krzesło... Lepiej byłoby już stać razem z Sergiuszem.

- Król życzył sobie, byś zajął się naszymi sąsiadami - mówi kapłan. - Jakie masz jeszcze przedmioty? Broszka Julii, amulet króla Waleriana, nóż, dzieło gnomów, należący do brata Sergiusza... Czy to wszystko?

- Tak, Przewielebny.

- No cóż, być może jeszcze coś mają do powiedzenia o świętym Karolu. I na pewno z ich pomocą możesz spełnić życzenie naszego władcy. Zajmij się tym. - Uśmiecha się. - Skoro król wezwie cię do siebie, będziesz miał przynajmniej co opowiadać.

Powiem szczerze, iż bardzo się ucieszyłem. Proroctwo Kamiennej Wyroczni... Być może nóż Sergiusza rzeczywiście powie nam o Karolu wszystko, co naprawdę ważne. Może Walerian nosił rodowy amulet zanim został królem. Dlaczego nie? Takie amulety często przechodzą z ojca na syna lub z matki na córkę, nie po śmierci rodziciela, lecz w dniu, kiedy dziecko kończy roczek. Przewielebny ma rację, możemy się dowiedzieć więcej o jego spotkaniu ze świętym Karolem. Broszka Julii też mnie pociąga. Pospiesznie schylam głowę,

starając się skryć radość wywołaną odpowiadającym mi poleceniem.

- Och, Błażeju! - Ojciec kręci głową karcąco. - Znowu wyłazi z ciebie ciekawsza kumoszka! Julia i Gustaw! Cóż, tym przyjemniej przyjdzie ci wykonywać rozkaz króla. Nie masz się co czerwienić! Nasz monarcha ma rację, że nigdy nie wiadomo, do czego może się przydać wiedza o przeszłości. Brat bibliotekarz będzie odtąd zapisywać wszystko, czego się dowiesz o Karolu i Walerianie, a także innych sprawach.

Mam ochotę przeniknąć prosto przez podłogę do swojej celi i natychmiast zacząć pracować.

- Pobłogosław mi, Ojcze.

- Trochę później. - W głosie Przewielebnego słychać wyraźnie, że ma jakąś niespodziankę. - Mam tutaj podarek dla ciebie. Spójrz, Błażeju. Poznajesz?

Podnoszę oczy i widzę na jego dłoni srebrny sznurek z wplecionymi na końcach drobnymi szmaragdami.

- „Srebrne ziele” - szepczę. - Takie samo, jakie miała Julia...

- Takie samo? - pyta bystro Przewielebny. - Czy to samo? Sprawdź od razu, Błażeju. Chcę wiedzieć, ile warte jest moje znalezisko!

Biorę sznurek i przymykam oczy... Gładkie srebro łaskocze palce...

- Weź to - szepcze królowa. W jej sercu walczą ze sobą strach i nadzieja. Jej syn, Karol! Jedyny ukochany człowiek na tym świecie, jej dziecko! Przewiązuje srebrny sznurek z małymi szmaragdami drżącymi dłońmi na przegubie Julii. Uratujcie go, modli się w duchu. Julio i panie mężu, ratujcie Karola!

- Światłości Boża! To ten sam, który należał do królowej Niny.

- Opowiadaj - żąda Ojciec Przewielebny.

„Opowiadaj” - prosi oczyma Sergiusz. Opowiadam, po czym Przewielebny kiwa z zadowoleniem głową.

- Królowa bardzo kochała swego syna.

- I tylko jego - dodaję. - Nieszczęsna kobieta...

- Tak - powiada w zadumie kapłan. - Później było zapewne tak samo, kiedy książę dorósł i popadł w niewolę podziemnych... Jeśli to się w ogóle zdarzyło. Jakże chciałbym poznać prawdę!

W jego głosie dźwięczy ból. I mimo wszystko...

Podziemni, myślę, oczekiwali zrozumienia. A Przewielebny? Nie wiem. Czuję jednak, że nie pragnie wiedzy ani zrozumienia, lecz czegoś innego.

Przełykam głośno ślinę. Chyba wystarczy tego na dzisiaj.

- Pobłogosław mi, Ojcze - powtarzam nieustępliwie.

- Błogosławię ci! - Przewielebny dotyka mojej pochylonej głowy, po czym dodaje: - Poleciałem bratu Sergiuszowi, by zamieszkał w twojej celi do końca dochodzenia. Sam jeden lepiej cię przypilnuje niż czwórka wciąż zmieniających się strażników. Pomoże ci przystosować się do życia klasztornego. Ale widzę, że jesteś znowu myślami w Trudnych Czasach...

- Dzięki ci, Przewielebny! - mówię z ukłonem. - Brat Sergiusz jest dobrym nauczycielem.

- To dlatego, że także mnie to ciekawi - mamrocze Sergiusz.

- Wiem - powiada z dobrotliwym ojcowskim uśmiechem Przewielebny.

## **2. GUSTAW, WASAL KRÓLA ANDRZEJA**

- Sławeszt. - Król Andrzej wskazuje na skupisko dachów, wbijających się w niebiosa jak ostre kły bestii. - Moja stolica. - Spogląda z uśmiechem na Małgorzatę. - Nasza stolica, moja małżonko! Spójrz, jak nas wita.

Siergiej pędzi galopem na spotkanie nadjeżdżających drogą jeźdźców.

- Sławeszt - powtarza Małgorzata. - Jest większa niż Korwaren?

- Trudno orzec. - Wzrusza ramionami Andrzej. - Korwaren jest chyba ciasniej zabudowany. Gotowa jesteś na spotkanie ze swoim nowym miastem, królowo Małgorzato?

Małgorzata śmieje się.

- Jak długo jeszcze będą trwać uroczystości weselne, mój panie mężu?

- Jeszcze trochę - odpowiada z uśmiechem. - Trzeba cię będzie przedstawić książętom, doradcom, dworowi i narodowi. Między książętami znajdą się oczywiście malkontenci. Niech cię to nie przeraża, Małgorzato. Rozprawię się z nimi.

- Razem się rozprawimy, mój panie - poprawia męża Małgorzata.

- Miłościwy panie! - Podjeżdża do nich Waśka. - Zostaniemy tutaj z Gustawem. Nie powinien się rzucać w oczy całemu zgromadzeniu, które będzie witać młodą królową. Przejdziemy przez Ordyńską.

- Czekam na was po zachodzie słońca - oznajmia król.

- Gustawie! - Julia wygląda przez okienko karety. - Uważaj!

- Nie ma powodu do obaw, Julio - uspokajają Wasia. - Przejdziemy po prostu przez inną bramę.

- To prawda, Julciu. - Gustaw podjeżdża bliżej karety. „Trzyma się w siodle nie gorzej od ludzi Andrzeja - myśli oczarowana dama. - Stał się jakiś inny...” - Przestań się o mnie bać!

- Ależ ja nie... - Julia rumieni się i zaczyna bezwiednie targać supeł przewiązanego na przegubie „srebrnego ziela”. - No, co jest! - Rozwiązuje węzeł i sznurek wyslizguje się z jej palców jak mała żmijka. Gustawowi udaje się niemal cudem złapać go w porę. - Niech cię chroni, moja miłości - szepcze, przewijając talizman na nadgarstku męża.

- Tutaj nie ma gnomów, Julciu - przypomina Gustaw.

- Sławeszt jest w ogóle spokojnym miastem - oświadcza Waśka. - Cichym i sennym w porównaniu z Korwarenem.

Julia tylko wzdycha w odpowiedzi.

- Ona się boi - zauważa Wasia, kiedy kareta znikła za plecami ludzi Siergieja. - Boi się nowego miasta, mnie, Siergieja i króla... lecz sama przecież tego chciała!

- Nic to, przejdzie jej. - Gustaw gładzi srebrny sznureczek ze smutnym uśmiechem. - Tak długo się o mnie obawiała, że teraz nie umie przestać. To moja wina: w końcu dałem jej powody!

- Chyba nie zamierza chować cię pod kloszem? - pyta złośliwie Wasia.

- Najlepsze, co mógłbyś zrobić - mówi Gustaw, spoglądając w napięciu na towarzysza - to doradzić królowi, by kazał nauczyć te dwie damy jeździć wierzchem. Nie będą miały czasu ani sił bać się... a w dwa tygodnie się nauczą.

- Dobry pomysł - zgadza się tamten. - No, jedźmy. Brama Ordyńska jest na drugim końcu miasta. Chcesz jeszcze o coś spytać?

- Nie, pomyślałem tylko, że w Korwarzenie prostsza jest sprawa z bramami: Północna, Południowa, Wschodnia i Zachodnia.

- Całkiem bez pomysłu. A przed każdą zawsze stoi długa kolejka! U nas jest siedem bram: Zachodzącego Słońca, przez którą właśnie wjeżdża król; Pasterska, przez którą przegania się trzody; Ordyńska, przez którą przybywają poselstwa z Ordy i Kalifatu; Cmentarna; Klasztorna, przy której znajduje się konwent pod wezwaniem Grzegorza Wojownika; Korsarska, wiodąca do północnego nadbrzeża; niedaleko Bramy Zachodzącego Słońca znajduje się też Kopalniana, jak się zapewne domyślasz, prowadząca do kopalni. A właśnie, weź to. - Podaje mu niewielki srebrny medalik na przybrudzonym białym sznurze. - Zawieś to na szyi i nigdy nie zdejmuj.

- Co to jest?

- Przepustka do bram miasta i wrót pałacowych. Siergiej da ci później drugą, otwierającą drzwi wewnątrz rezydencji.

Gustaw ogląda medalik, potem wieszka go na szyi i pyta:

- Chyba czegoś nie zrozumiałem? Kawalek srebra na nitce jest tutaj przepustką?



- Tak jest - potwierdza Waśka. - Tego rodzaju amulety można kupić u pierwszego z brzegu zaklinacza. Zwykła tandeta. Nikt na to nie wpadnie, że nosisz na szyi nie tylko zwykły talizman odpędzający upiory, a zarazem królewską przepustkę. Nawet wartownicy się nie połapią. Ich amulety zasygnalizują im, że masz przepustkę, lecz nie powinni się nigdy dowiedzieć, jak ona wygląda. W naszej robocie najważniejszą rzeczą jest nie zwracać na siebie uwagi.

- Chcesz powiedzieć, że nikt nie wie, iż jesteś kapitanem Tajnej Służby? - mruczy z niedowierzaniem Gustaw.

- Jakiej znów Tajnej Służby? - odpowiada niewinnie Wasia. - Król ma tylko jednego kapitana, Siergieja. Jaka może tu działać Tajna Służba, skoro piętnastu książąt ma prawo wtrącać się do wszystkich spraw państwowych, doradzać królowi i rozliczać go z jego działań? Jestem dla nich tylko królewskim doradcą do spraw heraldyki. Dla wszystkich oprócz króla, królowej, Siergieja i dziesięciu moich ludzi.

- Tylko dziesięciu?

- Pozostali nie znają mego imienia.

- Aha - mówi Gustaw, kiwając głową. - Teraz zrozumiałem. Bardzo mądrze. Jestem gotów się założyć, że specjalną uwagę twoi ludzie poświęcają właśnie książętom.

- To nasz główny problem - krzywi się Wasia. - Zwłaszcza ci z południa... ale o tym innym razem. Zobacz, oto i brama.

- Niezbyt tutaj ludnie - zauważa Gustaw.

- A co myślałeś? Wszyscy chcą przecież popatrzeć choć z daleka na nową królową. Dlaczego nie zapytasz raczej, czemu wprowadzam cię inną bramą?

- Na pewno sam mi to powiesz. Jesteś przecież teraz moim dowódcą, prawda? Nie wiem, jak jest tutaj, ale w Korwarenie nie jest dobrze zawracać głowę komendantowi ciągłymi pytaniami.

- I słusznie - stwierdza kapitan. - Ty jednak możesz pytać mnie, o co zechcesz. Tak samo Siergieja. Jesteś przecież na razie żółtodziobem. Musisz poznać nasze problemy i miasto... Pomożemy ci w tym i wtedy rozjaśni ci się w głowie.

Przejeżdżają przez Bramę Ordyńską niespieszną rysią, w całkowitym milczeniu. Straż niemal nie zwraca na nich uwagi.

- Znowu chyba czegoś nie rozumiem? - pyta Gustaw, gdy zagłębiają się w wąski zaułek. - Wszystkich puszczają tak bez pytania?

- Amulet. - Waśka spogląda na mężczyznę z ukosa. - Zdaje mi się, że macie na Półwyspie mniej zaczarowanych talizmanów niż my. Nie jesteś do nich przyzwyczajony.

Pora, by się pożywić. Do zachodu słońca jeszcze sporo czasu, a tu niedaleko jest całkiem niezła knajpka. Ja stawiam.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Tajna Służba - zauważyła Sergiusz. - Nasz król będzie zachwycony.

- Ciekaw jestem, jak ta rzecz wróciła do Targali.

Przesuwam w palcach srebrny sznurek, radując się jego miękką śliskością.

- To chyba dla ciebie żaden problem?

- Nie chcę wybiegać zanadto do przodu. Przyjdzie czas i na to.

- A tymczasem podążysz za Gustawem? Przytakuję. Gustawie, były gwardzisto króla Henryka Okrutnego, czym właściwie skusił cię Waśka? Tego chyba się nigdy nie dowiem.

### **4. WAŚKA, KAPITAN TAJNEJ SŁUŻBY**

#### **KRÓLA ANDRZEJA**

- Najjaśniejszy panie! - Wasia skłania lekko głowę, a Gustaw, naśladowując jego gest, po raz kolejny dziwi się tutejszej prostocie. Prawie już zaczął zapominać o dworskich ceremoniałach Targali...

- Zdaje się, że lepiej spędziliście czas, podczas gdy męczyliśmy się na uroczystości - powiada z uśmiechem król.

- Co prawda, to prawda. Przesiedzieliśmy pół dnia w knajpie i Gustaw nauczył się nawet gadać po naszemu...

- To bardzo proste. - Gustaw uśmiecha się mimowolnie. - Dorastałem w okolicach Wroniej Przełęczy, a tam mówi się bardzo podobnie. O wiele trudniej miałem na początku pobytu w Korwarzenie...

- Cóż, cieszy mnie to. Porozumieliście się?

- Tak, mój królu - potwierdza Wasia. - Możesz przedstawić Gustawa na dworze jako specjalistę od heraldyki Targali.

- Już jutro. - Król kładzie dłoń na ramieniu Gustawa i dodaje: - Nie oczekiwałem, Gustawie, że wybierzesz lekki żywot, wątpię jednak, czy Julia będzie zadowolona z twojej decyzji.

- Postaram się ją przekonać.

- Do rzeczy, mój panie... - Waśka zniża głos do ledwie słyszalnego szeptu. - Co z

Gordiuszem?

Andrzej wzrusza ramionami.

- Był bardzo uprzejmy. Ucałował dłoń Małgorzaty i powiedział Julii komplement.

- Julia też była przedstawiona? - pyta prędko Wasia.

- Jako pierwsza dama dworu. Po tym, jak pobłogosławił ją ojciec Laurenty, nikt już nie zadawał pytań.

- Jeszcze czego! - śmieje się kapitan. - Ojczulek nie jest jeszcze stary, umie być groźny. Książę nie ujawnił, kiedy zamierza wyjeżdżać?

- Jutro rano - informuje władca. - Będzie przyjmował nowych rekrutów. Przy okazji księżna Alefina prosiła go, by przyjął jej syna do swego oddziału.

- Co na to Gordiusz?

- Dlaczego, rzekł, miałbym nie uwzględnić prośby księżnej wdowy?

- I co dalej?

- Nie poganiaj mnie - strofuje go król, pochrzając. - Uwzględnił, bo co miał robić. Słuchaj, co było dalej. Nic dziwnego, że księżna zaraz zaprosiła do siebie w gości przyszłego dowódcę syna. Niedługo potem zjawił się tam również kupiec Rafał, ten co ma gospodę zaraz za Ordyńska Bramą.

- I co dwanaście dni wysyła poprzez kupieckie karawany tajne raporty do Kalifatu - dodaje Wasia, drapieżnie mrużąc oczy. - Czego będziemy musieli dowieść, mój królu.

- Na razie nie ma dowodów - zauważa monarcha, wzruszając ramionami. - Uważaj, Wasia... Nie ma co deptać Gordiuszowi po piętach. Na razie jego ambicje nie wykraczają poza obóz wojskowy.

- To się jeszcze okaże. Coś jeszcze, mój panie?

- Ojciec Laurenty chciałby poznać Gustawa, trzeba zaaranżować nieoficjalne spotkanie. Gustawie, Julia dzisiaj nocuje u Małgorzaty, jutro zaś - mówi z uśmiechem król - Siergiej obiecał dopilnować, żeby wasza kwatera była gotowa. Małgorzata przyjdzie was odwiedzić.

- Dziękuję ci, panie. - Gustaw kłania się na tutejszą modłę, lekko pochylając głowę. Powoli wchodzi mu to w krew...

# O TAJNYCH ZAMYŚLACH

## 1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU

### ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Tajna Służba...

Wciąż na nowo przesuwam w dłoniach srebrny sznurek, mimowolnie ciesząc się jego przyjemnym chłodem. Nie mogę tego wieczoru myśleć o niczym innym. Wasia, Gustaw i Tajna Służba króla Andrzeja. Służba, którą nie można się pochwalić przed wyniosłymi wielmożami ani przed dumnymi ze swoich i cudzych czynów rycerzami, ani przed dziećmi, jeśli będziesz je miał. Służba, którą wielu uważa za niegodną szlacheckiego honoru, lecz do której należą dworzanie najwierniejsi królowi. To całkiem inna godność. Przewyższająca tę, za którą biją się w pojedynkach, którą szczycą się przed motłochem i którą przekazują pierworodnemu wraz z ojcowską szpadą...

Właściwie to nie są moje myśli. Cóż mnie bowiem obchodzi honor szlachecki? To nie mój problem!

Godności tej na imię: wierność...

To Gustaw, orientuję się. Znowu pogrążam się w jego duszy. Powinienem odłożyć „srebrne ziele”, wyjść do ogrodu, może zajrzeć do brata bibliotekarza... Zamiast tego siedzę dalej, przesuwając śliskie srebro między palcami... i wsłuchując się w myśli Gustawa.

## 2. GUSTAW, WASAL KRÓLA ANDRZEJA

- Doprawdy uznałeś, że się do tego nadaję? - Gustaw uśmiecha się do Wasi, wznosząc ku niemu kielich z czerwonym winem. - Jeszcze wczoraj Siergiej dziwował się mojej tępcie.

- No cóż - odpowiada tamten - nasłuchałem się, jak pomyliłeś godła pułku księcia Jerzego z odznakami oddziału jego siostrzeńca. W sprawie, jaką chcę ci powierzyć, taka wiedza i tak nie będzie ci potrzebna.

- A co będzie potrzebne? - niecierpliwie pyta Gustaw.

- Szczęście - wzdycha Wasia. - Dużo szczęścia. Uprzedzam cię uczciwie, że w tej sprawie odegrasz rolę przykrywki. Niemal skazańca. Zrezygnujesz od razu czy mam cię wprowadzić w szczegóły?

- Dlaczego miałbym rezygnować? Mów.

- Pamiętasz rozmowę o Gordiuszu? - Wasia rozlewa resztę wina do kielichów. - Twoje zdrowie, Gustawie... Swoją drogą, nie masz powodu się cieszyć. Sprawa jest w samej rzeczy fatalna! - Kręci głową i ciska butelkę za okno. Słychać plusk daleko w dole. Komnata, w której ma zwyczaj rozmawiać o poważnych sprawach, mieści się w północnej baszcie zewnętrznej ściany pałacu królewskiego, na samej górze, wprost nad rzeką. - Tak więc, do rzeczy... Książę Gordiusz spędza lato w obozie wojskowym niedaleko południowej granicy. Wczoraj mi doniesiono, że przyjeżdżali tam do niego podejrzani goście. Przebywali u niego niedługo, nie ma więc mowy o poważnym spisku. Mogli mu jednak coś ważnego przekazać lub, powiedzmy, wymienić się paroma istotnymi słówkami... Wydaje mi się, że mam odpowiedniego człowieka, który zdołałby zacząć się na pół godziny w namiocie Gordiusza w taki sposób, żeby nikt go nie odkrył... Powiedz mi, jako wojskowy, czy to możliwe?

Gustaw pochrząkuje i pyta:

- Więc co mam zrobić?

- Głupstwo - mówi tamten z krzywym uśmiechem. - Zapewnić nam te pół godziny.

- W jaki sposób?

- Trzeba przedostać się do obozu Gordiusza i zabić książęcego czarodzieja. Inaczej wyjdzie na to, że posłałem cię na pewną śmierć! Musisz pozostać na tyle długo przy trupie, żeby cię schwytali.

Gustaw spogląda nań pytająco.

- Tak to wygląda - potwierdza ponuro Waśka. - I powiem ci, że ten plan niezbyt mi się podoba, ale nie ma innego.

- I co dalej? - pyta Gustaw.

- Zaprowadzą cię przed oblicze Gordiusza. Nie odpowiadaj na żadne pytania... Zmusz go, by jak najszybciej przeszedł od zwykłego przesłuchania do tortur. To nie powinno być trudne, bo południowcy lubią takie zabawy. W każdym razie, dopóki będziesz w centrum zainteresowania, przedostaniemy się do książęcego namiotu i dowiemy wszystkiego, co się da, a potem postaramy się ciebie uwolnić.

- Postaracie się? - Gustaw zastanawia się z ledwie zauważalnym uśmiechem: trzeba oszaleć, żeby zgodzić się na coś takiego, a jednak jakoś nie chce mi się odmawiać...

- Uwolnimy - zapewnia twardo Wasia. - Jeśli będziesz jeszcze żywy. Sam jednak rozumiesz...

- Aha - mruczy Gustaw - rozumiem.

- No więc jak, Gustawie? Odmawiasz?

- Mogę zadać tylko jedno pytanie?

Tamten wzrusza ramionami.

- Choćby i tuzin.

- Oprócz mnie, nie masz kogo tam posłać?

- Dlaczego nie mam kogo? Są chętni, tak więc możesz spokojnie odmówić. - Spogląda mu w oczy, próbując zażartować. - Zmęczyły mnie już twoje błagalne spojrzenia, a tutaj nadarza się taka okazja. Uznałem, że się obrazisz, jeśli ci tego nie zaproponuję.

- Tak jest - podejmuje Gustaw. - Resztę pytań zadam po drodze, kapitanie. Kiedy jedziemy?

- Zdecydowałeś się?

- Tak. Drugi raz może się nie trafić - stwierdza były gwardzista.

- Dzisiejszej nocy - informuje ze skruczą Waśka. - Zajdę po ciebie. Nie zabieraj niczego na drogę, wyjdziemy, jak stoimy. I uprzedź Julię, że możesz nie wrócić.

- Dobrze. - Mężczyzna dopija wino i wstaje. - Dziękuję, kapitanie.

- Za co? - pyta Wasia.

- Za szansę sprawdzenia się...

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ**

#### **KLASZTORU ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Maj jest czasem pielienia ogrodu. Chwasty rosną szybciej i gęściej niż pożyteczne dla człowieka drzewka owocowe i zioła, trzeba je wrywać z korzeniami, spulchniać glebę i podlewać pozostałe rośliny... Potrzebna jest każda para rąk. Witam maj wraz ze wszystkimi przy grządkach. Pierwszego dnia pełniłmy, drugiego podlewaliśmy, trzeciego spulchnialiśmy miękką podlewaniem skorupę ziemi. Przeżyłem te dni jak we śnie. Ręce automatycznie wykonywały wszystkie czynności, a myśli...

Posłać człowieka na próbę, tylko po to, żeby móc bez przeszkód poszperać w czyimś namiocie? Czy to nie za wiele?

„Srebrne ziele” wzywa mnie i przyciąga... Lecz przez pierwsze dwa wieczory wracałem z pracy przy grządkach tak zmęczony, że od razu się kładłem i zasypiałem kamiennym snem.

- Co się z tobą dzieje, Błażeju? - spytał Sergiusz trzeciego wieczoru.

Wydaje mi się, że na tyle już przyzwyczałem się do zmęczenia, że mogę znowu spróbować... Siedzę, wpatrzony tępo w blat stołu i zastanawiam się: zaryzykować czy nie.

- Ani razu się dzisiaj nie uśmiechnąłeś, ani nie spojrzełeś w niebo. A niebo było dzisiaj

wspaniale!

- Myślałem - odpowiadam krótko.

- O czym?

Biorę do ręki „srebrne ziele” i opowiadam Sergiuszowi wszystko, czego się dowiedziałem. A także o tym, że prace ogrodowe oderwały mnie od dochodzenia bardzo nie w porę.

- A może przygotowali tylko taki sprawdzian dla Gustawa? - sugeruje z namysłem Sergiusz.

Sprawdzian?

- Nie - odpowiadam. - Trudno mi to wyjaśnić racjonalnie, ale jestem pewien, że wszystko to było serio. Dla Wasi ważniejsza była sprawa niż zgoda Gustawa... I te słowa „postaramy się uwolnić”, to nie było straszenie, lecz niemal przeprosiny! Wasi naprawdę nie podobało się, że wystawia Gustawa na takie ryzyko... Chociaż może było w tym trochę gry: zgodzi się czy nie. W gruncie rzeczy sam był w rozterce. Jutro znowu pracujemy w ogrodzie, Sergiuszu?

- Znowu - potwierdza. - Pojutrze także, cały maj i całe lato.

- W takim razie... Może spróbuję teraz? Szybciotko?

- „Teraz”? „Szybciotko”? Czyś ty oszalał? Cały dzień harowałeś, a jutro znowu weźmiesz łopatę do ręki. Czyżbyś miał niespożyte siły? Widzę przecież, że i tak masz dosyć, z ogrodu wracasz ledwie żywy! Chcesz się rozchorować?

- Zaraz „rozchorować”! Nic mi nie będzie.

- Nie bredź. Nie będą w ciebie orać całe lato, nie obawiaj się. Po prostu postanowiono dać ci trochę oddechu, którego sam sobie skąpisz. Ojcowie dobrze pamiętają o twym dochodzeniu. Przewielebny dał im szczegółowe instrukcje na twój temat przed wyjazdem. Im, a także mnie i bratu bibliotekarzowi... Więc nie bredź, zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. Wybacz, Sergiuszu.

- Nie ma czego - odpowiada cicho. - Mnie też to ciekawi, przyjacielu... Jeszcze parę dni i starczy tej ogrodowej laby. Spij, Błażeju.

Poddaję się z westchnieniem.

Następnego ranka, ledwie bierzemy łopaty do rąk, wzywają nas do kaplicy.

W kaplicy czekają na nas święci ojcowie. Cała siódemka. Odziani są uroczyście w białe szaty. Gęsta cisza wywołuje chłód w moim sercu.

- Dzieci moje - głos świętego ojca wznosi się nad głowami, wywołując ledwie słyszalne echo pod alabastrowym sklepieniem - młody król postanowił zaszczycić nasz

klasztor wizytą. Wizytą - zdaje mi się, że krótką pauzę wypełnia triumfalny uśmiech - i prośbą. Król Ludwik wie o twoim darze, Błażeju. Wczoraj przybyło do Korwarenu poselstwo Wielkiego Księstwa Izasławskiego z darami i propozycją sojuszu. Jednak nasz władca obawia się, że ten sojusz nie przyniesie nam tego, o czym zapewniają posłowie. Pomożesz królowi wybadać tajne zamysły księcia Izasławskiego. Ty zaś, bracie Sergiuszu, dopilnujesz, żeby nie przemęczyli zbyt Błażeja. I pamiętajcie obaj: królewska prośba, zwłaszcza w tak delikatnej sprawie, to wielki honor, dlatego powinna być dla was rozkazem. Idźcie, dzieci, dworska karetka czeka u bramy. Błogosławię was w imię Boże i Świętego Kościoła.

- Mógłbym wziąć ze sobą „srebrne ziele” - rzucam, kiedy idziemy z Sergiuszem przez pusty dziedziniec do bramy.

- Nie ma potrzeby - odpowiada z niezwykłą dlań powagą. - Obawiam się, Błażeju, że w gościnie u króla będziesz miał dosyć zajęć.

#### **4. POSELSTWO KSIĘCIA GORDIUSZA**

Królewski kapitan wita nas przy głównym wejściu i prowadzi do naszej komnatki. Idziemy wąskimi korytarzykami, kręconymi schodami... Nie sądziłem, że w pałacu królewskim są takie zakamarki!

- Król nie życzy sobie, żeby was ktoś widział - oznajmia kapitan, dostrzegając moje zdziwienie. - Przyjdzie do was później. Na stole leżą podarki od księcia Gordiusza.

- Księcia Gordiusza? - powtarzam w rozterce.

- Wielkiego księcia Izasławskiego - wyjaśnia oficer.

- Kolejny Gordiusz - mruczę.

Sergiusz podchodzi do stołu.

- Nie tak wiele tych darów! Ale za to cenne!

- Dobrze to ująłeś, świątobliwy braciszku - stwierdza z uśmiechem kapitan. - Książę przysłał naprawdę wyjątkowo cenne, wartościowe dary, o ile nie kryje się w nich jakiś podstęp. Domyślam się, że to sprawdzicie?

Patrzę niepewnie na Sergiusza. Czy wolno nam rozmawiać o tym z oficerem? Król sam powinien... Kapitan się uśmiecha.

- Wiem tyle, ile powinienem, święci bracia! Rozgośćcie się tutaj, tylko nie wychodźcie bez potrzeby. Wieczereż wam przyniosą. Zostawię przy drzwiach pacholka, w razie czego przekazujecie mu swoje życzenia.

- Niech Światłość Boża ci towarzyszy - błogosławi Sergiusz kapitana. - Jak sądzę, poseł przebywa w drugim skrzydle pałacu?



- Oczywiście - potwierdza oficer. - Ma jednak w świecie jednego bardzo bystrego chłopaka. Nie zdążyli się jeszcze rozlokować, a on już zaczął umizgiwać się do dworskich dziewczek. Więc uważajcie.

- Dobrze - potakuje Sergiusz.

Kapitan oddala się, ja zaś podchodzę do stołu.

Niewiele tego. Wielki miecz w szkarłatnej pochwie, zdobionej srebrem i niepozorna drewniana szkatułka, to wszystko.

Takie są dary Wielkiego Księstwa Izasławskiego.

Otwieram szkatułkę. Och! Uruchamia się mechanizm i rozkłada ją na dwie szufladki, podzielone na czworo. W każdej przegródce spoczywają na miękkim, żółtawym papierze... amulety?

Srebrna podkówka na czarno-białej tasiemce. Taka sama na srebrnym łańcuszku. Maleńka drewniana sowa na zwykłej czarnej nitce. Bransoletka z różnokolorowych paciorków. Płaska, przezroczysta, lekko przydymiona, chyba szklana figurka. Ostrożnie kładę ją sobie na dłoni. Wygląda jak kot sprężony do skoku.

- Oho! - Sergiusz pochyla się i przygląda z bliska figurce. Potem bierze ze szkatułki kawałek papieru, rozwija go i mruczy: - Tak myślałem.

- Co?

- Odłóż na razie na miejsce... tylko ostrożnie! Tutaj masz wszystko napisane.

Ostrożnie odkładam amulet.

- „Szary Kot - czyta Sergiusz. - Zakłęcie owo mało kto potrafi przygotować, dlatego też jest rzadkie i bardzo cenne. Trzeba dodać, że długo się nad nim pracuje, a do tego można użyć go tylko raz, co podnosi jego wyjątkowość. Jeśli pragniesz zakłęcie to wykorzystasz, rozbij amulet i przyjmij czar na siebie. Staniesz się szybki i zwinny jak kot, prawie niedostrzegalny, jak szary kot w nocnej ciemności. Czas trwania zakłęcia bywa różny, lecz rzadko krótszy niż słoneczna dłoń”.

- Jaka „słoneczna dłoń”? - pytam.

- Dopóki słońce nie zniży się ku dłoniom - wyjaśnia Sergiusz. - Rozumiesz, co to jest? „Szary Kot”!

- Daj mi to. - Odbieram od Sergiusza karteczkę z opisem i przymykam oczy...

Piszący owe słowa martwił się tylko tym, żeby nie zrobić kleksa...

Ten zaś, który wkładał obie rzeczy do szkatułki, uważał, żeby nie stłuc przypadkowo szklanej figurki.

Kładę zatem obie dłonie na wszystkich amuletach...

- Długo jeszcze będzie przy tym marudził?  
- Wszystko gotowe, mistrzu! - Chłopczyk raz jeszcze sprawdza, czy dobrze ułożył amulety i zamyka szkatułkę.  
- Osiem moich najlepszych uroków... - Zaklinacz pociera zmęczone skronie. - Dwa miesiące pracy, dwa miesiące mojego życia!  
- Zdążyłeś, mistrzu! - Chłopiec spogląda na nauczyciela z psim oddaniem. - Poselstwo wyrusza jutro. Możesz teraz odpocząć.  
- Teraz powrócimy do normalnej nauki - mruczy czarodziej. - Nie wiem, czego się księżę spodziewa po tym poselstwie, lecz pytał o ciebie.  
- Księżę o mnie pytał?!  
- Niegłupi ten nasz władca - mamrocze czarnoksiężnik. - Dobrze wie, że sam jeden wiele nie zdziałam. Kazał mi wziąć jeszcze jednego ucznia. Jakby mało mi było jednego matolka...

Kiedy otwieram oczy, na stole znajduje się półmisek z wieczerzą, a za stołem siedzi na taborecie monarcha.

- Widzę, że już zacząłeś pracę, Błazeju. - Król wyjmując z moich dłoni szkatułkę. - Amulety na specjalne okazje, robota najlepszego w księstwie czarownika. Rzeczywiście, cenny dar. Nikt jeszcze nie domagał się z nami sojuszu tak uparcie. Sergiuszu, jesteś Bożym sługą, przepelnionym Jego Światłością. Powiedz, co mam czynić, skoro sojusz wydaje się korzystny, lecz coś się we mnie wzdraga?

- Słuchaj swego serca, mój królu - odpowiada z przekonaniem Sergiusz. - Tak właśnie przemawia do nas Bóg.

- Księżę zaklinacz pracował dwa miesiące - przypominam. - Powiedział też swemu uczniowi, że księżę czegoś się po tej wizycie spodziewa...

- Inaczej, po co by posłów słał - burczy Sergiusz.

- Sojusz handlowy i wojskowy... - Król Ludwik wzrusza ramionami. Wstaje i rzuca jakby mimochodem: - Obiecałem dać odpowiedź jutro wieczorem.

Wychodzi.

- Mamy tylko jeden dzień! - Sergiusz spogląda wzburzony za królem.

- Popracuję jeszcze nad tym po wieczerzy.

- Nie powinienes - gdera brat. - Ale cóż począć...

Milcząc, zabieram się do jedzenia. Rozumiem, że to bardzo ważne dowiedzieć się, czego chce od naszego króla księżę Gordiusz. Być może skierował mnie tutaj palec Boży.

Wolałbym wszakże wrócić do Gustawa... Do dawno zapomnianej historii, która może dlatego nie wydaje się taka brudna. Chociaż, co ja gadam! Brud jest wieczny...

## 5. GORDIUSZ, WIELKI KSIĄŻĘ IZASŁAWSKI

Książę Gordiusz przesuwa w zadumie końcami palców po bogato zdobionej pochwie i spogląda pytająco na płatnerza.

- Zrobiłem wszystko, jak kazałeś, mój panie. - Rzemieślnik kłania się czołobitnie. - Forma starego rycerskiego miecza, pochwa zdobna, klinga bojowa. Stal hartowałem według starej receptury płatnerzy z Diartali... Dziadek mi ją przekazał.

Książę zaciska prawicę na rękojeści, miecz wyskakuje z pochwy, a wtedy przez myśli Gordiusza przebiegają fale wściekłego triumfu.

- Pięknie rwie się do boju - ocenia. - Jakby miał duszę łaknącą krwi.

- Tak właśnie jest, panie! - Płatnerz kiwa głową. - To pradawna magia. Miecz będzie rwać się do walki i upajać krwią. Powiedzie za sobą właściciela... a raczej swego niewolnika.

Książę chowa miecz do pochwy z wyraźnym wysiłkiem. Ręce mu drżą widocznie.

- Niebezpieczna broń...

Gordiusz uśmiecha się krzywo, majster zaś szybko odpowiada:

- Dlatego nigdy dotąd nie wykonywałem takich kling i w przyszłości nie będę bez twego wyraźnego rozkazu, mój panie. Muszę powiedzieć jeszcze jedno. Dusza tego oręża zaklęta jest w jego imieniu. Kto je pozna, będzie nim władać.

- Jakie jest jego imię? - Książę odkłada broń na stół, lecz nie odrywa dłoni. Miecz grzeje palce, miecz pragnie krwi. - Ciekawe, jakie wymyśliłeś.

- Nie wymyśliłem go, panie! - Płatnerz kręci głową. - To pradawna magia. Charakteru miecza ani jego imienia nie można poznać, dopóki nie powstanie. Imię wykuwa się wraz z klingą, mistrz zaś nie nadaje go, tylko odgaduje. Ten miecz zwie się Upojny.

- Upojny - powtarza książę i rozwiera palce zaciśnięte na rękojeści. - Zrób dla mnie drugi taki. Szkoda mi go oddawać.

- Nowy miecz nie będzie kopią tego - uprzedza majster, jakby się tłumacząc.

- Rozumiem - uśmiecha się Gordiusz. - Niech będzie inny, to może być nawet ciekawe, byleby nie był tchórzem.

Płatnerz kłania się.

- Zrobione, mój panie.

- Weź to! - Ciężki, brzęczący worek wędruje do ręki rzemieślnika. - Jestem ci wdzięczny za ten miecz, godny naszego poselstwa. Możesz odejść.

Odprowadza wzrokiem odchodzącego płatnerza i cicho dodaje:

- Godny, tak... lecz Ludwik nie powinien poznać twego prawdziwego imienia. Mam nadzieję, że go oczarujesz, Upojny! - Księżę uśmiecha się chytrze. - Ludwik weźmie udział w naszym konflikcie z Grzegorzem... a wtedy zobaczymy!

## **6. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Trzeba powiedzieć królowi! Ta jedna myśl wypełnia moją głowę, kiedy odrywam dłonie od miecza. Zaczarowany oręż, подарowany naszemu królowi, by wciągnąć go w wojnę...

- Trzeba powiedzieć królowi - szepczę.

- O czym? - pyta Sergiusz.

- Ten miecz... upaja się krwią!

Sergiusz powstrzymuje mnie prostym pytaniem:

- Czy poseł o tym wie?

Że też sam o tym nie pomyślałem! Znowu dotykam broni.

- Zaczekaj! - mówi spochmurniały brat. - Nie wystarczy ci na dzisiaj, Błażeju? Pewnie jesteś zmęczony? Masz jeszcze cały dzień.

- Nieważne i tak nie byłbym teraz w stanie robić niczego innego - przyznaję się. - Przewielebny słusznie mówił o mej ciekawości...

- Zgadza się - potwierdza Sergiusz. - No cóż... ta sprawa jest ważniejsza niż stare legendy.

Przymykam oczy. Skupiam się na człowieku wiozącym dary dla króla Ludwika... Człowieku, który powinien wiedzieć, czego chce jego pan.

## **7. POSEŁ WIELKIEGO KSIĘSTWA IZASŁAWSKIEGO**

- Nie pojmuję naszego księcia. - Sekretarz posła spogląda z ukosa na przytroczony do siodła zwój z darami. - Co nam przyjdzie z tego układu, skoro młody władca Półwyspu przysiągł nie wtrącać się do cudzych wojen? Neutralność - wymawia to słowo dokładnie sylaba po sylabie, z wyraźnym trudem.

- Księżę ma nadzieję, że ta wojna przestanie być obojętna królowi - odpowiada poseł, wruszając ramionami. - Kopalnie rudy i spory kawał północnego wybrzeża! Przyznasz, że to niezły argument.

- Może i niezły - powiada sekretarz.

- Jednakże wątpię, czy sprawi, że król złamie przysięgę koronacyjną? - kończy za niego poseł. - Wcześniej sam tak rozumowałem. Musimy jednak zrobić wszystko, co w naszej mocy...

## **8. LUDWIK, KRÓL TARGALI**

Władca nie wchodzi, lecz wpada do komnaty.

- Co się dzieje? Coś mnie tutaj przygnało!

- Błazej coś odkrył - informuje Sergiusz.

Opowiadam o mieczu, planach księcia Gordiusza, powtarzam rozmowę posła z sekretarzem... płaczę się przy tym, przeskakując z tematu na temat, wreszcie Sergiusz przywołuje mnie do porządku, każąc zacząć od początku. Za drugim razem udaje mi się opowiadać prawie spokojnie.

- Ot co - stwierdza król, wysłuchawszy mnie do końca. - No dobrze!

Podchodzi do miecza i stoi w milczeniu około minuty, spoglądając ni to na zdobną pochwę, ni to na noc za oknem. Zamieram. Ciarki chodzą mi po plecach. Co teraz będzie.

Krół Ludwik zaciska dłoń na rękojeści. Niepostrzeżenie prędko obnażony miecz pojawia się w jego dłoni, błyskając niebieskawymi iskierkami na ostrzu klingi.

- Jesteś dobrym mieczem, Upojny - powiada władca gromko, wyraźnie i uroczyście. - Tymczasem jednak będziesz spoczywał w pochwie. Nie mam zamiaru wojować...

Niebieskawe skry gasną. Klinga wraca do pochwy z głuchym, pełnym rozczarowania szmerem. Władca wzdycha głęboko. Powiada, nie pozwalając sobie nawet na sekundę oddechu:

- Jestem ci bardzo wdzięczny, Błazeju. Uratowałeś nas przed niepotrzebną wojną. - Książę uśmiecha się pogardliwie. - Kopalnie rudy i północne wybrzeże! Uważają mnie za kompletnego głupca?! Pierwsze, co uczynię, to pošlę gońca do Grzegorza.

- Kto to taki? - pytam szeptem Sergiusza.

Krół jednak usłyszał i odpowiada:

- Władca Dwunastu Ziem. Także proponował mi sojusz. - Uśmiecha się okrutnie, a w jego głosie znów słyszę ogień i stal. - Teraz, gdy dowiedziałem się więcej, możemy powrócić do tamtych negocjacji. Jestem gotów się założyć, że będziemy mieli własny port na ich północnym wybrzeżu!

Monarcha zamyśla się, przymyka stalowe oczy, ja zaś zastanawiam się, jak straszny byłby z Upojnym w dłoniach.

- Wiem, że nowicjusz nie może przyjąć nagrody - powiada. - Wynagrodzę zatem

klasztor. Będę jednak pamiętał tego, kto na nią zasłużył.

# NOC GUSTAWA

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

No nareszcie - mruczę, wzdychając. W celi panuje półmrok, jest cicho i spokojnie, a na stole czekają: „srebrne ziele”, broszka Julii, amulet króla Waleriana i nóż gnomów od Sergiusza. Żadnych intryg, oprócz tych dawno zapomnianych...

- Nawet odrobinę nie jesteś z siebie dumny? - pyta Sergiusz. - Wdzięczność królewska to nie byle co.

- Trochę jestem - przyznaję. - Zaczarowany król to też nie byle co. Tu jest jednak spokojniej.

- To fakt. - Sergiusz pada na swoją pryczę. - Odpocznij, Błażeju. Wczoraj się przemęczyłeś i dlatego...

- A jutro znowu ogródek? - wyłośliwiam się.

- Obejdzie się - paruje Sergiusz. - Masz ważniejszą pracę.

- Nareszcie - stwierdzam z ulgą.

Sergiusz nie zauważa, kiedy „srebrne ziele” trafia do mojej dłoni. Prawdę mówiąc, nawet ja tego nie zauważam...

## **2. WAŚKA, KAPITAN TAJNEJ SŁUŻBY**

### **KRÓLA ANDRZEJA**

Wasia wtacza się z pijacką swobodą, wcześniej rugając kogoś na korytarzu i trzaskając drzwiami. Po czym momentalnie trzeźwieje.

- Już czas - oznajmia prawie szeptem. - Pożegnałeś się?

- Tak - równie cicho odpowiada Gustaw. - Jestem gotów.

- Oddaj mi tymczasem przepustkę.

Gustaw wydobywa spod koszuli srebrny medalik i podaje go na dłoni.

- Weź.

- Ale, Wasia... - Julia podchodzi do nich prędko.

- Ani słowa - przerywa jej. - Wszystko rozumiem, przysięgam, Julciu. Wiem, że

zawiniłem wobec was. Ale mężczyzna nie może wiecznie siedzieć przy żonie.

- Tylko się chciałam dowiedzieć...

- Lepiej nie wiedzieć - odpowiada energicznym szeptem. - I błagam, nikomu ani słowa. Twój mąż spędzi czas z kapitanem Siergiejem albo z ojcem Laurentym lub...

- Tak, rozumiem - poddaje się kobieta. - Ale czy nie powinnam...

- Julciu...

- Tak, Gustawie - pochlipuje jego żona. Przytula się na chwilkę do męża, potem odsuwa, jakby milcząco godziła się z jego wolą.

Gustaw gładzi jej policzek, po czym wychodzi szybko z Wasią.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Całkiem zwariowałaś. - Sergiusz patrzy na mnie z prawdziwą złością. - Niech cię porwie Nieczysty! Co ci mówiono?

- Ja tylko trochę...

- Trochę! Pamiętasz, jak musieliśmy cię cucić?

- Ależ ja dobrze się czuję. Prawie nie jestem zmęczony!

- Gadaj zdrow! - Wyrywa z mej dłoni srebrny sznurek, rzuca go na stół i powiada: - Zrozum, Błażeju, nie ma się co spieszyć. Pogarszasz tylko swoje zdrowie!

- Dobrze - odpowiadam z westchnieniem. - Więcej nie będę. Wybacz, Sergiuszu. Naprawdę się nie zmęczyłem.

Tylko macha ręką, mruczając coś pod nosem. Nadchodzi pora, by udać się do jadalni, a ja obawiam się, że na serio się na mnie gniewa. Obiad jednak poprawia mu nastrój i widząc moje błagalne spojrzenie, oświadcza:

- I co mam z tobą zrobić, przyjacielu! Posiedźmy jakiś czas w ogrodzie na słoneczku, a potem...

Stara się siedzieć na słońcu jak najdłużej. W ogrodzie panuje upajająca cisza. Na gałęziach wiśni wśród świeżej zieleni liści rozwijają się kolejne pąki... Nie chce się stąd iść, konstatuje w myśli. Nie wiadomo, kiedy jeszcze będziemy mogli posiedzieć tak spokojnie w ożywczych promieniach słońca.

Kiedy wracam w półmrok celi, nie od razu sięgam po „srebrne ziele”. Najpierw dziękuję Sergiuszowi, że zdołał wyciągnąć mnie z mroków Trudnych Czasów na wiosenne kwitnienie. Dziękuję też Panu za wiosnę na tym świecie.



#### 4. GUSTAW, WASAL KRÓLA ANDRZEJA

Płonie ognisko, w kociołku kipi polewka, a wokół siedzą ludzie, wśród których Gustaw czuje się swojsko. Niektórych z nich spotkał po drodze do Dwunastu Ziem, innych poznał tydzień temu, gdy wyjechali ze Sławesztu na południe. Normalne chłopaki, nie gorsze od tych, z jakimi rozstał się w Korwarenie. Z małą poprawką na inne zwyczaje, do których już zdążył przywyknąć. Gorzej mu tutaj niż tam? Raczej lepiej, chociaż sam nie rozumie do końca, dlaczego. Może powodem jest prostota obyczajów, dobrze wpływająca na wojskową dyscyplinę, a może szczerość i życzliwe traktowanie? A może niezwykła ciekawość życia, jakiej nie odczuwał w domu ani w Korwarenie? Co tu dużo gadać, choćby dlatego, że jest tutaj razem z Julią, że ręce odzyskały sprawność, że Siergiej i Waśka nie pozwalają mu się nudzić... Życie nabrało sensu, jak słusznie mówił król Andrzej. Byłego gwardzistę Henryka Okrutnego przepełnia gorąca wdzięczność dla nowego suwerena.

Wasia wyłania się z ciemności i siada obok niego.

- Jeszcze raz, Gustawie. Ostatnie szczegóły. Jest pełnia księżycy i czarownik nocuje za ogrodzeniem obozu pod gołym niebem. Stworzył wokół siebie ochronny krąg z księżycowego światła. Sam zobaczysz. Będzie świecić słabo, ale go nie ominiesz. - Wyciąga nóż i rysuje na ziemi blisko ognia prowizoryczny szkic. - Oto droga do obozu, przy której jest opustoszała zagroda. Zaczekamy tam aż nadejdzie noc, lecz ty zwinięsz się wcześniej. O tutaj... - Ostrzem noża kreśli falistą linię w poprzek drogi. - W tym miejscu znajduje się dolinka. Przechcesz w niej do wieczora, a potem... popatrz, tutaj dolinka zamienia się w wąwóz, którym płynie strumień. Nie idź tam, bo możesz natknąć się na ludzi Gordiusza. Wyjdiesz wcześniej na górę w tym punkcie... - Czubek noża kreśli krótką linię od dolinki do obozu i zakreśla okrąg, oznaczający legowisko czarodzieja.

Pozostawiając nóż na ziemi, wyciąga coś z kieszeni.

- Otwieracz bramy.

- Co to takiego?

- Zwykły talizman. - Waśka podsuwa Gustawowi pod nos zwinięty w kłębek pstrokaty sznurek. - Pochyl głowę, zawiążę ci go. Włosy z grzyw trzech klaczy: siwej, gniadej i karej. Sporo ludzi go nosi, zwłaszcza w podróży. Nic w nim niezwykłego.

- A tak naprawdę?

- Bystry jesteś - chwali Wasia. - Nie ma ci ułatwić podróży, lecz zawarto w nim silne zaklęcie umożliwiające przekroczenie czarodziejskiego kręgu. Daje też odporność na obce zaklęcia i większą zdolność przetrwania. Jeszcze jeden... - Znow sięga do kieszeni i podaje

podwładnemu srebrny łańcuszek z malutką srebrną podkówką. - To też sobie zawieś na szyi. Efektowna tandeta dla odwrócenia uwagi. Na pewno ci to odbiorą, ale mogą nie zauważyć sznurka.

- Niezła tandeta... - Gustaw obraca podkówkę w palcach i kładzie sobie na dłoni, pozwalając łańcuszkowi opaść srebrną strużką przy wisioru. - Chcesz powiedzieć, że kiedy będę ją miał, nikt nie zwróci uwagi na sznurek?

- Mam nadzieję - wzdycha Waśka. - Załóż ją i spójrz. Nie jest tak zupełnie bezużyteczna. „Sowie oko” przyda ci się po drodze.

Gustaw w milczeniu zawiesza łańcuszek, chowając wisior pod koszulą. Po chwili gwizdże z podziwem. Noc nie stała się dlań jaśniejsza, ale jakimś sposobem zaczął widzieć wszystko z zadziwiającą, nieprawdopodobną wręcz dokładnością. Widzi każdą sprzączkę na leżącej opodal końskiej uprzęży, każdy listek na otaczających ich krzewach...

- Niezła tandeta - powtarza innym tonem.

- A teraz najważniejsze! - Wasia wręcza mężczyźnie maleńki, łatwo mieszczący się w dłoni flakonik. - Wypij to w ostatniej chwili. Nie czekaj, aż cię schwytają. Ale też nie czyń tego za wcześnie, bo przestanie działać w najmniej odpowiednim momencie.

- Co to jest?

- Nadzieja ocalenia - mruczy Wasia. - Może nawet jedyna...

Gustaw wzrusza ramionami i chowa flaszeczkę do sakiewki. Skoro dowódca nie chce mówić, widocznie ma powody. Co za różnica, trzeba zresztą zapytać o coś innego. O wiele ważniejszego...

- Opowiedz mi o księciu.

- Książę Gordiusz... - Wasia patrzy na Gustawa z lekkim powątpiewaniem. Demonstracyjnie wciąga nozdrzami dym zalatujący od ogniska. - To temat na bardzo długą rozmowę. Mamy gotowy posiłek, a w dodatku powinieneś się wyspać. Czego się chcesz dowiedzieć?

- Co go złości, a co raduje - odpowiada powoli mężczyzna. - Skoro mam go zająć i sprawić, żeby nie powierzał przesłuchania swoim oficerom, a sam nie poszedł spać. Muszę go zaciekawić...

Zacina się. Wasia zgrzyta zębami i odpowiada:

- Dobra, rozumiem. Powiem ci po jedzeniu, żebyś nie stracił apetytu. Teraz mam do ciebie tylko jedną prośbę: nie grzeb się tam, dobrze? Jeszcze się nam przydasz żywy.

Gustaw uśmiecha się krzywo i mruczy:

- Postaram się.

## **5. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło: wydobywam się na krótką chwilę z mroków niebytu i cudzego życia i zaraz powracam tam znowu. „Srebrne ziele” nie chce mnie wypuścić. Boję się. Sam już nie wiem, czy to strach tonącego w wizji nowicjusza Błażeja, czy Gustawa, zmuszonego pierwszy raz w życiu zabić czarownika, na dodatek gołymi rękami...

## **6. GUSTAW, WASAL KRÓLA ANDRZEJA**

Zabójstwo gołymi rękami okazuje się wcale nie trudniejsze niż dokonane szpadą lub sztyletem. Jest jednak o wiele bardziej wstrętne. Dobrze, że nie ma czasu przejmować się osobistymi odczuciami. Ledwie czarownik wyzionął ducha, jedna z naszywek na jego kaftanie wybucha rojem oślepiających iskier. Gustaw mimowolnie zasłania się dłonią, kiedy niczym złe osy skry atakują jego twarz. Zdażył jeszcze pomyśleć: niepotrzebnie! W tej samej chwili uruchamia się jego ochronne zaklęcie. Teraz na pewno zbudzi się cały obóz, myśli młodzieniec, widząc jak iskry odbijają się od niewidzialnej tarczy i atakują znowu. Teraz trzeba... Wydobywa flakonik, wyciąga gruby korek, wychyla zawartość... Pałace, lepkie paskudztwo spływa do żołądka kulą śluzu. Gustaw z trudem chwyta świeże nocne powietrze i przesyła w myślach gorące pozdrowienie dla Wasi. Mógł go uprzedzić! Nadbiega czterech, nie, pięciu zaalarmowanych wartowników. Najwyższa pora zatroszczyć się o siebie. Mężczyzna odskakuje od trupa i biegnie, oglądając się co jakiś czas. Iskry zostają z tyłu, wisząc migoczącą chmurką. Pięciu ścigających, nawet nie zadając sobie trudu, by sprawdzić, co się stało z czarodziejem, ściga Gustawa, rozwijając półkole. Doskonale mnie widzą, orientuje się ścigany. Na pewno wschodni czarownicy tworzą podobne amulety, jak jego podkówka z „sowim okiem”. To oczywiste, że mają je nocni strażnicy. Mimo to biegną pod górę, myśli z bezsensowną uciechą. W następnej chwili pierzcha triumfalny nastrój.

Pierwszego wartownika, który go dogonił, rozbiera i zbija z nóg. Chwilę potem dopadają go pozostali czterej, obezwładniają i mimo oporu, obalają na ziemię, wykręcając ręce za plecy... Pomiędzy nimi mogą być także ludzie Wasi, myśli Gustaw, w końcu wszyscy służą królowi. To swoi...

Obchodzą się bez wstępnego mordobicia, a nawet rewizji. Stawiają go na nogi i trącają w plecy: „Biegnij!”. Biegnie więc przez obóz, szturchany od czasu do czasu, pomiędzy wartownikami, ogniskami i odpoczywającymi żołnierzami... prosto do namiotu ozdobionego herbem księcia Gordiusza.

Ten już wie o śmierci czarodzieja. Wychodzi naprzeciwko jeńca i pyta ochryple, groźnym tonem:

- Obszukaliście go? Znaleźliście gdzieś konia albo współników?

- Szukają - odpowiada krótko żołnierz zza pleców Gustawa. - Sierżant rozkazał go zaprowadzić jak najszybciej do waszej wysokości, nie kazał obszukiwać.

- Zróbcie to - chrypi ksiązę.

Nie zwracając uwagi na obmacujące go dłonie, Gustaw przygląda się człowiekowi, od którego zależy sukces niemądrego (teraz widzi jak bardzo!) pomysłu Wasi. Masywna, ciężkawa sylwetka, nalane oblicze, przyozdobione szarpaną blizną, wyjątkowo dobrze pasują do ochryplego, groźnego głosu. Ksiązę jest chyba bardziej okrutny od króla Henryka, lecz jak się zdaje, lepszy z niego wojownik i wódz. Żołnierze powinni się go bać i zarazem ubóstwiać... Tak zresztą dokładnie jest, mówił mu o tym Waśka. Wspominając go, Gustaw zaczyna rozumieć, dlaczego kapitan Tajnej Służby kazał mu ryzykować życiem. Właściwie od początku mu zaufał, teraz zrozumiał do końca. Nie rozumem ani sercem. Wszystko mówią mu ciarki na plecach. Ten ksiązę zbyt jest potężny, by król mógł dłużej znosić jego nieposłuszeństwo.

- Nie ma broni - melduje rewidujący go żołnierz. - Pieniądze... - Odczepia od pasa mieszek, wysypuje na dłoń zawartość. - Parę miedziaków, w sam raz na wizytę w tawernie. Amulety... - Sięga mu pod koszulę i wydobywa spod niej wisiorki. - Sznurek na szczęście. Ale tutaj, panie, jest coś interesującego.

- Zdejmij - rozkazuje ksiązę.

Żołnierz zdejmuje jeńcowi łańcuszek z podkówką i pokazuje go księciu.

Gustaw mruga gwałtownie. Wokół niego gęstnieje ciemność, rozproszona jedynie bladym poblaskiem ognia. Jaka szkoda!

- Ma coś jeszcze na ręce - oznajmia żołnierz. - Też sznurek, ale takiego jeszcze nie widziałem.

„Srebrne ziele”, podarunek od Julii... „Niech cię chroni, moja miłości!”

- Co tak wolno?

- Węzeł jest bardzo trudny... aha, już wiem... jest! O żeż ty... Niezła sprawa.

Ksiązę rzuca niedbale oba amulety na niski stół. Spogląda prosto w oczy jeńca i pyta:

- Chcesz sam wszystko powiedzieć?

- Wszystko? - z mimowolnym zdziwieniem powtarza za nim Gustaw. - Zmiłuj się, wasza wysokość, jam nie uczony opat, żeby wszystko wiedzieć. Ze mnie człek prosty,

mądrością nieoświecony...

Cios księcia jest nagły i miazdzący. Podtrzymują Gustawa stojący za nim żołnierze i stawiają z powrotem na nogi. Z rozbitego nosa cieknie krew. Dobrze, że nie złamany... a może jednak? W każdym razie boli...

- Wszystko o sobie - uściśla księżę.

- Opowieść o moim życiu może być długa i smętna... - Gustaw pociąga nosem i usiłuje otrzeć go ramieniem. - Nie ma w niej niczego ciekawego.

- Chcę wiedzieć, kto cię tu przysłał i dlaczego - uściśla jeszcze bardziej księżę pozornie spokojnym głosem.

- Trzeba było tak od razu mówić, dobry panie! - Gustaw próbuje udawać głupka, lecz prześmiewcza nuta w jego głosie jest słyszalna dla księcia. Inaczej, skąd by się wziął kolejny cios? Gustaw potrząsa głową... Jesteś, chłopie, w niewoli, będą cię torturować, co w tym zabawnego? No cóż, sam postanowiłeś prowokować tego arystokratę pod wpływem opowieści Wasi. Myśli wyjątkowo jasno... i wszystko wydaje się łatwe. Na pewno wpływ tego świństwa z małego flakonika, zauważa trzeźwo. Też mi „jedyna nadzieja ocalenia"! Wystawili cię, człowieku, napojonego jakimś paskudztwem. Aha, pojawia się szybko kolejna myśl, też raczej trzeźwa, lecz rozpacзлиwa: a ty sam, to co? Przede wszystkim pamiętaj o tym, że miałeś hardo milczeć! - Trzeba było tak od razu mówić, dobry panie - powtarza, już nie skrywając ironii. - Od razu bym odpowiedział, że to nie twój zaszran interes.

Księżę kiwa powoli głową.

- No dobrze. Sam wybrałeś. Zaprowadźcie tego parszywego błazna do koszar i wezwijcie oprawcę.

Wódz podchodzi do stolika, nalewa sobie wina... Gustaw nie może się powstrzymać, by nie rzucić przez ramię:

- Naprawdę, rzadko kiedy uczciwy człowiek robi coś takiego w nocy przy pełni księżyca!

Księżę wypił duszkiem i zaklął. Nalewa jeszcze. W zamyśleniu przesuwając palcami srebrny sznurek zdjęty z ręki zamachowca. Malutkie klejnoty błyszczą trawiastą zielenią. Kamyki są nie tylko kosztowne, ale i nietutejsze. Kto go tu przysłał? Kalif? Po ostatnich udanych rozmowach? Nie, to niemożliwe! Na dodatek chłopak nie miał południowego akcentu. Chociaż jest w nim coś cudzoziemskiego, trochę wygląda na obcego. W Targali mają w bród szmaragdów! Może Andrzej przywiózł stamtąd nie tylko młodą żonę? Gordiusz ścisną sznureczek w pięści. Długo coś nie było wieści od naszego agenta w stolicy! Trzeba tam było posłać zaufanego człowieka... A zresztą teraz nie czas o tym myśleć. Czeka

na niego bezczelny szczeniak, uważający, że jest wystarczająco silny, by odszczekiwać się samemu księciu Gordiuszowi. Już on go nauczy czekać! Rzuca sznurek na stół i wychodzi.

Jakiś czas potem do namiotu zakrada się dwóch ludzi. Wasia zgarnia z blatu amulety Gustawa i kiwa na towarzysza:

- Działaj, Sienia.

Ten zaś ogarnia czujnym spojrzeniem całe wnętrze, potem zbliża się do stołu. Przymyka oczy i przesuwając dłońmi po jego powierzchni. Nagle zamiera.

## **7. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Wielki chan przesyła wielkiemu księciu to, co obiecał - słyszę.

Moje oczy same się otwierają, napotykać zaniepokojone spojrzenie Sergiusza.

- Co z tobą, Błażeju? - pyta.

Potrząsam głową. Dzwoni mi w uszach, umysł mam pusty i lekki. Faktycznie, co ze mną?

Wzdycham głęboko i na siłę, wbrew buntującemu się organizmowi, przymykam znowu oczy. Tylko końcówka tego, co ujrzałem, wciąż żyje w mojej pamięci: Wasia bierze amulety ze stołu, a potem...

Wzdrygam się. Zrozumiałem, co zdarzyło się potem! Zrozumiałem, czemu przysła wizja, skąd taka pustka w głowie, dlaczego oczy nie chcą się zamykać...

- Sergiuszu - mówię ochryple - tam był... ktoś taki, jak ja! Wasia sprowadził go specjalnie, żeby przeszukał książęcy namiot. Ma taki sam dar... Niewiele brakowało, a byłby mnie zobaczył!

Sergiusz gwizdże z wrażenia.

- Muszę być ostrożniejszy - szepczę. - Lepiej się na niego więcej nie natknąć. - W owej chwili przychodzi mi do głowy coś jeszcze. - Czy to możliwe, że nie jestem jedyny?

- No cóż, jeśli nawet nie spotkaliśmy dotychczas nikogo obdarzonego identycznym jak twój darem, to wcale nie znaczy, że Bóg ograniczył się tylko do ciebie. - Wzrusza ramionami.

- Uważasz, że mogłeś rzeczywiście ujrzeć jego wizję?

- Nawet już zaczynałem... Tylko zdaje mi się, że wtedy już bym nie wrócił. Nie zdołałbym się z tego wydobyć.

- Więc rzeczywiście powinieneś być bardziej ostrożny - mówi Sergiusz, nalewając wino. - Masz, wypij. A potem wyjdziemy na świeże powietrze.

Chcę się sprzeciwić: Gustaw...

- Możemy też zajrzeć do brata bibliotekarza - sugeruje Sergiusz.
- Spryciarzu! - Uśmiecham się słabo. - Wiesz, że tego nie odmówię.
- Zaraz „spryciarzu” - odcina się. - Oszczędzam po prostu twoje siły. I tak muszę mu potem wszystko przekazywać, a tak załatwimy to od razu.

No dobrze, myślę. Teraz i tak nie dam rady... Tamto było zbyt straszne.

# POWRÓT

## 1. WAŚKA, KAPITAN TAJNEJ SŁUŻBY

### KRÓLA ANDRZEJA

Noc zbliża się do świtu. Cisza. Wasia się przycisnął i czeka.

Tak się złożyło, że wbrew swojej przyrodzonej uczciwości, z jaką traktował podwładnych, niechcący oszukał Gustawa. Po prostu Sieni, obdarzonemu darem odczytywania przeszłości, zajęło to więcej czasu niż sądzili. Teraz powinni rzucić wszystko i popędzić galopem do Slawesztu, przekazać królowi gorące wieści. Nie leży to jednak w zwyczajach Wasi.

Więc czeka. Rozpaczliwie wsłuchuje się w ciszę, złościąc się na Sienię - nie będzie czasu odpocząć. Co za pech, że nie mogą zaraz uciec ani walczyć... Konno, daj Boże, może zdołają...

Złożyło się tak, myśli z goryczą Wasia, że wysłałem porządnego chłopaka do piekła, by chwycił za ogon Nieczystego, sam zaś muszę siedzieć i czekać, czym to się skończy. Co powiem Gustawowi, jeśli ludzie się spóźnią?

Wsłuchuje się w ciszę przedświtu i wydaje mu się, że czas się zatrzymał, to znów, że biegnie zbyt szybko i nic się już nie da zrobić. Czekając dalej, aż w końcu widzi swoich ludzi wynurzających się jak bezszelestne cienie z dolinki.

Przodem idzie Szkoda, który otrzymał to przezwisko za swe dawniejsze osiągnięcia, lecz w poważnych sprawach, jak dotąd, nie skompromitował się ani razu. Teraz niesie Gustawa na plecach, idąc w pośpiechu. Sienia też mógł się tak pospieszyć, kiedy się wymykali z obozu!

- Co z nim? - pyta Wasia, podprowadzając konie.

- Śpi - odpowiada zdyszany Szkoda. - Od razu wlałem mu usypiające ziółka do gęby.

Nieźle chłopak oberwał!

Żywy, wzdycha z ulgą Waśka.

- No to spadajmy stąd!

Oddziałek rusza z miejsca galopem.

- Ścigają nas?



- Zaczną dopiero rankiem - informuje Szkoda. - Jeśli szybko dojdą do siebie, bo może im zejść i do południa. Już myśmy się o to postarali, Waśka, ho, ho!

- Prowadź oddział, Szkoda! Jedziemy do Antypycza. Pojadę w tyle. - Wasia wstrzymuje na chwilę Kruczka, przepuszczając towarzyszy.

- Do kogo? - pyta Sienia, przejeżdżając obok.

- Do Antypycza! - krzyczy dowódca. - Mieszka tutaj niedaleko staruszek zamawiacz. Galopem, Sienia!

Oddział zbacza z drogi i pędzi przez łąkę w stronę ciemniejącego w oddali ponurego lasu. Przepuściwszy innych przodem, Wasia wydobywa z torby bukłak, wyciąga zębami zatyczkę i z rozmachem chlusta wodą za zadem Kruczka. Nie zatrzymując się, spinając konia ostrogami, ogląda za siebie, widząc, jak zdeptana kopytami trawa prostuje się znowu, zacierając ich ślady.

## **2. ANTYPYCZ ZAMAWIACZ**

- Nie powinniście nigdzie jechać - powtarza gniewnie Antypycz. - I tak cudem do mnie trafiliście.

- Prawie cudem. - Wasia wzrusza ramionami, zezując na śpiącego Gustawa. Wbrew oczekiwaniom zamawiacz nie siadł przy nim, by szeptać zaklęcia nad ranami, tak jak to czyni główny królewski medyk. Antypycz po prostu zrzucił pościel ze swego legowiska, położył cienki siennik, okryty pozszywanym ze skrawków kocem i polecił: „Połóżcie tutaj chłopaka”. Potem zaś okrył wciąż nieprzytomnego rannego po ramiona równie pstrokatą kołdrą i skinął głową: „Pośpij sobie, wnusiu”.

- Dojechaliśmy do ciebie w spokoju - powtarza Waśka.

- W spokoju... Co z ciebie za głupiec, imienniku! Głupi mają szczęście, powiadają, bo Pan Bóg nad nimi czuwa. Nie pomyślałeś o tym, że książęcy czarodziej na pewno miał ucznia?

- A co może uczeń - odpiera bez przekonania kapitan, w tej samej chwili zdając sobie sprawę, że mówi głupstwa.

- Wszystko - odpowiada surowo staruszek. - I gdyby nie to, że potrzebował całej nocy, by przejąć moc swego mistrza, już byście znaleźli się w gościnie u książęcych oprawców. Mój imienniku, zdolny uczeń zdążył rankiem prześledzić wszystkie drogi, stworzyć wasze wizerunki i odkryć ślady.

- Zatarłem ślady - szepcze Wasia.

- Zatarłeś - potwierdza zamawiacz. - Przybyliście od drogi do mojego domu bez śladu i

tutaj was nie znajdzie. Jest jeszcze młody i niedoświadczony. Kiedy jednak wysuniecie znowu nos z lasu, zaraz was wywęszy i wskaże najbliższemu ksiączęmu oddziałowi. Nie ma dla was, póki co, bezpiecznej drogi. Czyżbyś nie wierzył staruszkowi, imienniku?

- Wierzę - ponuro zgadza się mężczyzna. - Tylko, że skoro Gordiusz nie znajdzie nas na żadnej drodze, może się domyślić, gdzie się ukrywamy. Czy pozostając tutaj nie narażamy ciebie?

- Masz mnie chyba za durnia, Wasylku! - Staruszek śmieje się cicho. - Wątpię, mój drogi... Dziadek Antypycz nie tylko ciebie, ale jeszcze i twoje dzieciaki rozumu nauczy!

- Wybacz, Wasylu Antypyczu - wzdycha kapitan. - Zawsze będę wdzięczny za twoją naukę.

- To ładnie - ocenia staruszek, kiwając głową. - Swoich ludzi pošlij na strych, niech sobie przygotują nocleg na sianie. Konie nakarm, żeby mi całej trawy nie wyjadły wokół domu. Wszyscy musicie odpocząć po minionej nocy.

- Dobrze. - Wasia dźwiga się ociężale, czując zmęczenie we wszystkich mięśniach. - Dziękuję, Wasylu Antypyczu.

- Wasia! - woła za nim staruszek, kiedy mężczyzna znalazł się już na dworze. - Ty także odpocznij. Zaopiekuję się twoim człowiekiem, ty zaś się prześpij tymczasem.

- Nie chcę odpoczywać - sprzeciwia się kapitan.

Staruszek mierzy gościa wyrozumiałym spojrzeniem i powiada:

- Skoro nie chcesz, to wracaj tutaj. Posiedzimy, pogawędzimy...

Gustaw porusza się, jęczy. Zamawiacz pochyla się nad nim, gładzi po głowie, kładzie dłoń na spoconym czole i mruży:

- Śpij, wnusiu, śpij...

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Jestem w stanie kontrolować swój dar i zobaczyć odpowiedniego człowieka. Mogę nie dopuścić do siebie Sieni z jego widzeniem, w którym raz już omal nie utonąłem. Mogę... Dlaczego jednak za każdym razem, gdy biorę do ręki „srebrne ziele” coś mnie zmusza, bym sobie to przypominał? Uświadamiał sobie, że amulet zrobiony przez królową Ninę jest przy Gustawie. Sienia go nawet nie dotknął... Nie dotknął, ale zobaczył! A w tej chwili jest obok Gustawa! Uspokajam siebie, że przecież teraz nie używa daru. Mogliby szybciej wrócić do stolicy! Nie sądzę, by tam często się ze sobą spotykali. Pozbędę się wówczas zawstydzającego lęku.

#### 4. GUSTAW, WASAL KRÓLA ANDRZEJA

- Dziękuję, Wasylu Antipyczu - mówi z wdzięcznością Gustaw.
  - Nie ma za co, wnuczku - odpowiada zamawiacz. - Jeśli znowu wsadzisz swą głupiutką głowę gdzie nie trzeba, jestem zawsze do usług. Młodzian śmieje się.
  - Trzymam za słowo! Ta głupia głowa pewnie wkrótce przepadnie!
  - Wypluj to słowo, na Boga! - Antipycz spogląda złym okiem na Wasię. - Sam żeś, imienniku, dureń i znalazłeś bandę podobnych sobie!
  - Daj spokój, Wasylu Antipyczu - odpiera łagodnie kapitan. - Nie wszyscy są tacy głupi.
  - Bo są i głupszi - podchwytuje staruszek.
  - Weź to. - Wasia podaje Gustawowi „srebrne ziele” i podkówkę z „okiem sowy”, ignorując zaczepkę zamawiacza.
  - Na pamiątkę? - pyta z uśmiechem młodzieniec, bawiąc się podkówką.
  - Zasłużyłeś - odpowiada kapitan z westchnieniem.
- Gustaw wzrusza ramionami.
- Na wojnie, jak na wojnie.
  - Będzie i wojna - oznajmia Waśka. - Gordiusz obiecał oddać Ordzie Wielkie Stepy za pomoc przeciwko królowi Andrzejowi.
  - Oho! - Antipycz gniewnie uderza pięścią w stół. - A to się rozpędził.
  - Kapitanie, oświeć nieuczzonego - prosi pokornie młodzieniec.
  - Proszę bardzo - odpowiada Wasia. - Czas i tak się wlecze. Widzisz, Wielkie Stepy to, jak wskazuje nazwa, ogromne terytorium. Niejeden raz toczyły się o nie walki, chociaż ostatnia wojna była czterdzieści lat temu. W zasadzie nie ma tam niczego cennego. Koczuje chyba z dziesięć rodzin nomadów uznających władzę króla Andrzeja. Nie płacą podatków, tylko daninę za prawo swobodnego poruszania się po stepie. Dalej znajduje się Księstwo Horysławskie, jedno z najsilniejszych w królestwie, dlatego nasz władca dba, by go nie stracić. Tam są najlepsze warzelnie soli, najlepsze stadniny, szkoła zaklinaczy... może nie najlepsza, ale zawsze... i tylko tam są plantacje winorośli, z których wytwarza się wino. Wprawdzie cienkusz, ale zawsze. W każdym razie, jeśli wrogowie zagrodzą nam drogę, osłabi to dotkliwie królestwo. I właśnie z takimi rewelacjami musimy ciągle tu siedzieć!... Wasylu Antipyczu, coś mi właśnie przyszło do głowy. Czy nie mógłbyś przechytryć tego parszywego ucznia czarnoksiężnika?
  - Trzy dni temu był jeszcze parszywym uczniem, teraz jest czarodziejem księcia

Gordiusza.

- I co z tego?

- A nic. - Zamawiacz wstaje i przeciąga się z trzaskiem kości. - Odpoczywajcie, dzieci.

Przygotowuję pewną sztuczkę. Wkrótce będzie gotowa.

- Jaka sztuczka? - pyta zaciekawiony kapitan.

- Bardzo dobra - uśmiecha się staruszek. - Szast-prast i jesteście w stolicy.

Wychodzi szybko, jakby chcąc uniknąć dalszych pytań.

- Szast-prast i jesteście w stolicy - powtarza Wasia. - Czyżby miał zamiar wypróbować na nas zaklęcie przenoszenia ludzi? Byłoby dobrze...

- Czy to możliwe? - pyta Gustaw. - Myślałem, że można przenosić tylko przedmioty.

- Ja także. Lecz jeśli ktoś jest zdolny wypróbować je na ludziach, to jest nim właśnie

Antypycz.

## **5. NOWOŚĆ W SZTUCE MAGICZNEJ:**

### **ZAKLĘCIE PRZENOSZENIA LUDZI**

- Gotowe. - Zamawiacz wychodzi z zakłętego kręgu i zwraca się do Wasi. - Nowość, by tak rzec, w sztuce magicznej. Zbieraj swoich ludzi, imienniku. Kiedy wjedziecie na tę polankę, zaraz znajdziecie się na końskim targu w Sławeszcie. Po nocy chyba nikogo nie stratujecie.

- Dlaczego właśnie na końskim targu? - pyta kapitan. - Może lepiej gdzieś bliżej pałacu? Jeśli wylądujemy na tyłach koszar, także na nikogo nie wpadniemy.

- Ciemna masa z ciebie, Waśka! Rozplotłem na końskim targu docelową część zaklęcia już dosyć dawno, ot tak, na wszelki wypadek. Teraz tylko dokończyłem pracę, a długo to trwało...

- Mamy więc szczęście. - Wasia uśmiecha się od ucha do ucha. - Akurat gotowi do próby. Wołaj chłopaków, Gustawie!

Zbiórka trwa kilka minut.

- Dzięki ci, Wasylu Antypyczu - mówi Wasia, przejmując od Szkody lejce Kruczka.

- Jedźcie już. - Macha ręką staruszek zamawiacz. - Bo jeszcze rozlejesz tutaj kałużę łez.

- Może lepiej poprowadzić konie za wodze?

- Rób, jak uważasz. Przede wszystkim nie zapomnij przesłać mi wiadomości. Bo będę się martwił, czy dotarliście na miejsce...

- Obiecuję. - Wasia wchodzi jako pierwszy na zaczarowaną polankę. - Od razu wyślę.

Chodźcie, chłopcy, już czas.

Gustaw idzie zaraz za Sienią. W polanie nie ma niczego osobliwego. Rumak młodzieńca, Zamięć, zwykle dosyć nerwowy, tym razem kroczy spokojnie, a nawet zaczyna szczypać trawę, gdy się zatrzymują, czekając na resztę. Niczego osobliwego... Właśnie zamykający grupę Szkoda wprowadza swego Wicherka w zakłęty krąg, a tymczasem Zamięć pochrapuje z zadowoleniem, gryząc apetyczny wiecheć trawy. Gustaw mruga. Przed nimi pojawia się ogromny, zalany światłem latarni plac, po prawej stronie, na wprost przed samym nosem, ogrodzona wysokimi żerdziami arena, po lewej czarno-szara ściana domu Głównego Kontrolera Rodowodów. Koński targ w Slaweszcie.

- Coś takiego - dziwuje się Szkoda - nawet nie zauważyłem, jak to się stało. Ech, ten Antypycz!

- Nie marudzić - przerywa Wasia. - Król czeka.

Oddziałek wyjeżdża z rynku i rusza rysią przez ulicę Widokową, mija pięć przecznic, dociera na Pałacową i prędko wjeżdża w główną bramę królewskiej rezydencji.

Do środka wchodzi Waśka, Sienia i Gustaw, pozostali udają się do koszar. Jutro zjawią się, jak gdyby nigdy nic na posterunku, a wieczorem będą opowiadać towarzyszom broni głupoty o wesołej wycieczce. Trzech przybyszów wita Siergiej.

- Zdążyli ci już zameldować? - dziwi się Wasia. - Nie doceniałem twoich ludzi.

- Wątpię - uśmiecha się porozumiewawczo Siergiej. - Wszystko w porządku?

- Nic nie jest w porządku - odpowiada ponuro kapitan. - Oprócz tego, że wszyscy jesteśmy cali i zdrowi. Załatw nam jak najszybciej rozmowę z królem bez świadków.

- Nie ma problemu - zapewnia Siergiej. - Nie pogniewa się, jeśli zbudzę go z powodu waszego powrotu.

- A królowa? - pyta niewinnie Wasia.

- Królowa ucieszy się razem z Julią. - Mężczyzna klepie po plecach Gustawa. - Cieszę się, że jesteś cały. Dobra, chodźmy. Niczego tutaj nie wystoimy.

Czwórka ludzi idzie prędko pałacowymi korytarzami, wywołując krokami głośnie echa. Kierują się mętnymi światełkami rzadkich lampek umieszczonych przy drzwiach albo na zakrętach. Wokół panuje głęboka noc.

- Po co mam iść do króla? - pyta cicho Gustaw.

- Dla towarzystwa - odpowiada żartobliwie Waśka. - Ty nasz skromnisiu...

- Król i tak chciałby cię zobaczyć - oznajmia Siergiej z przekonaniem.

- Kto idzie? - pyta ktoś cicho w mroku.

- Kapitan.

- A reszta?

- To swoi ludzie, zaręczam, Jurku - mówi kapitan.

Wartownik zjawia się w kręgu światła.

- Wierzę ci, kapitanie, ale jakże tak, w środku nocy do króla?

- Sam do niego pójde - wyjaśnia Siergiej. - Tamci zaczekają w gabinecie. Na moją odpowiedzialność.

- W porządku, kapitanie! - Wartownik usuwa się na bok. - Wchodźcie.

Gabinet króla Andrzeja wcale nie przypomina tego, w którym zasiada Henryk Groźny. Jest większy, ale skromniej urządony. Żadnych złotych rzeźb ani jedwabnych draperii czy też kosztownych waz. Nawet okno nie jest przysłonięte kotarą. Masywne, ciemne biurko i proste taborety. Przy ścianie znajduje się mały stolik, na którym leży talia mistrzowsko wyrysowanych kart. Wnętrze oświetlają ściennie kinkiety i lampa na biurku. I to wszystko.

Waśka podchodzi swobodnie do karcianego stolika i powiada, niezbyt zdziwiony, z satysfakcją:

- Potrzebna jest kolejna...

Bierze talię i rozkłada na blacie biurka.

- Patrz, Gustawie, jest tak, jak mówiłem.

- Nie znam się na kartach - odpowiada młodzian z westchnieniem. - Nikt mnie tego nie uczył.

- Tak? - dziwi się kapitan. - Więc ja cię nauczę. Nie zajmie to wiele czasu...

Drzwi otwierają się w miejscu dla Gustawa niespodziewanym: razem z oknem. Znajdują się w ścianie wychodzącej na pierwszy rzut oka prosto w niebo! Młodzieniec zezuje za zdumieniem na Siergieja, który unosi brew ironicznie: później ci to, chłopcze, wyjaśnię. Teraz trzeba pokłonić się królowi.

- Wróciliście! - Władca idzie ku nim z nieukrywaną radością. Korne powitania byłyby nie na miejscu...

- Gdyby nie Wasyl Antypycz moglibyśmy nie wrócić - oznajmia Wasia. - Mam pilne wieści, miłościwy panie.

- Siadajcie. - Władca podchodzi do biurka, spogląda z uśmiechem na karty i sam się sadowi. - Mówcie.

Gustaw słucha jednym uchem, gdyż podczas przymusowej gościny u Antypycza Waśka mu wszystko wyjaśnił. Bardzo możliwe, myśli, że w tej chwili decydują się losy królestwa. Nie mam jednak niczego ważnego do powiedzenia i nie wiem, po co siedzieć jako niemy świadek cudzego raportu, wolałbym pójść do Julii... Każdy powinien robić to, co

potrafi najlepiej. Czy powinien uczestniczyć w naradzie u króla? Zdaje mu się, że Wasia tylko dlatego go tutaj przyprowadził, żeby nie wyglądało na to, iż jedni nadstawiali karku, a nagrody zgarnie kto inny. To śmieszne. Przecież nie zrobił tego dla nagrody. Chciał się przekonać, czy jeszcze się do czegoś nadaje i udało mu się. Jeszcze jak, do licha! Żadna nagroda nie może się z tym równać...

Jednak król właśnie zwraca się z pytaniem do tego, kto ryzykował najbardziej:

- Co sądzisz o księciu Gordiuszu, Gustawie?

- Jest silny - odpowiada bez namysłu młodzieniec. - I wie, czego chce. Nawet, kiedy wydawało mi się, że na tyle wyprowadziłem go z równowagi, iż zadusi mnie własnymi rękami... Nikomu nie pozwoli zbić się z tropu.

- Tak - mówi cicho Andrzej. - To niebezpieczny wróg, chociaż tylko wasal...

## **6. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Czy to nie dziwne, że wizja urywa się tak niespodziewanie, w pół słowa? Znacznie dziwniejsze jest to, że nie padam bez sił, zobaczywszy tyle naraz. A także, że Sergiusz nie zbudził mnie wcześniej. Od razu się uspokoiłem. Trochę to, oczywiście, śmieszne, niepokoić się o ludzi, którzy umarli tak dawno, że tamte czasy stały się legendarne... A jednak stali mi się bliżsi niż niejeden współczesny nieznajomy.

- Wiesz co, Sergiuszu - wyznaję - chwilami chciałbym zobaczyć to wszystko na jawie...

- Ale przecież tak to widzisz? Jakby na jawie?

- „Jakby” - powtarzam. - To rzeczywiście dziwne. Pamiętam jak pachnie step nocą i jak wygląda światło księżycowe rozpraszające mrok. Pamiętam smak wina. Czuję, jak zamiera serce, kiedy ziemia ucieka spod kopyt pędzącego wierzchowca! A przecież nigdy jeszcze nie jeździłem konno! Żyję cudzymi egzystencjami, więc moje życie staje się takie... takie...

- Rozumiem. - Sergiusz siada obok i podaje mi kubek z wodą. - Doigraliśmy się. Napij się lepiej.

Piję, a woda kołysze się w kubku. Światłości Boża, trzęsą mi się ręce! Tego jeszcze brakowało.

- Więc jakie stało się twoje życie? - pyta zakonnik.

- Szare - oceniam. - Nijakie. Zamknięte w czterech ścianach. Bez przeszłości i przyszłości. Nie o takim życiu marzyłem.

- Ja także marzyłem o innym - mówi Sergiusz ze smutnym uśmiechem. - Tylko, wiesz co, Błażeju... przygody są piękne, gdy słuchasz pieśni minstrela w ciepłej tawernie, popijając wino po obfitej wieczerzy. Najlepiej, jeśli zdarzają się komu innemu. Bo jeśli przydarzą się tobie, prędzej nazwiesz je nieszczęściami...

Być może, odpowiadam w myślach. Tylko, że nie chodzi mi o przygody. Przykro mi, że nie mogę ujrzeć takich oczu, jakimi Julia patrzy na Gustawa...

## **7. JULIA, MAŁŻONKA GUSTAWA**

- Wrócił, wrócił!... - Julia płacze i śmieje się na przemian, nie wypuszczając z objęć ukochanego. - Wrócił żywy, mój Gustaw...

- Julio! - Gustaw z trudem uwalnia się z jej objęć. - Uspokój się, Julciu! Dlaczego nie miałbym wrócić żywy?

- Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, kochanie... Gdyby to nie było nic ważnego, tobym tak nie szalala! Przecież będziemy mieli syna, Gustawie.

- A może to będzie córka - szepcze mąż, starając się zapanować nad przepełniającą go radością. - Taka piękna, jak ty... Ktoś będzie miał szczęście, gdy ją pozna!

- Syn - stwierdza z pełnym radości uśmiechem. - Powiedziałam o tym Małgorzacie, a ona mężowi... Król rzekł mi... Tutaj jest taka wiedząca babka, Jegorowna, której wróżby zawsze się sprawdzają. Wielu ludziom pomogła... Wiesz, co mi wywróżyła?

- Co, kochana? - pyta, drżąc, Gustaw.

Odpowiada ze śmiechem:

- Że nie trzeba mi w niczym pomagać! Raz dwa porodzę zdrowego synka. Tylko, wiesz, potem dodała coś dziwnego... - milknie na chwilę, zachmurzona, później powtarza słowa, naśladując obcą intonację: - Światłości Boża! Dotknęła was łaska Pana, gdyż dobry dzień lub dobrą noc wybraliście dla poczęcia dzieciny. Jak wróci małżonek, niechaj dla syna imię wybierze i Bogu się pokłoni. Więcej się nie obawiaj, córeczko.

- Źródło - szepcze Gustaw.

- Święta woda, wszystko lecząca, dobroczynna - wtóruje mu żona. - Prawda... Gustawie, jak nazwiesz naszego syna?

- Siergiej.

Sam dziwi się mimowolnie, dlaczego właśnie takie? Przyszło mu od razu na myśl, jakby nie było innych!

- Dobrze - mówi zgodnie Julia. - Jakżeby inaczej...



# GROŹNY DZIADUNIO

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Syn... Słowo, którego nie mogę wyrzucić z pamięci, rani mi duszę. Dawno już pożegnałem się ze swoją miłością, odszedłem i zapomniałem. Nawet byłem wdzięczny losowi, że skończyło się wszystko od razu, że nie było mi dane przeżywać zmierzchu uczucia. Tamta rana szybko się zabiłiła. Nie byliśmy sobie pisani, stwierdziłem wówczas. Może jeszcze spotkamy swoje przeznaczenie.

Nie wiem, czy Katarzyna je znalazła. Mnie się nie udało. Nieszczęścia chodzą parami, więc jeszcze do tego padła na mnie klątwa, gdyż wraz z nieszczęśliwą miłością omal nie postradałem życia i odtąd moim losem stała się wieczna ucieczka. Od samego siebie i mego daru... Co za szczęście, że zakończyło się to w klasztornej celi, gdzie prowadzę dochodzenie na Bożą chwałę. Mogło być znacznie gorzej...

Ale syna mieć już nie będę.

## **2. SIERGIEJ I SIERIOŻKA**

„Srebrne ziele” oplata opalony nadgarstek jasną podwójną linią. Amulet towarzyszący ojcu w takich przygodach, z jakich nawet wielkiemu bohaterowi czasem trudno ujść z życiem. Wcześniej ochraniał mamę, odkąd przewiązała go na jej dłoni wiedźma Nina, królowa Targali. Prawdziwie silny talizman. Gdyby tak jeszcze pomógł matce przestać się ciągle zamartwiać, gdzie podziewa się jej niesforny synalek!

- Jadą - mówi Walerek.

Przy końcu ulicy Pałacowej zjawia się oddział.

- Spójrz tylko. - Walerek podaje mi „bliski wid”.

Biorę do ręki amulet. O, kurczę! Wydaje się, że wystarczy wyciągnąć dłoń i dać prztyczka w nos królowi Henrykowi Groźnemu.

- Jaki stary - wrywa mi się. - Ręce już mu się trzęsą, tylko zobacz! Jakim cudem trzyma się jeszcze w siodle?

- Nie mam pojęcia - mruży Walerek. - Jak mógł się tak postarzeć w ciągu dziesięciu

lat? Mama mówiła mi, że kiedyś potrafił żelazny pręt wygiąć gołymi rękami i zawiązać na supeł. A teraz trzęsą mu się ręce?

Odbiera ode mnie amulet. Obserwuje swego dziadka tak długo, że zaczynam się nudzić. Z oddali oddział wydaje się ciemną plamą niespiesznie płynącą po ulicy. Widzę, jak przed główną bramę wychodzi dowódca warty i czekam.

- Wiesz, co myślę? - Przyjaciół oddaje mi talizman. - Trzęsą mu się wcale nie ze starości. Spójrz, Siwy, na jego twarz. Po prostu jest rozgniewany.

Rzeczywiście, widzę. Królowi lepiej nie wchodzić w drogę, kiedy jest w takim stanie... Zapewne z taką miną skazywał mego dziadka, ojca mej matki, i innych buntowników. Pewnie też tak wyglądał, wydając córkę za mąż. Nasz król, Andrzej, pragnął jej jako zakładniczki pokoju. Groźny jest dziadkiem Walerka...

- Pora zejść na dół - oznajmia Walerek.

- Aha.

Odczołgujemy się od krawędzi dachu i...

- Ta-ak! - Nieznana siła podrywa nas do góry, a raczej dobrze nam znana. - Książę Walerianie, twoja matka od dawna cię oczekuje. Znowu powiesz, że zapomniałeś?

- Nie powiem - odpowiada niewinnym tonem chłopiec. - Właśnie się tam wybieram.

- Właśnie widzę - zauważa z porozumiewawczym uśmiechem kapitan Siergiej. - Biegnij już. Muszę pogadać z Sieriożką.

Spoglądam znów na ulicę. Poselstwo z Targali nie wydaje się już jednolitą plamą. Kruczożarne potężne rumaki, na nich gwardziści w narzuconych na błyszczące srebrem pancerze fioletowych płaszczach z białym obramowaniem. Ojciec do dzisiaj taki przechowuje... Jak to się dzieje, że kapitan królewskiej rotty ma czas na pogawędkę z dziewięcioletnim smarkaczem, kiedy tamci za chwilę wjadą w główną bramę?

- Mam dla ciebie polecenie, Sieriożka.

Zbyt mało powiedzieć, że się uradowałem! Uczymy się z Walerkiem już od roku, ciągle siedzimy w koszarach... Ale polecenie?!

- Niebezpieczne - dodaje kapitan.

- O, kurczę! - cieszę się.

- Smarkaczu - rzuca Siergiej. Mój imiennik. Nie tylko imiennik. Przecież nazwali mnie tak na jego cześć. - Zastanów się, czy jest się z czego cieszyć. Jeśli coś ci się stanie, jak spojrzę w oczy twojej matce?

Gdyby rzeczywiście mogło mi się coś stać, pewnie by mnie nie posyłał. Droczy się ze mną.

- Nic się nie stanie - zapewniam. - Słowo daję! A co mam robić?

- Ciekawscy smarkacze są wszędzie - oznajmia w zamyśleniu. - Nikt nie zwraca na nich uwagi. Nie sądzę, by nasi goście poświęcili uwagę jakiemuś ciekawskiemu głuptasowi. Rozumiesz mnie, Sieriożka?

- Jasne. Trzeba się podkraść i co się da podsłuchać oraz podpatrzeć. Co w tym niebezpiecznego?

- Zwłaszcza podsłuchać. Nie wydaje mi się, żeby gwardziści króla Targali pomyśleli, że taki malec rozumie, o czym między sobą gadają. Jeśli jednak uznają, że rozumiesz...

- Zrozumieją, że podsłuchiwałem. - Znowu się oglądam. Poselstwo wjeżdża na dziedziniec... Kapitan chyba powinien być tam, a nie ze mną tutaj? - Mogą rozmawiać o jakichś tajemnicach? Ci z Targali pewnie nie są głupi!

- Przecież nie wysyłam cię do samego władcy. Gwardziści pewnie nie wiedzą, jakie ma zamiary ich król. Właśnie dlatego będą rozprawiać o celu wizyty, o nastrojach swego pana i o tych problemach Targali, które mogły skłonić Henryka, żeby tutaj przyjechał. Interesują się tym, jak wszyscy normalni ludzie. My także się tym interesujemy - kończy z uśmiechem kapitan.

- Czyżbyśmy nie wiedzieli, dlaczego przyjechał? - dziwię się. Powiadali, że ojciec naszej królowej postanowił uczcić fakt, że urodziła córkę.

- Właśnie, dlaczego? - pyta trochę jadownicie kapitan. - Zobaczyć wnuczkę? Cha, cha! Jakoś nie spieszyno mu się do nas, kiedy urodził się pierworodny następca. Do tej pory tego nie uczcił. Nie, Sieriożka, coś innego mocno go przypiliło. Dlatego boję się cię wysyłać. Jeśli usłyszysz za wiele i nie będziesz ostrożny, możesz potem nie wrócić... Rozumiesz mnie? Naprawdę przepadniesz.

Wzruszam ramionami, prawie urażony. Tak, jakby nie wiedział, że potrafię o siebie zadbać! Dobrze o tym wie.

- Wiem, Sieriożka, że potrafisz zachować kamienną twarz. Ale czy potrafisz nawet nie drgnąć? Nie poruszyć ramieniem, nie zgarbić pleców? To właśnie jest najtrudniejsze, imienniku. Wierz mi.

- Trzeba było wcześniej mnie wytrenować - burczę pod nosem - w zeszłym tygodniu albo i wczoraj. Teraz już za późno. Mam iść czy nie?

- Masz iść - odpowiada z wysiłkiem - do koszar zewnętrznych.

- Aha... - Już chcę biec, lecz kapitan chwyta mnie za kark jak szczeniaka.

- Jaki szybki! Najpierw zdejmij amulet.

- Dlaczego? - wyduszam z siebie z trudem. Skuteczny amulet czy nie, ale zdążyłem się

do niego przyzwyczać...

- Przecież to dzieło ich królowej, matolku! Co będzie, jak poznają?

Faktycznie, matolek ze mnie. Pukam się w głowę. Że też sam na to nie wpadłem! Spuszczam oczy i rozwiązuję supełek.

- Dam ci inny. - Kapitan lekkim klepieniem skłania mnie, bym pochylił głowę i wiesz mi na szyi małą podkówkę na trójkolorowym, przynoszącym szczęście sznurku. - Bo inaczej znajdzie się jakiś mądrała, który zauważy, że wszystkie dzieciaki biegają z amuletami, a ty nie.

- Aha! - Spoglądam uważnie na Siergieja. Chyba nie kpi ze mnie? Nie. Kapitan jest poważny niczym opat Eugeniusz przed świątecznym nabożeństwem. Parskam śmiechem.

- Czego rzysz? - pyta zachmurzony kapitan.

- A tak... bo wyglądasz jak opat Figuszkina.

- Naprawdę? To okropne. - Oficer się wreszcie uśmiecha. - Powodzenia, imienniku.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Poselstwo do Wschodnich Ziem, któremu przewodził osobiście król Henryk... Kapitan Siergiej chyba miał rację. Okrutnego coś mocno przypiliło. Co go zmusiło, żeby pokłonić się byłemu wrogowi, zwycięzcy, żądającemu Małgorzaty jako zakładniczki pokoju? Pamiętam, jak urażony był król Henryk i wątpię, by ta uraza znikła z czasem.

Po namyśle idę szukać odpowiedzi u brata bibliotekarza. No nie, cóż to za porządki?... Okazuje się, że tamten tom, w który czytałem o zamążpójściu Małgorzaty, jest jedynym, jaki zachował się z czasów panowania Henryka Okrutnego. Jedyny! Trudne Czasy, powiada z westchnieniem brat bibliotekarz. Do czego doszło, skoro nawet królewskie kroniki zaginęły? Myślałem, że coś takiego jest możliwe tylko wtedy, kiedy spłonie do cna pałac królewski...

- Powiadają - mówi ledwie dosłyszalnie zakonnik, jakby przekazywał wielką tajemnicę - iż ten tom zachował się tylko dlatego, że ówczesny przeor naszego zgromadzenia wyniósł go cichcem z królewskiej biblioteki. Pozostałe rzucił w ogień własnoręcznie król Karol, żeby zatrzeć pamięć o haniebnych czynach swego ojca.

- Jakichże? - pytam również cicho.

- Tego właśnie nie wiemy. Któż może teraz stwierdzić, czy to rzeczywiście prawda czy taka sama bujda, jak większość z tego, co opowiadają minstrele o świętym Karolu?

### **4. SIWY I WALEREK**

Lepiej nie dyskutować o czyjejs przewadze, stwierdził kiedyś nasz wychowawca, ojciec Laurenty. Nawet średnio utalentowany fehmistrz z Targali może rozsiekać na kawałki naszego najlepszego wojownika. Jakżeby inaczej, wszak u nich codziennie odbywa się pojedynek, a co miesiąc turniej. Pod bokiem mają Imperium Chandzarskie, gdzie kupcy noszą szpady na równi ze szlachtą, rzemieślnicy rzucają przy święcie nożem do celu, a nawet chłopcy wyczyniają takie rzeczy ze zwykłym drągiem lub laską, o jakich się naszym pastuchom nie śniło. U nas za to najlepsi łucznicy Złotego Półwyspu rywalizują na ludowym festynie. Zestrzelić jabłko z głowy ukochanej, jak ich najslawniejszy Zielony Lis, nikt u nas nie uważa za szczególnie wyczyn, chyba że dokona tego w pełnym biegu. Nie mają tam też dobrych jeźdźców. Żal patrzeć, jak gwardziści dziadka Waleriana trzymają się w siodłach, jakby mieli zaraz spaść! Całkiem jak nie ludzie, tylko sztywne kukły... A ich panienki jeżdżą wyłącznie karetami. Nasza królowa do tej pory nie lubi jeździć wierzchem, chociaż nauczyła się tego w pierwszym roku małżeństwa. Nie za to ją zresztą polubili w Slaweszczie, lecz za to, że pokochała męża i stała się dlań nie tylko mądrą doradczynią, ale też wierną żoną. A także po prostu za jej dobroć.

Nie ma więc co dyskutować nad czyjąś przewagą. Nie powinni tego robić ludzie prości, tym bardziej szlachta, a już z pewnością nie królowie...

Stoimy z Walerkiem w ciasnym korytarzyku wyglądającym jak kamienna kiszka. Prowadzi przez cały pałac, można nim dotrzeć do dowolnej komnaty, można także stąd podglądać i podsłuchiwać. Nie powinniśmy o nim wiedzieć. W ogóle mało kto wie o tym korytarzu, a nawet ci, co wiedzą, nieczęsto z niego korzystają. Walerek przypadkowo usłyszał rozmowę ojca z Wašką i szczęśliwie wykradł klucz na kilka minut, ale to nam wystarczyło. Znaleźliśmy i otworzyliśmy tajne wejście do sypialni księcia, po czym Walerek odniósł klucz na miejsce. Po zwałach kurzu na podłodze stwierdziliśmy, że korytarz nie jest używany.

Nie mieliśmy początkowo zamiaru szpiegować. Chcieliśmy znaleźć tajne wyjście z pałacu. Bo gdzież miałyby być, jeśli nie w sekretnym korytarzyku! Fajnie byłoby wyjść niepostrzeżenie na zewnątrz, najlepiej poza mury rezydencji. Wtedy nasze plany by się ziściły.

Nie zmierny jednak ku wyjściu. Zatrzymuje nas głos dochodzący zza ściany. Wcałe nie starczy, silny i zawzięty głos goszczącego u nas monarchy.

- Zapomniałaś o swoim kraju, córko. Wiem, że twój mąż cię kocha! Mogłabyś go przekonać dla dobra swego ojca i swej ojczyzny! Mogłabyś, ale nie chcesz.

Krótką chwilę ciszy przerywa głos królowej:

- Żona niechaj zapomni o swoim rodzie i stanie się z mężem jednością. Pamiętaj,

ojcze? To teraz mój kraj. Mało ci jeszcze, że żyjemy w pokoju? Przecież właśnie dlatego wydałeś mnie za Andrzeja. Wiesz dobrze, że po naszym ślubie szlachta Targali i Dwunastu Ziem zaczęła się ze sobą żenić, a zaraz po nich i kupieckie rodziny? Ten pokój dobrze nam posłużył. Sporo zyskałeś, ojcze, na przegranej wojnie. Miałam nadzieję, że nie zechcesz już więcej wojować.

- Zrobiłaś się bardzo mądra, Małgorzato! Bez względu jednak, gdzie się mieszka, czy można zapomnieć o ojcu i ojczyźnie?! Co ty wiesz o wojnie i pokoju! Jestem władcą swego kraju, córko, a nie podziemnym gnomem! Zniszczę to pogańskie plemię z waszą pomocą lub bez! Lecz jeśli mi nie pomożecie... co z was za ludzie?!

- Zwyczajni, ojcze. - Głos królowej zdaje się cichy po wrzaskach jej ojca. - Żyjący uczciwie, a nie prawem silniejszego. Sam pierwszy uraziłeś podziemnych. Pamiętam, gdyż działo się to przy mnie. Chcieli pokojowych układów, ale ty zanadto lubisz walczyć. Nie wstawię się za tobą u Andrzeja. Postąpi właściwie i bez moich prośb. Jest odpowiedzialnym władcą, tak samo jak ty. Potrafił dogadać się z gnomami po dobroci, kiedy się pojawiły po tej stronie gór.

Ledwie słyszalne skrzypnięcie drzwi nie rozprasza zgęstniałej nagle ciszy, a wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej ją podkreśla.

- Teraz rozumiem, o co chodzi - szepcze Walerek.

- Aha - odpowiadam. Wczoraj przegadaliśmy cały wieczór, jak wyjaśnić to, co usłyszałem w koszarach od gwardzistów... Ojciec potem mówił mi, że tak samo gadał z Siergiejem. Nie wiem jeszcze tylko, co to jest gnomiczna premia i dlaczego z jej powodu tak mało rzemieślników zostało w Korwarzenie.

- Nędznico! - W komnacie słuchać łoskot, jakby ojciec naszej królowej cisnął stołkiem o ścianę. - Zdrajczyń! Pragniesz wiecznego pokoju... ale w ogóle nie obchodzi cię to, że w twojej ojczyźnie jest kolejny rok nieurodzaju! Ooooch, nikczemna! No nic, nic...

Słychać kolejny, trochę słabszy łoskot i trzaśnięcie drzwiami.

Walerek prostuje się, zaciska pięści i warczy coś przez zaciśnięte zęby.

- Groźnego masz dziadunia! - Szturcham go lekko w bok, żeby dał spokój. Gniew jest złym doradcą. - To wszystko na pewno nie pachnie pokojem.

- Trzeba powiedzieć ojcu - stwierdza, zrywając się, Walerek.

- Tak, i to szybko - zgadzam się. - Szkoda, że oddaliśmy klucz.

- Do pomieszczenia można wejść bez klucza. - Walerek popycha palcem ścianę. - Popatrz, wystarczy ją przekręcić! Chodźmy z powrotem, tam były schody na górę, pamiętasz? Ojciec jest na pewno w gabinecie.

Biegniemy, nie zważając na tupot, ale w milczeniu. Tylko w chwili, gdy jesteśmy u wejścia do gabinetu, Walerek zauważa, zdyszany:

- Aż żal, że to się nie zdarzyło wczoraj, kiedy Szkoda miał wartę.

Tak, zgadzam się w myślach. Dzisiaj kolej na Drobneho. Szkoda zazwyczaj się nad nami lituje, ale Drobny ma ciężką rękę.

- Będziemy cierpieć za sprawę - mamroczę w odpowiedzi - a nie za głupoty jak wcześniej.

Skoro coś zbroisz, bądź gotów na karę. Miej świadomość, że nie pomogą żadne usprawiedliwienia ni błagania. Przeskrobałeś, oberwiesz. Król wezwie kapitana, każe zaprowadzić szczeniaków do koszar i przyłać im porządnie, zarówno synkowi umiłowanemu, jak i jego serdecznemu koleźce... Walerek popycha drzwi i wpadamy prosto z tajnego przejścia na radę królewską.

Zdumione milczenie przerywa spokojny głos króla:

- Co się mogło stać, skoro dwóch małych szkodników zapomina o karze? Do tej pory psociliście po cichu? Co się stało, mój synu?

Walerek odpowiada krótko o tym, co najważniejsze.

- Wyjdźcie obaj - rzuca król, marszcząc brew. - Zaczekajcie za drzwiami, dopóki nie skończymy.

Długo czekamy. Czekanie bywa karą nie gorszą niż inne, choć nasi rodziciele rzadko się nią posługują. Dziś jednak...

- Myślę, że ojciec jest na nas zły - mówi Walerek po jakiejś godzinie. - Lepiej było od razu oddać się w ręce Drobneho.

- Aha - wzdycham. - Walerku, kiedy twój dziadek już wyjedzie, poprosimy Siergieja...

- O co?

- Mówił mi, że nie wystarczy zachować kamienną twarz, trzeba nawet nie drgnąć plecami ani ramieniem. Powiedział, że zdenerwowanie można poznać z ruchu pleców lepiej niż z twarzy. Może by więc nas nauczył?

- Nie jego trzeba prosić. - Drapie się po głowie Walerek. - Tylko Waśkę, a jeszcze lepiej, twego ojca. Już on to potrafi!

Przez drzwi gabinetu wygląda akurat rzeczony Wasia.

- Chodźcie, bohaterowie!

Spoglądamy po sobie. Odpowiednia chwila, by zachować kamienną twarz!

- Nie trzęś się - szepcze Walerek drżącymi wargami.

- Nie mam zamiaru - odpowiadam. Oj, co to będzie...

- No, jak tam bohaterowie wieczoru - mówi król, przymrużając oko i unosząc brew - gotowi jesteście przyjąć odpowiedzialność? Czy też według was wykraść klucz do tajnego korytarza to głupstwo, którym nie warto się przejmować?

- Jesteśmy z tego dumni - odpowiada prędko Walerek. - Prawda, Siwy?

- Jeszcze jak - podchwytuję. - Jasne, że to nie głupstwo!

- Nie głupstwo - powtarza król bez gniewu. - A to smarkacze... Tym razem wasze nieposłuszeństwo może obrócić się na dobre. Powiedz mi, synu, po coście tam w ogóle poleźli?

- Chcieliśmy znaleźć tajne wyjście - odpowiada szczerze książę. Nigdy nie kłamie i jego ojciec dobrze o tym wie.

- Obiecuję, że wam je pokażę - mruczy władca - zaraz po wyjeździe poselstwa. Tym razem zasłużyliście na wdzięczność, nie lanie.

Gabinet wypełnia cisza.

- Jest aż tak źle, ojcze? - pyta w końcu Walerek. - Może jeszcze w czymś pomożemy?

- Tylko w jednym: nie ważcie się o tym gadać. Wasz wyczyn powinien pozostać tajemnicą. Idźcie już. Siedzicie cicho, dopóki nie odjadą posłowie. Chociaż wy nie przysparzajcie mi kłopotów.

- Obiecujemy - zapewnia Walerek. - Powiedz mi tylko, ojcze, czy znowu się poróżnisz z królem Targali? Bo chyba nie zechcesz mu pomóc?

- Najlepsze, co mogę zrobić, to doradzić mu, by dogadał się pokojowo z Podziemiem. On jednak nie posłucha tej rady. A co do konfliktu między nami... - dodaje król z krzywym uśmiechem - twój dziadek, Walerku, nie jest głupi. Targala przepadnie, gdy skończy się z nami handel. Muszą przecież coś jeść. Henryk skryje złość i nie zaryzykuje otwartego konfliktu. Idźcie, chłopcy i zajmijcie się jakąś spokojniejszą zabawą.



# LETNI OBÓZ

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Coś było nie tak - mówię do Sergiusza. - Nie wiem, nie rozumiem, co, ale było...

- Tylko ostatnim razem? - pyta zakonnik.

Zastanawiam się. Ostatnio na pewno, ale wcześniej?

- Chodzi mi o to, czy nie było to związane z tamtym młodzieńcem, który umiał spoglądać w przeszłość, jak ty?

- Na pewno nie. Wydaje mi się... że chodzi o te dzieciaki. Z nimi jest jakoś inaczej.

- Gorzej?

- No, coś ty! Przeciwnie. Jakby jaśniej, pełniej... nie wiem, jak to wyjaśnić! W tej pełnej jasności jest tak, jakbym wszystko przeżywał na jawie. Ale chodzi jeszcze o coś innego.

- Może dlatego, że to dzieciaki - stwierdza Sergiusz, wzruszając ramionami.

## **2. JERZY, SYN KSIĘCIA ALEKSANDRA**

Poranny step ucieka spod kopyt, aż serce się raduje szybkością, a także poczuciem, że robi się coś niedozwolonego. Ze wszystkich dzieciaków, przebywających na Letnim Obozie, tylko Wagrik może wyjeżdżać poza ogrodzenie bez kogoś dorosłego. Byłoby dziwne, gdyby wódz plemienia nomadów zabraniał synowi poskakać po stepie, nawet w pojedynkę.

Ojciec Wagrika, wódz plemienia Śnieżnych Lisów, gości co roku u króla Andrzeja na Letnim Obozie w pierwszym miesiącu lata. Od czterech lat przywozi swego najstarszego syna. Wodza i monarchę cieszy przyjaźń ich synów.

Od razu się z nim zaprzyjaźniliśmy, kiedy przyjechał tu pierwszy raz. Siodłaliśmy nasze konie i pędziliśmy do Kudriawki, na plac: Walerek, Wagrik, ja, Awdik i Radek z Miłoszem. Kapitan wyznaczył Szkodę na naszego nauczyciela. Braliśmy ze sobą łuki. Srebrzysty, ognisty step szeleścił pod kopytami wierzchowców monotonnym szmerem ostnicy. Uczyliśmy się od przyjaciela jazdy konnej i posługiwania się strzelbą. Wagrik pokazywał nam sztuczki ludzi stepu: stojąc na końskim grzbiecie, chowając się pod

brzuchem lub na boku rumaka podnieść monetę w pełnym biegu albo zarzucić arkan. Około południa rozpalaliśmy ognisko, jedliśmy stawę, potem przeczekiwaliśmy najgorszy żar pod wierzbami nad brzegiem Kudriawki. Wagrik opowiadał zawsze jakąś stepową legendę. Wszystkie mówią o bohaterach, walkach i pościgach, o honorze i zdradzie. Pustynni ludzie żyją inaczej niż my, ale tak samo pojmują honor. Nie mniej od nas cenią także wierną przyjaźń.

Rozjaśnia się przede mną odległy horyzont, ja zaś nie mogę odżałować, że nie zdążyłem wczoraj wieczorem uprzedzić Wagrika ani Szkowy. Ja i Walerek niewiele sobie robimy z zakazów, ale właśnie tego lepiej byłoby nie naruszyć. Coś znowu nas podkuśiło... Pędzimy naprzeciw jaśniejącemu niebu we trzech: ja, Walerek i Jurek. Książę Jerzy, żeby go pokręciło! Stryjeczny brat Waleriana.

Wiele bym dał, gdyby można było cofnąć wczorajszy wieczór i przeżyć go inaczej! Najchętniej - w ogóle bez Jurka.

W Slaweszczie widzimy go tylko od święta. Wielkie uroczystości mają to do siebie, że nie ma czasu na indywidualne zabawy i rozmowy. Tego jednego dnia, kiedy zostawili go, by się z nami bawił, wystarczyło nam aż nadto.

Właśnie wtedy dziewięcioletni Jurek założył się z sześciolatnim Walerkiem, że wejdzie na dach wieży strażniczej. Głupiek dał się namówić, a wtedy Jurek oznajmił, że nie jest na tyle stuknięty, żeby samemu włązić tak wysoko.

- A co, tchórzysz? - zapytałem go wtedy. - Trudno dorównać sześciolatkowi?

I za to „trudno” dostałem tyle samo, ile Walerek za włożenie na dach. Wyszło bowiem na to, że dwa znane urwisy namawiały do złego grzecznego i spokojnego Jurka... Uważam jednak, że lepiej ponieść nawet największą karę niż skomlić o litość, jak zrobił to tamten.

Minęło sześć lat. Jutro Jurek kończy piętnaście. Ojciec przywiózł go właśnie dlatego na Letni Obóz, w hołdzie dla władcy. Szesnasty rok swego życia każdy mężczyzna w królestwie spędza w wojskowym oddziale. Trudno wyobrazić sobie cichego Jurka odbywającego surową służbę wojskową... Pewnie książę będzie prosił króla, żeby przydzielił mu synka jeśli nie do jego oddziału, to chociaż któregoś wasala. Tymczasem rozmowy krewniaków sprawiły, że powierzono całkiem zbędne książątka opiece jego kuzyna. Walerek, rzecz jasna, nie był tym zachwycony, ale w żaden sposób nie mógł się wykręcić.

Jurek cały wieczór pałętał się po Letnim Obozie ze znudzoną miną. Wszyscy mieliśmy już tego dosyć. Walerek długo to znosił, lecz w końcu nie wytrzymał i zaproponował, żeby pójść do koszar i porzucać trochę nożem, skoro nie mają niczego lepszego do roboty.

- To zabawa dla dzieci, kuzynie - rzekł Jurek, krzywiąc się lekceważąco. - Ale, cóż,

chodźmy. Jak wytrzymujecie tutaj całe lato? Można zwariować z nudów.

Całkiem nieźle dawał sobie radę w rzucaniu nożem. Ogólnie znośnie, jak by powiedział kapitan Siergiej. Walerek jednak pokonał go bez trudu. Ja także bym zdołał, gdybym rzucał, ale na szczęście wpadłem na to, by odejść na bok. Nie wypada, by zwykły chłopak zawstydzał księcia. A Jurkowi wystarczyła przegrana z Walerkiem.

- Dziecinna zabawa - powtórzył Jurek. - A może byśmy sprawdzili, kuzynie, kto jest lepszy w strzelaniu z łuku?

Zapytał takim tonem... Walerek i ja od dawna nie dawaliśmy się złapać na takie prowokacje, ale tym razem...

- Dlaczego by nie sprawdzić - odparł Walerek. Za fasadą pozornego spokoju bez trudu wyczułem wściekłość. - Tylko teraz za późno jechać na plac, zrobimy to rano. Jeśli chcesz, poprosimy naszych ojców, żeby pojechali z nami.

- Jaki znowu plac? - Jurek skrzywił pogardliwie grube wargi.

- Nasza strzelnica znajduje się na brzegu Kudriawki - wyjaśnił Walerek. - Tablice są rozmieszczone i dróżki uprzątnięte...

- No tak, kuzynie - podjął Jurek - dzieciak jeszcze z ciebie. Potrzebujesz czystych ścieżek i towarzystwa tatusia.

- Od trzech stuleci odbywają się tam zawody - oznajmił kuzynowi ksiązę tonem niewróżącym niczego dobrego. - Wszystkim dotychczas odpowiadało to miejsce, ale skoro tobie nie pasuje, musisz poczekać do jesieni, kiedy wrócimy do Slawesztu.

- Do jesieni! - zaśmiał się tamten. - Pojutrze zostanę żołnierzem i nie będzie mi wypadło współzawodniczyć z chłopackiem. Dobrze, pojedziemy jutro rano na plac. Obejdziemy się bez tatusiów. Jutro mój ojciec musi poważnie porozmawiać z twoim, więc obaj będą zajęci. Pojedziemy na waszą strzelnicę sami. Musimy tam być o świcie, żebyśmy zdążyli wrócić na śniadanie.

I oto pędzę bladym świtem po stepie za Jurkiem i Walerkiem, przeklinając własną głupotę. Co by mi szkodziło stanąć wczoraj między nimi i powiedzieć: „Idź więc, ksiązę, współzawodniczyć ze swoimi! Na dobrą sprawę i dzisiaj wstyd ci konkurować z chłopackiem”. Najgorzej mieć spóźniony refleks!

- Hej, hej! - dobiega nas zza pleców gromki okrzyk i Walerek zatrzymuje swego Ognika. - Hej, Walerku!

- Kto tam znowu? - burczy Jurek. - Jedźmy, kuzynie, nie zatrzymuj się.

- Zaczekamy - oznajmia Walerek. - To Wagrik.

- Po co czekać? - sprzeciwia się ksiązątko. - Kto go tu prosił? Jeszcze jednego mamy

ze sobą ciągnąć - dodaje, spoglądając na mnie złym wzrokiem.

Jego rzadkiej maści bułanek tańczy pod nim niecierpliwie.

- Zdaje mi się, kuzynie, że się rozmyśliłeś i przeciągasz sprawę! Czekasz, aż cię dogonią i odprowadzą do taty.

- A mnie się zdaje, że coś kłuje cię w zadek - odgryza się Walerek. - Pędzisz, jak na pogrzeb wroga.

Jest wystarczająco widno, bym zobaczył, jak rozwścieczył tym Jurka. Przestraszyłem się. Żałuję, że Walerek tego nie widzi, bo wypatruje w półmroku Wagrika nadjeżdżającego na czarnym, kosmatym Jasmanie... Jak to dobrze, myślę trochę od rzeczy, że tego lata zabrał ze sobą Wilczka... A ja głupi, powinienem być trochę sprytniejszy i powiedzieć o tym komuś, skoro się zorientowałem, że sprawa śmierdzi!

Wilczek przesuwając się szarym cieniem ponad srebrzystą trawą.

- Oho! - zauważa Jurek, pogwizdując. - A mówili, że tutaj nie ma wilków!

Uspokój się, to przyjaciel, chcę mu powiedzieć... i w tym momencie jego pięść strąca mnie z konia, wypierając powietrze z płuc.

- Jak śmiesz! - słyszę jakby z dali głos Walerka.

Wciąż nie mogę oddychać. I do tego ręka... Oj!

Wilczek trąca chłodnym nosem szyję, liże mnie po twarzy i szczeka głośno: czemu leżysz, przyjacielu? Wstawaj! Za chwilę, usiłuję wyszeptać.

- Król każe wam wracać - słyszę gniewny głos Wagrika gdzieś spod samego nieba. - Wszystkim trzem.

- A kim ty jesteś, żeby przekazywać królewskie rozkazy! Mam uwierzyć komuś z tej bandy smarkaczy?

- Zamknij się - doradza Walerek jutrzejszemu żołnierzowi. Okazuje się, że siedzi na ziemi obok mnie. - Uprząż spowolniła upadek, na twoje szczęście... Mogłeś go zabić!

- Co ja słyszę - oburza się Jurek. - To on miał dużo szczęścia! Do czego to podobne, żeby jakiś gówniarz łapał mnie za rękę?!

Zbyt gorliwie się oburza, zauważam w myślach, jakby niemal radośnie. Dlaczego razem z Wagrikiem nie przyjechała straż? Walerek niczego się nie spodziewa... Ze wszystkich sił próbuję go o tym uprzedzić... Księżę próbuje mnie podnieść, ja zaś wrzeszczę na całego. Potem najwyraźniej tracę przytomność...

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Nie od razu dochodzę do siebie. Długo nie mogę pojąć, co się ze mną dzieje. Chyba coś stało się z moją ręką... Pamiętam dobrze straszny, nieznosny ból. Złamana? Teraz jednak już mnie nie boli. Pozostał tylko jakby ślad tamtego cierpienia. Kręci mi się w głowie, płoną policzki i słyszę, jak ktoś mnie woła ochryple...

Otwieram oczy. Dlaczego tutaj tak ciemno? Dlaczego nie widzę nieba o świcie tylko powalę z ciemnych dębowych belek? W głowie zamęt i w żaden sposób nie potrafię zebrać myśli. Gdzie jestem? I kim jestem?

- Błażeju, ocknij się wreszcie!

Tak. Błażej. Jestem nowicjuszem Błażejem. Zbyt mocno pograżyłem się w ostatnim widzeniu. Widocznie znowu straciłem świadomość. Sergiusz klepie mnie po policzkach. Dałby już spokój.

- Wystarczy - proszę. To dziwne, lecz nie poznaję swego głosu. Co jest ze mną nie tak?

- Spróbuj usiąść! - Sergiusz podnosi mnie i pomaga usiąść na łóżku zasłanym kocem. - Niech Nieczysty porwie to dochodzenie! Jak się czujesz?

- Zaczekaj - odpowiadam. - Daj mi zebrać myśli. Zaraz będę wiedział.

Już wcześniej widziałem step uciekający spod kopyt... Co było tym razem nie tak? Widocznie za mocno uderzyłem się w głowę, kiedy spadłem z konia... kiedy... Co?!

- Kiedy spadłem z konia - powtarzam na głos. - Chwyciłem Jurka za rękę i wtedy mnie uderzył. I to JA upadłem! Rozumiesz, Sergiuszu? Oto, co było nie tak! Ten chłopczyk, Siwy, Sieriożka, syn Julii i Gustawa! Widzę nie tylko jego oczyma, pojmujesz? - Boję się tego, co powiem za chwilę. A jednak mówię: - Wcześniej miałem świadomość, że patrzę cudzymi oczami. Teraz, kiedy się tam przenoszę, wcielam się w niego całkowicie i staję się nim.

- I znikasz tam - mówi powoli Sergiusz. - A nuż...

- Ależ nie - odpowiadam, machając dłonią - wierz mi, bracie, nic w tym strasznego! Tak jest znacznie lepiej i pełniej.

- Bardzo ryzykujesz...

- Skądże! Niczym nie ryzykuję. To tylko wizje, które mogę przerwać w każdej chwili.

- Chodźmy do brata bibliotekarza - mówi Sergiusz z westchnieniem.

- Wieczorem zobaczę, co było dalej.

#### **4. KRÓLEWSKI SĄD**

Wielki książę siedzi obok króla, a nasza trójka stoi przed nimi między kapitanem a Szkodą. Wczoraj pod wieś za Kudriawką podeszła sfora wilkołaków. Właściwie to było małe stadko,

zapewne jedna rodzina. Najdziwniejsze, że dotarły tak daleko, zazwyczaj nie zapuszczały się poza Wielkie Stepy. Więcej wsi nie ma w okolicy, lecz nie wszystkie wilkołaki zostały wybite.

I wygląda, że nasza głupota mogła się okazać ostatnią w życiu...

Właśnie dlatego wysłali za nami Wagricza, gdyż wilkołaki nie atakują ludzi stepu. Zawsze to dalecy pobratymcy. Z tego powodu, ledwie wróciliśmy, Letni Obóz otoczono zaklętym kręgiem ochronnym, a ojciec Wagrika, wódz Śnieżnych Lisów, pojechał szukać ocalałych odmieńców. Jeśli ich znajdzie, odprowadzi w spokoju i bez podstępów do Stepów. Ludzie stepu nie mają powodu naruszać pokoju krwi. Inaczej by nie przeżyli, skoro wilkołaki są ich sąsiadami.

Wszystko to wyjaśnił nam król, dodając sporo na temat wykrętów, które dość długo nie schodziły nam z ust.

- Nie wiedziałem - żałownie jąka się Jurek. - Nie chciałem, słowo honoru! Nie moja wina, że księciu zachciało zmierzyć się z jutrzejszym żołnierzem! Królu, panie ojcze, wiecie przecież, że nawet nie znałem drogi na plac!

Jutrzejszy żołnierz... przykro na niego patrzeć!

- Jak ręka, Sierioża? - pyta król.

Wzruszam ramionami, a raczej jednym. Co tam, ręka... zwisa na temblaku i kłuje igielkami bólu. Nie zdążam odpowiedzieć.

- To nie ja! - wrzeszczy na całe gardło Jurek. - To on!

- Co on? - pyta wielki książę z wesołym zdziwieniem.

- Chwycił mnie za rękę! Nie mam już prawa się bronić?

Przykro tego słuchać... Boże, to gorsze od najsrozszej kary. Szloch, łzy... I to ma być przyszły wielki książę! Tfu...

- Z ręką wszystko w porządku, miłościwy panie - mówię. - Ojciec przeor ją uleczył. Powiedział, żeby nie nadwierać jej przez jeden dzień i będzie dobrze.

- Na Niebiosa, w dodatku udaje - mruczy Jurek.

- Wystarczy, Jerzy - mówi król. - Już cię wysłuchałem i wszystko zrozumiałem. Teraz kolej na Waleriana.

Jurek milknie, pociągając nosem. Król patrzy synowi w oczy i ryczy:

- No?!

- Jestem winien - oznajmia Walerek, wzruszając ramionami - bez dwóch zdań.

- Czego? - pyta król, unosząc brew.

- Tego, że się chciałem z nim zmierzyć - odpowiada, nie patrząc na Jurka. - To było

głupie, dlatego się wstydzę. Nie tyle z powodu wilkołaków, co Sieriożki.

- Rozumiem. - Kiwa głową władca. - A ty, Sierioża?

Mógłbym odpowiedzieć, że także się wstydzę. Przecież zacząłem żałować prawie od początku. Szkoda, że nie zawróciliśmy od razu. Coś przeczuwałem! Wszystkie swoje myśli i odczucia zdążyłem już przekazać ojcu Jeremiaszowi. Przekaze je władcy w cztery oczy...

- Chwyciłem go za rękę, bo omal nie postrzelił Wilczka - oświadczam ponuro. - A co do reszty... zgadzam się z Walerkiem.

Król ciężko wzdycha i wstaje z tronu.

- Czy przystoi przyszłemu żołnierzowi mierzyć się z malcem, rozsądźcie sami we własnych sumieniach. Powiem tylko, że nie należało jechać na plac w tajemnicy. Myślę, że wielu chciałoby zobaczyć waszą rywalizację. - Monarcha zwraca się do brata. - Jerzy jest ciągle dzisiaj pod twoją władzą, mój panie bracie. W twojej mocy jest go ukarać.

- Dobrze, mój królewski bracie - zgadza się książę Aleksander. - Tak uczynię. Synu, idź do naszych komnat i zaczekaj tam na mnie.

Jerzy wychodzi dziarskim krokiem, jakby wcale nie bał się ojcowskiej kary. Król znowu spogląda na Walerka.

- Kapitanie Siergieju!

- Tak, najjaśniejszy panie? - W głosie oficera słychać wyraźnie dezaprobatę. Tylko do kogo się odnosząca?

- Skoro memu synowi wpadło do głowy zмагаć się z wojownikiem - powiada monarcha z ledwie dostrzegalnym uśmiechem - wyznaczę mu wojskową karę. Dziesięć dni ścisłego aresztu, Walerianie.

- Tak jest, panie ojciec - odpowiada służbiście Walerek.

- A Sierioża... - Król się namyśla lub stara się zrobić takie wrażenie. Spogląda na mnie dosyć kpiąco! - W zasadzie, wychodzi na to, że ojcowie powinni decydować...

No, dobrze! Przecież nie będziemy wzywać twego ojca z powodu takiej drobnostki? Wystarczająco się już nacierpiałeś z powodu ręki, prawda?

Zastygam. Czuję się bezsilny. Chciałbym sprzeciwić się władcy, ale nie mogę tego zrobić przy ojcu Jurka. Oglądam się na kapitana. Co jest? Przecież sam król mówił zawsze: „Razem psocicie, razem pokutujecie”. Czy to uczciwie, żeby teraz było inaczej?

Zapewne można to wyczytać z mojej twarzy. Kapitan rozumie i zgadza się ze mną.

- Miłościwy panie - powiada - Sierioża wszak nie jest dla mnie obcy. Nieraz musiałem go przypilnować. Pozwól, bym dzisiaj zastąpił mu ojca.

- Co prawda, to prawda - zgadza się król. - Jeśli tylko on sam uzna to za sprawiedliwe.

Sierioża, zgadzasz się, by kapitan Siergiej osądził twoją winę?

- Tak, panie - wykrztuszam - bez dwóch zdań.

- No cóż... - Król siada, opadając na wysokie oparcie za plecami. - Ogłoś zatem swój wyrok, kapitanie. Obawiam się, że będzie surowszy od mojego, lecz to już zależy od ciebie.

- Naturalnie, najjaśniejszy panie - potwierdza oficer. - Uważam, że Sieriożka jest winien nie mniej od pozostałych. Najlepiej będzie, jeśli zmierzymy go taką samą miarą jak Waleriana. Dziesięć dni ścisłego aresztu, Sierioża. Nauczę cię jeszcze, szczeniaku, co to jest wojskowa dyscyplina...

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiadam, wzdychając z ulgą.

## **5. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Dlaczego tak jest, wie tylko jeden Bóg, ale upewniłem się, że właśnie tak się stało. Staję się jednością z chłopaczkiem z Dwunastu Ziem, żyjącym w Trudnych Czasach. Gdybym komuś powiedział, że się tego nie lękam, toby mi nie uwierzył. Nie odczuwam jednak teraz ani odrobiny strachu. Tylko radość.

## **6. GRZEGORZ O PRZEZWISKU SZKODA,**

### **STRAŻNIK ROTY KRÓLEWSKIEJ**

- Jeśli pojawiają się wilkołaki, obejrzyj się, czy w oddali nie majączą nomadzi - mówi w zamyśleniu Szkoda. - Mają taki zwyczaj, wypuszczać odmieńców, żeby pierwsi wzięli wroga na ząb. Zdarza się jednak, że wilkołaki same polują na ludzi. Nawet kiedy nie brakuje innej zwierzyny. To bzdura, że wcześniej nigdy nie pojawiali się tak daleko od Stepów... - Szkoda milknie, jakby oczekiwał sprzeciwów. Głupców nie sieją. Jeśli wdasz się z nimi w kłótnię, stracisz czas na daremną gadaninę. Szkoda zna takich mnóstwo, stara się więc opowiadać nie gorzej niż minstrele. - Tak jest - powtarza. - To bzdura. Chociaż jestem ze Sławesztu, mam krewnych w Soligrodzie, gdzie gościłem kiedyś na weselu. Usłyszałem tam ciekawą historię...

Dziwnie nas ukarano. Niby surowo, ale ani ja, ani Walerek nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby raz jeszcze tę karę powtórzyć. Dziesięć dni kapitan gonił nas, jak ganiają nieprzydatnych do niczego nowych rekrutów. Ranek zaczynał się od sprzątanania stajni. Potem zaś, kiedy już wywieźliśmy nawóz za ogrodzenie, rozścieliliśmy siano na ziemi i zmieniliśmy wodę w poidłach, wkładaliśmy lekkie skórzane pancerze i cały dzień biegaliśmy,



skakaliśmy i fikaliśmy koziołki, oblewając się potem. Robiliśmy przysiady, trzymając cegły w wyciągniętych dłoniach, potem pompki, strzelaliśmy z łuku lub ciskaliśmy dzirytami. Oczywiście nie ćwiczyliśmy na równi z doborowymi strażnikami roty królewskiej, lecz nam to wystarczało. Kiedy strażnik odprowadzał nas na nocleg do stodoły (jedynej prawdziwej areszt w Letnim Obozie, jak nam wyjaśnił Siergiej, zarezerwowany był dla bardziej niebezpiecznych ptaszków niż dwa głupki), po prostu waliliśmy się z nóg. Nigdy jeszcze ciało nie płonęło tak ogniem, nie bolały mnie tak kości, nie czułem się tak śmiertelnie zmęczony, że rankiem strach było wstawać i wychodzić na kolejne męki! Chłopaki Siergieja popatrywali na nas początkowo ze zdziwieniem, później z uznaniem. Zwłaszcza po tym, jak wielki książę Aleksander wywiózł synalka do swego oddziału. Sprzątająca ich komnaty służka Antośka opowiadała, że Jerzy chwalił się, iż ojciec ukarał go łagodnie, tylko tak, żeby nikt nie mówił, że w ogóle niczego nie zrobił. Jurek ponoć wyśmiewał się z księcia i jego przyjaciela...

Jedenastego dnia spaliśmy prawie do obiadu. I tak nie mieliśmy nic do roboty. Ojciec Wagrika odnalazł wilkołaki, zabrał ze sobą syna, którego termin pobytu w Obozie i tak już się kończył, i razem wyjechali. Siergiej na szczęście pozwolił mu się z nami pożegnać. Zakłęty krąg został zdjęty, lecz nie mieliśmy ochoty jechać na plac. Zrobiło się pusto... Jakoś przeczekaliśmy do wieczora. Następnego ranka wydał mi się gorszy od tych, kiedy trzeba było zerwać się i wyjść, zaciskając zęby, na plac apelowy. O wiele gorszy!

Wałęsając się pół godziny bez celu, poszliśmy w końcu do koszar i dołączyliśmy do żołnierzy biegających wokół dziedzińca z kamieniami w dłoniach. Na szczęście znaleźliśmy nasze cegielki...

- Było to chyba dwadzieścia lat temu - opowiada powoli Szkoda. Słuchamy go, siedząc jak równi z równymi wśród ludzi Siergieja. - Alarm podnieśli pracownicy warzelni soli. Szef przedsiębiorstwa przyszedł do kapitana garnizonu i poprosił o przydzielenie ochrony. Każdego ranka widzieli ogromne wilcze ślady, odcisnięte w gliniastym brzegu rzeczki, a poprzedniego wieczoru, gdy warzelnicy wracali z pracy, mignął im całkiem blisko przed nimi wielki szary cień i wszyscy uznali, że nie mógł to być zwykły wilk. Chociaż kapitan nie do końca im dowierzał, jednak przydzielił im dziesięciu strażników, sam zaś postanowił przeczesać las z pozostałymi.

Znowu milknie.

- I co? - odzywa się kilka niecierpliwych głosów.

- Wypadło tak - podejmuje Szkoda - że jedno skrzydło obławy znalazło odmieńca, a drugie wyszło prosto na jego legowisko. Dobiegało z niego żalosne skomlenie i niejeden wtedy pomyślał, że byłoby znacznie lepiej, gdyby wyskoczył im na spotkanie dorosły samiec.

Kapitan wyniósł młodego z legowiska.

- Wilczka? - pyta z ciekawością Ryży Jurek.

- Chłopczyka - kontynuuje żołnierz bez cienia uśmiechu. - Miał nie więcej niż pół roku i strasznie był wychudzony. Kapitan owinął go koszulą i zaniósł swojej żonie. Nikt w miasteczku ani okolicznych wioskach nie stracił dziecka, nikt zatem nie potrafił wyjaśnić, skąd wziął się dzieciak w legowisku wilkołaka i dlaczego odmieniec go nie rozszarpał. Co prawda, człowiek, który opowiadał mi tę historię, uważał, że kapitan niezbyt się starał wyjaśnić ową zagadkę. Odesłał księciu skórę wilkołaka, znajdzie zaś jego żona wykarmiła własnym mlekiem razem z ich synkiem.

Zbyt szybko Szkoda przeskoczył z wilkołaka na malca, myślę. Coś się jeszcze okaże!

- Matka nie wyróżniała rodzonego syna od przybłądy. Początkowo chłopcy razem uczyli się chodzić, później w braterskiej zgodzie przewracali dom do góry nogami... Nastął w końcu dzień, kiedy kapitan zaprowadził ich na dziedziniec koszar, żeby po raz pierwszy dosiedli konia. Zazwyczaj spokojna klaczka uskoczyła od chłopców niczym Nieczysty przed Bożą Światłością... Pewnie domyśliliście się już, dlaczego?

- Dlaczego? - powtarza pytanie Jasiek.

- Pachniało od nich bestią - mówi cicho Walerek.

- Tak, książę - odpowiada równie cicho Szkoda. - Najgorsze, że kapitan nie zrozumiał tego od razu. Poprosił jednego ze swoich ludzi, żeby przytrzymał klacz i podsadził syna na siodło.

- I co się stało? - cicho szepcze Drobny.

- Kobyła stanęła dęba i zrzuciła chłopca. Kapitan zdążył go złapać. I wtedy zorientował się, że w ramionach trzyma wilczka.

Szkoda znowu robi przerwę. Chłopcy spoglądają po sobie. Już rozumiem, czemu Szkoda tak często milknie. To takie ciekawe zgadywać, co było dalej! Tym razem jednak nie mam ochoty zgadywać. Co tu gadać - wszystko jasne. Ludzie i wilkołaki nigdy się nawzajem nie oszczędzają.

- Czas minął, Szkoda. - Kapitan wstaje i przeciąga się. - Chłopaki, dosyć laby! Kopie do rąk!

- Chociaż dowiedzmy się, jak to się wszystko skończyło? - naprasza się Płowowłósy Jurek.

- Pozwoli pan, kapitanie? - pyta z uśmiechem Szkoda.

- Tylko krótko - zezwała oficer.

- Dobrze, jeżeli krótko... Chociaż dzieciak okazał się odmieńcem, tak czy inaczej

pozostawał synem kapitana. Nikt nie odważył się go zabić. Kapitan postarał się dla niego o „końskie serce” i odtąd chłopcy razem uczyli się jazdy konnej. Nikt jednak nie wie, czym się to wszystko skończyło. Wyszło szydło z worka i rozpoznali w chłopcu odmieńca. Jeśli zaś ludzie boją się czegoś, lepiej nie stawać im na drodze. Na szczęście znalazł się człowiek, który się nie przestraszył. Kapitan szybko się pozbierał, wywiózł gdzieś żonę z dziećmi i tyle ich widziano. Odslużył już swoje na szczęście, więc nie uznali go za dezertera. To w skrócie wszystko.

Chłopcy wstają, chwytają za kopie... Ja jednak zatrzymuję się, by spytać jeszcze Szkodę:

- Co to jest „końskie serce”?

- Nie domyśliłeś się tego, Siwy? Amulet dobrej jazdy. Z nim koń nawet i odmieńca w siodle bez strachu uniesie!

Kiwam głową. Chciałbym jednak dowiedzieć się, co stało się później z tymi dwoma chłopakami!

## **7. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Chciałbym jednak dowiedzieć się, co stało się później z tymi dwoma chłopakami... To prawda. Jeden z nich jest bohaterem podania wraz ze świętym Karolem i powinienem poznać jego życie w związku z powierzonym mi zadaniem. O tym drugim wcześniej nie słyszeliśmy, lecz jest dla mnie bardziej interesujący i bliższy. Wydaje mi się, że on to ja. Prawdziwy ja.

# POBRATYMICY

## **1. OJCIEC JEREMIASZ, PRZEOR MISJI ŚWIĘTEGO KAROLA W LETNIM OBOZIE**

Nie jestem pewien, czy ojciec Laurenty powiedział nam przypadkiem o darze ojca przeora... Wątpię! Przed samym odjazdem do Letniego Obozu, kiedy ja i Walerek skończyliśmy trzynaście lat, już nas przejrzał na wskroś. Zdaje mi się, że wcześniej niż my zrozumiał, do czego postanowiliśmy dążyć.

Tamtego dnia ojciec Laurenty z jakiegoś powodu wspomniał starą legendę o wrogach pobratymcach. O dwóch żołnierzach, którzy wiernie służyli, jeden królowi, a drugi złemu księciu, wcześniej jednak razem dorastali i połączyli się czarem braterstwa, nim się ich drogi rozeszły.

- Nie wszystko pozostaje niezmiennie z upływem czasu - oznajmił zakonnik. - Któż wie, ile jest prawdy w legendach? Nie dlatego są cenne dla ludzi, że mówią prawdę, lecz dla uczuć, jakie wzbudzają w ich sercach. Ale czar braterstwa jest najprawdziwszą prawdą. Braterstwo Świętego Karola dochowało się aż do naszych czasów i każdy przeor potrafi rzucić ten czar. Nikt inny jednak, ponieważ nie jest to zwykle zaklęcie, lecz dar Boży.

- Dlaczego nie ma teraz ludzi dzielących taki czar? - zapytał Walerek. - A także prawie żadnych legend na ten temat? Myślę, że w dawnych czasach znali parę zaklęć!

- A dlaczego uznałeś, książe, że nie ma dziś takich ludzi? - żartobliwie pyta kapłan. - Tylko dlatego, że nie krzyczą na każdym kroku o tym, że gotowi są złączyć swoje życie z drugim człowiekiem? Ty sam, książe, nie będziesz opowiadał pierwszemu napotkanemu o tym, że zostałeś obdarzony czystą i szlachetną duszą.

- Nie wszyscy są tacy szlachetni - powiedziałem. - Nikt się nie zechciał pochwalić?

- Co do przechwałek, Sierioża, nikt nie zechce tak od razu rozdzielać swego serca i łączyć go z cudzym. Ludzie przechwalają się przed innymi swoją siłą, znaczeniem, bogactwem... zdarza się, że i wiedzą. Ale jeśli ktoś posiada szlachetną duszę, nie będzie krzychał o swojej sile, bogactwie czy wiedzy. O niczym. Nie każdy ma odwagę przyjąć czar braterstwa. A jeśli już zapagnie związać się z kimś pobratymstwem, wybierze zwykły żołnierski rytuał.

Nigdy nie sądziłem, że w starej legendzie może być ciekawa nie tylko historia. Że można ją odebrać zupełnie inaczej, bardziej osobiście, nie tak, jak byliśmy przyzwyczajeni. Nie postrzegać siebie, jako towarzyszy broni, lecz po prostu - jako Siwego i Walerka. Chłopaków mających jeszcze dwa lata do służby wojskowej. Te dwa lata miną jednak jak z bicza strzelił i powinniśmy być na to gotowi.

W Slaweszcie nie było misji kościelnej, była za to w Letnim Obozie. Dobrze poznaliśmy jej przeora, ojca Jeremiasza. Opowiadał o różnych ciekawych rzeczach nie gorzej od ojca Laurentego, nigdy jednak nie wspominał o czarach braterstwa. W drodze na obóz postanowiliśmy twardo go zapytać, dlaczego.

Pytamy więc. Ojciec Jeremiasz śmieje się w odpowiedzi i mówi:

- Nie pytaliście o to, dzieciaki.

- Mało o co nie pytaliśmy - sprzeciwia się Walerek.

- Mało o co - przedrzeźnia go przeor. - To znaczy za mało. Istnieje wiedza, którą przekazuje się tylko temu, kto o nią zapyta.

- Jak mogliśmy zapytać o coś, skoro nie wiedzieliśmy, że to istnieje! Ktoś nam o tym opowiedział, ojcie Jeremiaszu, bez zbędnych pytań.

- Wielu o tym opowiadano... - Zakonnik unosi palec wskazujący i dotyka nim piersi księcia. - Czar braterstwa nie jest żadną tajemnicą, lecz nie wszystko jest godne wiary. To droga jedynie dla wybranych. Jak myślicie, czy wielu, którzy o tym słyszeli, idzie zaraz do najbliższej misji?

- Więc to prawda - mówi zamyślony Walerek. - Jeśli jeden wpada w opresję, drugi to wyczuwa. Skoro jeden się zmęczy, drugi używa mu swojej siły. Myślałem, że tak bywało tylko w czasach dawnych bohaterów, jak w tych legendach, w których jeśli jeden ginie, drugi przywraca go życiu!

- Masz rację, książę. W dawnych czasach czary braterstwa nie były aż taką rzadkością.

- Więc legendy mówią prawdę?

- Powiedzmy, że kłamią nie więcej niż wracający z wojny żołnierz samochwała.

- I możesz to dla nas uczynić, ojcie Jeremiaszu?

- Dla was? - powtarza pytanie kapłan. - Na pewno tego chcesz, książę Walerianie? Jesteś gotów na wszystko, co przyniesie prawdziwe braterstwo?

- Bez dwóch zdań - odpowiada Walerek.

- A ty, Sierioża? - Zakonnik przygląda się mi przenikliwie.

- Tak - odpowiadam - jestem gotów na wszystko, bez dwóch zdań.

- Złączenie czarem braterstwa - oznajmia przeor, kręcąc siwą głową - to nawet więcej

niż związek krwi. Nie za wiele przyjemności dla przyszłego króla?

- W sam raz - odpowiada gniewnie książę. - I co komu do tego?

- Przede wszystkim chodzi o was. Twój brat, książę, może się stać łakomym kąskiem w rozmaitych dworskich intrygach. Bez jego woli i często w całkiem nieoczekiwanych momentach. Czy zdoła udźwignąć taki ciężar?

- Wszystko to może zdarzyć się także dlatego, że Sierioża jest moim przyjacielem. Znasz nas przecież obu, ojcze Jeremiaszu. Po co te pytania?

- Jeśli nawet znam odpowiedzi, dzieciaku, to jeszcze nie znaczy, że mam odstąpić od ustalonego porządku. Powinniście odpowiedzieć na wszystkie moje pytania, a wtedy zdecyduję...

- Wybacz, ojcze. Pytaj, a my odpowiemy.

Przeor kiwa poważnie głową bez śladu zwykłej dlań wesołości. Nagle zaczynam się bać. Nie tego, że nam odmówi, bardziej tego, że się zgodzi. Ciarki mi chodzą po plecach.

- A ty, Siwy, nie sądzisz, że to dla ciebie za wysokie progi? Brat następcy tronu to jednak nie to samo, co zwyczajny towarzysz broni.

- Książę, czy towarzysz broni, zawsze to Walerek - odpowiadam. - Jest moim najlepszym przyjacielem.

- Lecz miną lata i stanie się twoim panem i władcą. Jesteś na to gotów?

- Jest tego godzien.

- A ty, Walerianie, gotów będziesz potraktować brata jak wasala, kiedy będzie tego wymagał interes państwa?

- Obaj uznajemy system wasalny i rozumiemy, czym jest interes państwa, lecz do tej pory nie przeszkadzało nam się to przyjaźnić. Kiedy zostanę królem, Sierioża będzie moim kapitanem, lecz daleko jeszcze do tego! Teraz jesteśmy dla siebie braćmi i przyjaciółmi. Pobratymstwo jest nam potrzebne nie po to, żeby umocnić tę przyjaźń, lecz żeby w razie czego pomagać sobie nawzajem.

- Skoro tak, nie mogę wam odmówić obrzędu. Walerianie, Siergieju! - Kapłan skłania przed nami poważnie głowę, jak przed dorosłymi. - Możecie wejść teraz ze mną do kaplicy Bractwa. Uważam, że jesteście tego godni.

- Proszę, dzieciaki. - Ojciec Jeremiasz dyszy ciężko. - Wasze odznaki braterstwa stały się teraz prawdziwymi amuletami. Zawierają prawdziwe czary, a nie głupie sztuczki, jakie zadziwiają tylko ludzi ciemnych i nieświadomych. Jesteście związani wieczną przyjaźnią, rodzowymi talizmanami skropionymi waszą krwią, więc czar braterstwa się spełnił.

- Dziękujemy, ojcze Jeremiaszu - mówi Siwy z szerokim uśmiechem.

- Dziękuję - dodaje poważniej Walerek. - Więc teraz, jeśli jeden z nas zginie...

- Widzisz, dziecko, to jest akurat ten przypadek, w którym trudno przewidzieć rezultat. Nadzieja wprawdzie istnieje, ale... Lepiej żebyście nie wyzywali losu.

- Mimo wszystko wyjaśnij to, ojcze Jeremiaszu - prosi roztropnie Walerek. - Wszystko może się zdarzyć.

- Odtąd jesteście związani poprzez amulety. Nie chodzi tylko o kontakt myślowy, owa więź jest znacznie głębsza i z czasem stanie się dla was tak naturalna, jak oddychanie. Zdarzało się wam przekazywać sygnały arkanem?

- Oczywiście, każdy chłopak to umie.

- Każdy zwykły chłopak. Cieszę się, że nasz przyszły król zna zabawy żołnierzy i pastuchów. Sygnały, które przejdą po niewidzialnej linii między waszymi amuletami, przekazuje nie rozum, lecz ciało i dusza. Skoro z ciałem dzieje się coś złego, wtedy wzywa pomocy. Nawet wtedy, gdy z całej siły zaciśniesz zęby i nie wydasz jęku. Nie każdy krzyk jest słyszalny. Niesłyszalny także uruchomi amulet przyjaciela. A dusza... Nie zdołasz wskresić tego, kto zginął w boju, jest śmiertelnie ranny lub nieuleczalnie chory. Ludziom nie jest dana wszechmoc i głupio jej pragnąć. Jeśli jednak ciału zabrakło sił lub, jak to się czasem zdarza, wyssano z człowieka całą energię życiową, lecz organizm pozostał nienaruszony, wtedy pobratymiec może go wskresić. Jeśli pragnie tego z całej duszy i poświęci wszystkie siły.

- Ale to zadziała? Wystarczy po prostu chcieć? - Tym razem Walerek uśmiecha się radośnie.

- Nie tak całkiem „po prostu”, dzieciaku. Każdy z was może przelać swą siłę słabszemu. Podzielić się radością i wziąć na siebie ból drugiego. Dopóki żyje pobratymiec, można wiele mu pomóc, jeśli się tego chce. W walce ze śmiercią nie wystarczy jednak nasze pragnienie. Trzeba się modlić z całej duszy i z głębi serca. Macie szczerą wiarę?

- Oczywiście. - Siwy wzrusza ramionami.

- Może nie tak głęboką, by liczyć na cud Boży - dodaje cicho Walerek.

- Powinienem był tak rzec: „Daj wam Boże ciężką próbę, byście mogli umocnić się w wierze waszej”. Nie życzę wam jednak czegoś takiego. Niech Bóg obdarzy cię długim życiem, pełnym rozważnych czynów, mój książę i przyszły królu. Niechaj Pan da ci siły, Siergieju, by towarzyszyć swemu władcy, chroniąc wasze braterstwo. Błogosławię was w imię Boże, dzieciaki...

## **2. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

## ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE

Nie zdołałem zobaczyć obrzędu. Wizja przygasła na chwilę i obraz się zmienił. Kiedy próbowałem powtórzyć, stało się to samo. Za trzecim razem także.

Widocznie nie każdy może przeniknąć wszystkie tajemnice.

Po obrzędzie „srebrne ziele” znalazło się na przegubie księcia Waleriana. Na piersi zaś Siwego wisiał na trójkolorowym „szczęśliwym” sznurze rodowy królewski amulet: srebrny wilk stepowy z ametystowymi ślepiami. Ten, który jakoby sam król Walerian podarował naszemu klasztorowi...

Zadziwiająco! Leżą przede mną dwa amulety chłopców związanych ze sobą czarem braterstwa. Razem, jak niegdyś stało obok siebie dwóch trzynastoletnich wyrostków...

Biorę do ręki srebrnego wilka. Tylko tak, nie dla wizji. Podnoszę do oczu, by przeszył mnie swymi ametystowymi ślepiami. Zdaje mi się w tej chwili rozmytą, niekształną plamą srebra z fioletowym poblaskiem, chociaż dobrze pamiętam jego prawdziwy kształt.

W jaki sposób wróciłeś do Walerka, bystrooki przyjacielu?

Być może kiedyś się tego dowiem...

### 3. DZIELNA SIOSTRZYCZKA

Ojciec Laurenty, który jest rannym ptaszkiem, przyłapał naszą trójkę, jak zakładaliśmy kredową pułapkę nad drzwiami opata Eugeniusza. Gdyby otworzył drzwi, cienki papier rozerwałby się i biały proszek obsypałby Figuszkina od stóp do głów. Kredowy miał przynieśliśmy wczoraj z Walerkiem z kaplicy. Można pomyśleć, że to zbyt mało, by kogoś wybielić! W każdym razie wystarczy, by obsypać opata - całkiem udane przedsięwzięcie!

Ojciec Laurenty uważa jednak inaczej.

Zgadza się z nim, że podobne wybryki niegodne są czternastoletnich młodzików. Nie chodzi zresztą o nas. Może to ogólnie nieodpowiednie dla nas zajęcie, ale nie mogliśmy zostawić Zofii samej. Mamy siostrzyczkę urwisa, którą lepiej przypilnować.

Gotową do użytku pułpkę kapłan odstawia wraz z nami przed królewskie oblicze. Nie potrzeba długich wyjaśnień.

Wydaje mi się, że monarcha z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Zaczyna jednak surowo:

- Na dodatek brała w tym udział szlachetnie urodzona dziewczeczka, córka pierwszej damy dworu! Jak wam nie wstyd?!

- Nie wstyd! - hardo oznajmia Zosia. - Niech Figuszkina innym daje po karku, a mnie



zostawi w spokoju!

- Mnie także nie wstyd - powtarzam za nią. - Niech Figuszkina innym daje po karku, a od mojej siostry niech się odczepi!

- Tobie także nie wstyd - mówi uśmiechnięty król, popatrując na syna - nieprawdaż?

- Oczywiście - odpowiada księżę, naśladując namaszczonego tonem opata Eugeniusza. - Stanać w obronie damy, zwłaszcza zaiste szlachetnej damy, jest najważniejszym obowiązkiem dworzanina, zwłaszcza zaiste tego szlachcica, którego Opatrzność ustanowiła jej opiekunem...

- Wystarczy, już rozumiem! - przerywa władca, chichocząc. - Och! Cóż za szlachetnych obrońców ma owa piękna dama! Zofio, pamiętaj, że wasz nauczyciel jest Bożym sługą.

- I tak mu coś jeszcze wykręcę - mruczy Zosia pod nosem, niby do siebie, ale tak, że wszyscy słyszą.

- Zofio! - Nasz pogromca kręci głową z dezaprobatą. - Cóż to za mina u dobrze wychowanej panienki? Uśmiechnij się. Dwunastoletnie dziewczę nie powinno tak się krzywić i burczeć pod nosem. Dość będziesz miała do tego okazji na starość.

Zofia parska śmiechem. Podbiega do ojca Laurentego, chwytając go za rękę, obraca w stronę króla i woła:

- Ojciec Laurenty także jest sługą Bożym! Może mógłby nas uczyć?

- Dziecko, mam inne obowiązki wobec Boga i króla - mówi z westchnieniem kapłan. - Nie sądzę, żebym był dobrym nauczycielem...

- Z Figuszkina tym bardziej żaden nauczyciel - prychnął ze złością Walerek. - Ja także wolałbym być twoim uczniem, ojcze Laurenty.

Król pochrząkuje, przeczesując palcami brodę. Wreszcie powiada:

- Ciężka sprawa. Myślę, ojcze Laurenty, że najlepiej będzie wybaczyć Zofii ten wybryk. Tym bardziej że opat nie został uszkodzony... i chyba nawet nie wie, co go czekało?

- Gdyby wiedział, dopiero narobiłby hałasu - prychnął znowu Walerek.

Ojciec Laurenty nie sprzeciwia się władcy ani jego synowi. Zamiast tego udziela nam błogosławieństwa i mówi, znowu wzdychając:

- Pójdę już. Mam za pół godziny spotkanie, w którym lepiej uczestniczyć ze świeżym umysłem.

- Piękna dama także może już iść. - Król głaszcze Zosię po główce i delikatnie popycha w stronę drzwi.

- Nigdzie nie pójdę! - Siostrzyczka wymyka się spod królewskiej dłoni. - To ja wymyśliłam zasadzkę, chłopcy mi tylko pomogli! Wybacz nam wszystkim albo ukarż nas wszystkich!

- Trzymacie ze sobą - stwierdza król. - Zosiu, nasz opat rzeczywiście nie jest najlepszym nauczycielem, ale nie należy go z tego powodu obsypywać kredą ani polewać wodą... Co ci jeszcze wpadło do głowy? Takie figle tylko go rozzłoszczą. Obiecuj mi, że więcej nie będziesz, a wszyscy troje odejdziecie w spokoju.

- Dobrze - odpowiada z ponurą miną. - Obiecuję, mój królu.

- To świetnie - stwierdza monarcha z zadowolonym uśmiechem. - Idźcie już, dzieci i więcej nie radujcie Nieczystego!

Chichoczymy, gdyż okazuje się, że nasz władca także umie naśladować ton Figuszkina!

Już przy samych drzwiach zatrzymuje nas wcale niewesoły okrzyk:

- Walerku, po śniadaniu znowu idziecie do Siergieja?

- Tak, ojczec - odpowiada, spoglądając przez ramię.

- Zajrzyj wcześniej do mnie, synu.

#### **4. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

##### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

O wschodzie słońca kładę na stole srebrnego bystrookiego wilka. Uśmiecham się, myśląc o Zosi. Przydałaby mi się taka siostrzyczka!

No cóż, posłuchajmy, co król Andrzej chciał powiedzieć swojemu następcy...

#### **5. WALERIAN, SYN KRÓLA I PRZYSZŁY KRÓL**

- Zaczekam na ciebie - proponuje Siwy.

- Aha, a kapitan będzie na nas czekał - odpowiada Walerek. - Może parę minut, a może trzy godziny. Lepiej idź, potem do was dołączę.

Zza rogu wybiega Zosia.

- Zapomniałeś o mnie, Siwy?

- Pamiętam - odpowiada ze śmiechem. - Chcesz jeździć konno w sukience?

- Przebiorę się. - Pokazuje bratu węzełek i ciągnie go za rękę do wyjścia.

Walerek wbiega po wielkich, szerokich schodach, przeskakując po dwa stopnie. Pozdrawia wartownika u drzwi gabinetu:

- Dzień dobry, Jasiek!

- Dzień dobry, książę! - Jasiek odsuwa się, dając przejść księciu.

Walerek zagląda do środka.

- Mogę, ojczy?

- Wejdz. - Król czeka, aż jego syn zamknie porządnie za sobą drzwi i wskazuje mu miejsce za stołem narad. - Siadaj.

Walerek podchodzi bliżej. Nie ma na razie prawa zasiadać za tym biurkiem, chociaż ojciec już od dwóch lat wymaga jego obecności na radzie królewskiej. Milczącej obecności: ma słuchać i uczyć się. Zawsze musi być gotów odpowiedzieć ojcu, czy wszystko zrozumiał.

- Jeszcze nie dorosłem, by tutaj siedzieć - oznajmia. - Kiedy odśluzę swoje...

- Jak widzę, domyśliłeś się, o czym będziemy rozmawiać - zauważa cicho król.

- Od dawna na to czekam - odpowiada równie cicho Walerek. - Za dwa miesiące kończę piętnaście lat, a Sierioża za dwa tygodnie. Pora coś postanowić...

- Znowu się namówiliście z Sieriożą?

- Oczywiście, tylko nie „namówiliśmy się”, lecz coś omówiliśmy.

- Już nie jesteś chłopcem - zauważa król. - Prędko dorosłeś, synku. Omówiliście także, gdzie chcielibyście służyć?

Walerek milczy, patrząc ojcu prosto w oczy. Król również nie siada. Podchodzi do syna i ogarnia jego postać wyjątkowo chmurnym spojrzeniem.

- Już dawno - odpowiada w końcu książę. - Oczywiście, dobrze byłoby służyć pod Siergiejem. Jak to jednak będzie wyglądać, skoro następca tronu będzie odbywać służbę w królewskiej drużynie? Władca oczekuje poświęceń od innych, ale nie od własnego syna? A przyszły władca nie doświadczy nawet tych trudności, jakie dotyczą innych? Niech lepiej tak gadają o Jurku!

- Więc tak to widzisz... Służba u ojca nie przynosi chluby ani ojcu, ani synowi. Jerzy jeszcze kiedyś pożałuje tego wyboru. Mów dalej, Walerku.

- Strażnica na południu - mówi Walerek, wciąż patrząc w oczy ojca. - Granica między Wielkimi Stepami a Ogromnym Koczowiskiem. Tylko tam twoi wasale naprawdę boją się wysłać swoich synów. Tylko wtedy nikt nam nie będzie miał niczego do zarzucenia. I tylko taka służba może zostać uznana za odpowiednią dla przyszłego króla.

Król obejmuje syna i przyciska do szerokiej piersi. Walerek dotyka nosem wytartego zamszu ojcowskiego kaftana i słyszy bijące mocno serce...

- Jestem z ciebie dumny, Walerku - oznajmia władca ochryple. - Mam godnego następcę. Niemniej jednak, podobnie jak moi wasale, lękam się o swego syna...

- Tato!

Król puszcza go i pyta:

- Co, synku?

- Ja także się boję. Jeśli zapytasz Sieriożę, odpowie ci tak samo. Ja i Siwy jesteśmy gotowi na tę służbę. Od dawna to postanowiliśmy. A jakby co... masz jeszcze Jegorka.

Król wzdryga się i odpowiada szybko, dosyć oschle:

- Żadnego „jakby”, synu. Potrzebny mi jesteś żywy.

- Więc nie będzie żadnego „jakby” - powiada z lekkim uśmiechem Walerek. - Szykujemy się do tego już dwa lata. Wiemy, że to nie żarty...

Andrzej podchodzi do ściany i otwiera tajne przejście.

- Małgorzato!

Walerek podbiega do ojca i zagląda do komnaty rodziców. Matka podnosi oczy znad robótki z radosnym uśmiechem. Pragnie coś powiedzieć, ale mąż jej nie daje.

- Małgorzato, wezwij Julię i Gustawa, potem przyjdźcie tu razem.

- Dobrze, Andrzej! - Małgorzata wbija igłę w poduszeczkę, wstaje i prędko się oddala, posyłając mężowi kolejny miły uśmiech.

- Ty zaś, synu, przyprowadź Sieriożę i Siergieja.

- Zgadzasz się więc?

- Tak - mówi król z westchnieniem. - Jesteś odważniejszy ode mnie, Walerku. Kiedyś sam o tym myślałem, ale... Chciałbym tylko, żeby Siergiej potwierdził, że jesteście na to gotowi.

- Dobrze, tato!

Kiedy księżę wraca razem z Siwym i kapitanem, widać wyraźnie, że monarcha zdążył już powiedzieć pozostałym o ich decyzji. Małgorzata i Julia trzymają się za ręce, zupełnie jak dwie dziewczynki zagubione w nieznanym i strasznym miejscu. Gustaw, stojący obok króla, jest wyraźnie uradowany! Niemożliwe, osadza sam siebie Walerek. Na pewno mój ojciec zapytał go tylko, jak wiele się nauczyliśmy i wydał nam dobrą opinię, skoro sam nas uczył fechtunku. Co prawda niewiele mogli zdziałać dwiema szpadami przeciw jego pałce i sam wczoraj powiedział, że według kryteriów Targali ciągle jesteśmy żółtodziobami... ale zaraz potem dodał, że nie ma od nas lepszych!

Małgorzata i Julia wzdrygają się, widząc synów. Wolą się jednak nie wtrącać do męskich spraw. Ich synowie dorośli.

Walerek oczywiście żałuje, że szczęśliwy uśmiech zniknął z pobladłej twarzy królowej. Ona także musi jednak zrozumieć, że nie może być inaczej.

- Miłościwy panie! - Kapitan saltuje, czego zazwyczaj się odeń nie wymaga, chyba że na świątecznej paradzie.

- Mam do ciebie pytanie, kapitanie - mówi spokojnie król. - Czy mogę wysłać chłopców na południową granicę?

- Walerek już mi powiedział - oznajmia oficer. - Właściwie zaliczyłbym im do służby ostatnie dwa lata. Zdążyli się nauczyć wszystkiego, czego uczę swoich rekrutów. Tak, panie, są dobrze przygotowani i można ich wysłać.

- Trzeba - poprawia go cichcem Walerek.

- Tak, książę! - przytakuje kapitan. - To godne króla. Ja bym jednak, najjaśniejszy panie, wysłał jeszcze z nimi trzeciego. Któregoś z moich chłopaków albo od Waśki. - Dodaje zaraz, uprzedzając możliwe sprzeciwy młodzików: - Chociażby dla uspokojenia waszych matek, chłopcy.

Król kręci głową.

- W strażnicy nie powinni wiedzieć, że służy u nich przyszły król. To zbyt niebezpieczne. Rozprawiliśmy się z Gordiuszem, lecz nie mogę zaręczyć, czy któryś z pozostałych książąt nie knuje kolejnego spisku. Nawet Waśka nie wie wszystkiego. Dlatego nikt nie powinien się dowiedzieć...

- Nie dowie się, miłościwy panie - mówi z przekonaniem kapitan. - Mój człowiek nie powinien odgrywać roli ochroniarza. Wystarczy, że będzie na tym samym posterunku. Choć zapewne nie zawsze mu się uda być w pobliżu, gdy zajdzie taka potrzeba. W każdym razie lepsze to niż wysyłać ich całkiem bez pomocy.

- Inni służą bez pomocy - zauważa Walerek.

- Na innych nie spoczywa taka odpowiedzialność, książę - odpowiada ostro kapitan. - Nie chcielibyśmy stracić przyszłego króla. Skoro ci się to nie podoba, możemy znaleźć inny posterunek. Na przykład nadmorską twierdzę na północy. Tam także nikt nie chce jechać, bo nudno.

- Poddaję się - woła ze śmiechem Walerek.

Król kiwa powoli głową.

- Znajdź ochotnika, kapitanie - powiada głucho. - Żeby wiedział, co go czeka i nie żałował...

- Znajdę dość ochotników - zapewnia oficer. - Wybiorę najlepszego.

## **6. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Wielkie Stepy... Pamiętam, co opowiadał o nich Waśka, lecz wydaje mi się, że powinienem sobie przypomnieć coś jeszcze. Szczegół ukryty w najciemniejszych zakamarkach umysłu... Resztę wieczoru przywołuję w pamięci usłyszane rozmowy. Przypominam też sobie mapę, tak wyraźnie, jakbym miał ją przed oczami: ozdobne napisy WIELKIE STEPY i OGROMNE KOCZOWISKO, czarna linia granicy oddzielająca je od siebie i zaznaczona czerwoną basztą strażnica. Uczucie czegoś zgubionego w pamięci staje się od tego jeszcze silniejsze.

Kładę się spać... i zrywam się w środku nocy, słysząc cudzą myśl, wypowiedaną znajomym głosem...

- Nie byłoby trudno przyłączyć Koczowisko. Problem polega na tym, że Orda trzyma w garści Błogosławiony Kalifat. Zepsuć handel i rozpocząć wojnę z powodu paru przygranicznych nabytków? Nie ma sensu, Małgorzato! Znosił to mój ojciec, więc i ja muszę...

- Zaczekaj, mój panie mężu, aż Walerek podrośnie! Chętnie zobaczę, jak nakłonisz go do cierpliwości!

Małeńki Walerek chwyta rączką włosy matki i ciągnie za nie. Król ostrożnie odbiera synka małżoncy. Walerek gaworzy śmiesznie i łapie za błyszczącą ozdobę na ojcowskiej piersi. Srebrny wilk spogląda na malca fioletowymi ślepiami...

Pamięć... Wcześniej nie widziałem tej sceny. Po cóż miałbym oglądać syna Andrzeja i Małgorzaty w niemowlęctwie? Przewielebny by tego nie pochwalił, że oglądam go teraz, gdyby nie rozkaz królewski.

Skoro nie widziałem tej sceny, skąd nagle się wzięła?

Widocznie srebrny wilk z ametystowymi ślepiami spoglądał na mnie nie bez powodu. Nie bez powodu też mówią, że wschodnie amulety są silniejsze od naszych. Dzięki.

Może dlatego, wilku, czujesz moją więź z owym chłopcem, że należałeś do niego?

# STRAŻNICA NA POŁUDNIU

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Wielkie Stepy istotnie okazują się spore. Nie zatrzymując się bez potrzeby, Walerek, Siwy i Jasiek jechali do południowej strażnicy cały miesiąc. Początkowo gnali Ordyńskim Traktem, mijając nanizane jak na wielką nić wioski i miasteczka, gospody i garnizony. Kiedy zaś trakt skręcił na wschód, ruszyli ledwie widocznym tropem przez step, omijając twierdze i wieże sygnalizacyjne, stada owiec i końskie tabuny oraz rzadkie koczowiska tubylców.

Wspominali po drodze dzień wyjazdu ze Slawesztu. Bardzo im zależało, żeby nowy dowódca nie uznał rekrutów za powolnych, tym bardziej że mieli dwa niestrudzone stepowe konie, podarunek plemienia Srebrnych Lisów. Stawali na nocleg o zmierzchu, dając koniom się popaść, sami zaś warzyli na małym ogniu wieczerzę i śniadanie. Potem znowu jechali do wieczora, trochę klusem, trochę galopem, czasem prowadząc rumaki za uzdę.

Nie ma sensu, myślę każdego ranka, tracić czasu na podróż, podczas której nic ważnego nie zaszło. Dla naszego króla ważniejsze są Slaweszt, Letni Obóz lub przygraniczna strażnica. Dla Przewielebnego późniejsze zdarzenia, kiedy Walerek powróci na Złoty Półwysep. Wciąż jednak wspominam jazdę po stepie, podczas której nic się nie dzieje, oprócz niej samej. Wiem, że kierują mną próżna ciekawość i żenująca zawiść, dla których nie ma usprawiedliwienia. Nie jestem jednak w stanie się opanować.

Step zalany gorącym słońcem późnej wiosny, pod bladym nieboskłonem dźwięczący śpiewem skowronka. Zieleń przetykana srebrem, tu i ówdzie krwawe plamy nieznanych gdzie indziej kwiatów. Wysokie trawy falujące na wietrze. Ciemnozłote tabuny koni, szarobiałe stada owiec. Wiatr wiejący prosto w twarz południowym żarem i chłodem poranka. Ognisko wśród ciemnej nocy. Jego poblask zmieszany ze światłem księżyca...

Cudze życie.

Prawdziwe życie.

## **2. REKRUCI ZE STOLICY**

Rekruci zatrzymują konie, widząc przed sobą trójkę jeźdźców odzianych w grube kurty, w okrywających tył głowy wielkich czapach i wysokich solidnych butach, na małych stepowych konikach.

- Ludzie stepu nie jeżdżą trójkami - mruczy Walerek, gładząc od niechcienia rękojeść szabli. Siwy ściąga wodze: zawsze zyska parę sekund, żeby złożyć się do strzału...

- To patrol ze strażnicy - mówi uspokajająco Marek, przydany im w ostatniej twierdzy za przewodnika. - A co myśleliście?

Oddziałek zatrzymuje się. Dowódca, potężnie zbudowany weteran z obwisłymi wąsami, kiwa na powitanie Markowi i uważnie przygląda się trzem przybyszom: widać, że ocenia stan wychudłych koni, odpowiednie do jazdy po stepie skórzane pancerze, a także pozornie spokojne dłonie, gotowe w każdej chwili dobyć oręża. Burczy:

- Co to za jedni?

- Nowi rekruci dla was - wyjaśnia Marek. - Moje uszanowanie, Afonia. Jak żyjesz?

- A tak, pomaleńku - mruczy Afonia spod wąsa. - Zajrzysz do nas?

- Chciałbym - odpowiada z westchnieniem przewodnik - ale mam rozkaz wrócić przed zmrokiem.

Dowódca zerka na słońce.

- No to, bywaj... Jedziemy, chłopcy. Nie chwytajcie tylko bez potrzeby za broń, dobra?

- Jasna sprawa - odpowiada Jasiak.

Strażnica wynurza się powoli z morza traw. Najpierw wieża sygnalizacyjna, później zębate mury z ciosanego kamienia z otworami strzelniczymi, z wysuniętymi wysokimi basztami.

- Solidnie wygląda - mówi Walerek, zadzierając głowę i mierząc wzrokiem wysokość murów.

- Jeśli jeszcze do tego na przedpolach są jakieś pułapki... - dodaje Jasiak pytającym tonem.

- To, na razie, nie twoja sprawa - warczy wąsacz - i nie ma co tam zerkać. Przyjdzie czas, sami wam wszystko pokażemy.

Kamienna strażnica rośnie w oczach, zdaje się przesłaniać pół nieba. Żółtodzioby wjeżdżają teraz przez wąski korytarz wielkiej podwójnej bramy.

Za wrotami ukazuje się zdumiewająco przestronny dziedziniec. Koszary, stajnie, magazyny są jakby przylepione do murów, nie ujmując niczego z obszernej polaci majdanu z rzadka porośniętego trawą. Młodzieńcy zsiadają z koni, rozglądając się bystro dokoła.

Czują napływający z kuchni odurzający, wspaniały zapach świeżo wypieczonego



chleba. Widzą studnię, stóg siana. W sianie wyleguje się półnagi opalony chłopak. W dalszym końcu placu widać kuźnię. Podskoczył do nich pies owczarek i obwąchał nowych.

- Spokój, Szarik! - Wąsaty Afonia klepie kudłatą mordę. - To prawie swoi. Jak wrócimy od kapitana, lepiej ich poznasz. Chodźcie za mną, chłopaki.

Kwaterna kapitana mieści się po wewnętrznej stronie bramy, pomiędzy basztą a koszarami.

- Nowi rekruci - oznajmia wąsacz, otwierając drzwi. - Chcesz ich zobaczyć?

- Wejdźcie - odzywa się oficer.

- Dałbyś ich do mnie, Eryku? - Afonia wchodzi pierwszy do pokoju i przysiada pod ścianą na skrzypiącej żałośnie ławie.

Rekruci stają w progu. Kapitan mierzy ich spojrzeniem, zatrzymując je dłużej na Jaśku.

- Chociaż jeden jako tako wygląda - powiada.

Potem znów mierzy młodzików mrocznym spojrzeniem, jakby oczekując sprzeciwów.

W końcu wyciąga rękę i rzuca:

- Skierowanie.

Jasiek podaje nieco wymiętą w drodze kopertę. Kapitan rozpieczętowuje ją i przebiega wzrokiem pismo, pogwizdując.

- O co chodzi? - pyta Afonia.

- Ze stolicy.

Weteran krzywi się samym kącikiem ust.

- Szybko dojechaliście - podejmuje kapitan. - Nie robiliście dziennych postojów?

- Jak zwykle w drodze. - Jasiek lekko wzrusza ramionami. - W ogóle mało stawaliśmy, to wszystko.

- Poganiałeś ich? - pyta bez ogródek kapitan.

- Nie było po co - odpowiada spokojnie żołnierz. - Chłopaki są silne, nie narzekali.

Konie też mieliśmy dobre.

- W dwadzieścia cztery dni ze stolicy - oznajmia oficer wąsaczowi. - Możesz wziąć wszystkich trzech. Janie, Walerianie, Siergieju poznajcie waszego dziesiątnika, Afanasija. Ja zaś, jeśli ktoś jeszcze nie zauważył, jestem kapitan Eryk. W ważnej sprawie można do mnie meldować się o każdej porze dnia i nocy. Rozłokuj chłopców, Afonia.

- No, szczęściarze - mówi weteran, spoglądając na rekrutów - zobaczymy, na co was stać. Chodźcie, jak was tam zwa... Janie, Walerianie, Siergieju.

- Ojej - zauważa Jasiek, kręcąc głową - do tej pory nikt nie zwracał się do mnie

pełnym imieniem, a i chłopaki jeszcze do tego nie dorośli. Prosimy mówić do nas: Jasiak, Walerek i Siwy.

- Tak będzie chyba lepiej - mówi dziesiętnik, chichocząc.

Szarik czeka na nas za progiem.

- No, teraz możesz ich poznać - powiada do psa podoficer. - Żółtodzioby aż z samej stolicy.

Jasiak ufnie gładzi psa po kosmatym łbie.

- I co w tym niezwykłego? - pyta Walerek. - Nie ma tutaj więcej chłopaków ze stolicy?

- Może gdzieś są - prycha Afonia. - Wiecie chociaż, dzieciaki, w co wpadliście?

Siwy przysiada w kucki i targa Szarika za uszy, prawie się z nim liże. Pies powarkuje z zadowoleniem, wzniesając ogonem tumany kurzu.

- Chyba do jakiejś strażnicy - odpowiada Walerek - na południowej granicy Dwunastu Ziem. A może zabłądziliśmy?

- Żartowniś, co? Wkrótce zrozumiesz, co to znaczy: strażnica.

- Wiemy, co to strażnica - mówi Siwy, wstając. - Przyjechaliśmy tutaj na służbę, nie do cioci na imieniny.

Szarik szczeka głębokim basem.

- No to idźcie się rozpakować - poleca dziesiętnik, wskazując na konie. - Potem zabiorę was do kwater.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Lato przyszło wczesnie. Wydaje się, że dopiero co kwitły wiśnie w naszym sadzie, a oto nadeszła pora pierwszego zbierania poziomek i dojrzewania porzeczek. Chandzarski kupiec przyniósł nam wiadomość od Przewielebnego: dotarł do Icz-Toiwina nie bez przeszkód, ale z Bożą pomocą zdążył dojechać na początku jesieni.

List Ojca Przewielebnego odczytują nam po wieczornym nabożeństwie, ponieważ przekazał w nim błogosławieństwo nam wszystkim. Wspomniał też o moim dochodzeniu, zwracając uwagę, jak ważne jest dla poznania prawdy.

Ja zaś tyle czasu straciłem!

Na co mi ta strażnica i jaki pożytek dla pogłębienia wiedzy o Trudnych Czasach z obserwowania niełatwej służby dwóch chłopaków-pobratymców w innym kraju, na dalekiej rubieży! Nie mogę ich jednak tak zwyczajnie zostawić...

#### 4. REKRUT SIERGIEJ

Wsluchuję się w noc.

Tutejsza noc jest całkiem inna niż w Slaweszcie, a nawet w Letnim Obozie, cichsza i bardziej jednostajna. Senne prychanie koni, cykanie koników polnych, sowie pohukiwania i odległe wycie wilków. W ogóle nie słysząc ludzi.

Chodzę wzdłuż stajni, trzydzieści kroków od końca do końca. Ściana z białawego kamienia, w dzień brudna i ochlapana, odbija nocą księżycową poświatę. Tylko ona i księżyc rozpraszają panującą wokół ciemność, oddzielając mój posterunek od reszty świata.

Noce są tutaj mroczne. Nie zdążyłem się jeszcze przyzwycząć, trzeci raz dopiero trzymam nocną wartę. Oczywiście kapitan daje nam „sowie oko” pozwalające dostrzec nawet najmniejszą trawkę, ale ta południowa ciemność i tak mnie przeraża.

Nasz dziesiętnik słyszy wszystkie nocne odgłosy równie dobrze jak chrapanie wujka Ignacego. Mogę jedynie stwierdzić, że jeszcze nie minęła północ. O tej porze kapitan obchodzi posterunki z kociołkiem gorącej kawy. Jest obrzydliwa w smaku, za to skutecznie przegania sen. Gienek, który służył wcześniej na dwóch wieżach sygnalizacyjnych, powtarza przed każdą wartą, że kawa dla nocnej straży to wymysł kapitana. Na wieżach budzili go kopniakami.

Król jak zwykle wykazał się przebiegłością, rozmyślam nie wiem już który raz. Wyprawił syna na południową granicę, lecz strażnicę wybrał nie byle jaką. Najlepszą, która w zasadzie nie wymagała wojskowego uzupełnienia.

Zdaje się, że coraz bardziej podobają mi się te nocne warty. W dzień jest dużo roboty: jeśli nie ubezpieczamy kogoś na stepie, trzeba kosić trawę albo przetrząsnąć siano, albo gnać konie na pastwisko, wszystko pod nadzorem, słuchając ciągłych pouczeń. Nie ma czasu rozmyślać i przypomnieć sobie ciekawych rozmów.

Ostry, niepokojący zapach roznosi się po dziedzińcu. Nadeszła północ i kapitan sprawdza posterunki. Podchodzi teraz do mnie.

- Jak tam? Chce ci się spać?

- Wytrzymam - odpowiadam. - Tylko ta ciemność wciąż mnie przeraża.

- Wszyscy tak mają na początku. Przyzwyczaisz się, nie pękaj, Sierioża.

Kapitan idzie dalej i znowu wokół mnie gęstnieje mrok. Czas biegnie powoli. Najbardziej boję się właśnie zasnąć. Niby nie mam takiej ochoty, ale te stepowe noce są naprawdę dziwne, jakby z ciemności emanowała nieznana magia.

Przed oczami lata mi rój purpurowych iskier. Gwiazdny wiatr, ognista zamieć i

śmiertelny chłód zamiast powietrza...

## **5. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Sergiusz mnie obudził. Inaczej być może zasnąłbym wiecznym snem w gwiazdnej zamieci razem z Siwym. Co za szkoda!

Przypominam sobie, że wyczuwał jakąś nieznaną stepową magię.

Nie mogę i nawet się nie staram powstrzymać łez. Dlaczego? Jak mam nie płakać, skoro część mnie umarła razem z nim? Fakt, że w ostatniej chwili uszedłem śmierci, nie przeraża mnie ani nie raduje. Czym jest moje życie? Ciągłem niepowodzeń, szarych dni wypełnionych głupimi lękami.

Płaczę i ciągle powtarzam przez łzy: dlaczego, Panie? Czemu tak? Jaki sens miała jego śmierć? Szlocham, dopóki Sergiusz nie zapyta mnie o przyczynę. Kiedy już wie, o co chodzi, podaje mi kubek wody i powiada:

- Może go uratują. Nie możesz być absolutnie pewien, że umarł, Błażeju. Jesteś ciągle żywy, a tam mogło się wiele wydarzyć, dopóki jesteś tutaj. Cóż my wiemy o wschodniej magii? Właściwie nic. Uspokój się i spojrzysz znowu, jak potoczyły się sprawy. Może za wcześnie płakać.

Ogarnięty szaloną nadzieją, sięgam po amulet.

- Nie ten! - woła Sergiusz, wsuwając mi do ręki sznurek Walerka.

## **6. REKRUT WALERIAN**

Cofa się we śnie przed czymś strasznym, mroczniejszym niż noc, najokropniejszym okropieństwem... aż znajduje się obok Siwego. Budzi się. Amulet parzy pierś. Siwy! Walerek zrywa się, wkłada spodnie i biegnie ku drzwiom, zapinając po drodze pasek trzęsącymi się dłońmi. Noc.

I coś mroczniejszego niż noc, straszniejszego od lęku!

- Dokąd się wybierasz? Przejadłeś się arbuzem?

- Kapitanie, gdzie jest Siwy?

- Na co ci on?

- Kapitanie! Czuję, że dzieje się z nim coś niedobrego!

W mroku straszliwej nocy nadchodzi nieznany wróg, a Sierioża znalazł się na jego drodze.

- No dobrze, pójdziemy zobaczyć. Tylko włóż kurtkę. - Oficer spogląda w błędne oczy rekruta, wzrusza ramionami i zdejmuje z gwoździa przy wyjściu obszarpany waciak. - Na pewno niedobrze jest wyskakiwać w nocy półnago, rozumiesz?

- Szybciej! - Amulet żądli go w serce jak rozwścieczona osa. Nie może trafić roztrzęsionymi rękami do rękawów. - Źle z nim!

- Jest tu niedaleko, przy stajniach. Gdyby mu się coś stało, alarm podniosłaby już straż na murach.

Mroczny cień pełźnie po białej ścianie, błyskając w świetle księżyca purpurowymi skrami...

- Siwy!!!

- Stój! Cóż to za paskudztwo... Nie pomożesz już twojemu Siwemu, a jeszcze jeden trup mi niepotrzebny. I tak już...

Kłęb purpurowej mgły unosi się z jadowitym sykiem znad skurzonego ciała, kołysząc się i pulsując ohydnie, ulatuje do góry.

- Chwała Bogu - dyszy kapitan i nabrawszy powietrza w płuca, wrzeszczy: - Alarm!

- Siwy... zbudź się, Siwy!

- Nie słyszałeś? Alarm! Wilkołaki!

- Wilkołaki - powtarza tępo Walerek i zaraz pyta z nagłym rozdrażnieniem: - Czy to nie wszystko jedno, gdzie się na nie natkniemy?

- Zapomniałeś, szczeniaku, z kim rozmawiasz? Będziesz całe lato czyścił stajnie!

- No i dobrze! - Amulet stygnie, zaczyna chłodzić skórę. Można jeszcze pomóc Siwemu, dopóki nie jest za późno. Ale może się nie udać...

Czar braterstwa... Czy wystarczą krwawa przyjaźń, wspólna komunia i głębokie pragnienie wiary?

- Siwy! - Walerek chwyta pobratymca za dłonie, czując, jak przepływa w niego śmiertelny chłód. Chyba nie zdoła go rozgrzać...

- Niech to porwie Nieczysty - zapluwa się w złości kapitan. - Smarkacz... Hej, co się tam dzieje na murach?!

Nie ma sensu szarpać otumanionego stratą rekruta. To wspaniały chłopak i żal zabitego przyjaciela. Cóż to jednak za żołnierz, któremu nad uchem wołają: „Alarm!” a ten siedzi jak głupi nad martwym ciałem. Niech tylko oprzytomnieje... Tracić towarzyszy każdy musi się sam nauczyć, ale doprowadzić kogoś takiego do porządku, to sprawa dowódcy.

„Siwy... ożyj, błagam! Błagam, Boże! Jestem gotów oddać mu swoją siłę do ostatniej kropli krwi, wszystko zniosę, tylko dopomóż, Panie, przywrócić Sieriożę do życia, wszak jest

to w Twojej mocy... Boże, dopomóż... niech on ożyje... mój przyjaciel i brat... modlę się do Ciebie!"

Odgłosy walki niemal ranią uszy. Wilkołaki. Walerek wyjmując ze zdrętwiałych palców przyjaciela oszczep, z którym stał na warcie. „Zmiłuj się, Boże...”

Ciemniejszy od nocy cień rzuca mu się do gardła. Walerek na oślepie wbija broń w wilcze cielsko, ciesząc się w duchu, że ma na sobie gruby waciak. Pada na ziemię obok Siwego. Przetaczając się na bok, wyciąga nóż lewą ręką. Odmieńcom błędnie przypisują nieśmiertelność. Być może żyją dłużej od ludzi, lecz zabić takiego nie jest trudniej niż zwykłego człowieka albo raczej zwykłego wilka. Walerek trafia ostrzem tętnicę w gardle, przebijając się przez gęstą, zmierzwioną sierść.

Chłopak wydobywa się spod przygniatającego go cielska w samą porę, by osłonić się prawą ręką przed kolejnym atakiem. Czując już niemal całym jestestwem rozrywające skórę i mięso kły, oczekując chrzęstu kości miażdżonych wilczymi zębami, znowu udaje mu się wbić nóż w odsłonięte nieostrożnie gardło wilkołaka. Wrywa poranioną prawicę z rozwierającej się w agonii paszczy, pozostawiając w niej brudne strzępki waty. Chwyta znowu za oszczep. W jednej chwili ogarnia go radosne poczucie życia i sił, przepelniające każdą cząstkę ciała.

Potem nagle słabnie. Nie zauważa tego od razu, zajęty kolejnym odmieńcem. Wilkołak rozplywa się w cieniach nocy i rzuca się na ciało Sierioży...

- Dajcie ognia! - woła ktoś dzikim głosem. - Pochodnie!

Wilkołak przez chwilę jest lepiej widoczny. Walerek zaciska zęby i zadaje pchnięcie, byle tylko zdążyć na czas. Oszczep więźnie w nieoczekiwanie bliskim ciele bestii, która szarpie się, aż drzewce wyslizguje się ze spotniałych dłoni. W tej samej chwili nogi chłopca same się uginają. Walerek siada na ziemi, dziwiąc się, skąd się wziął zagłuszający odgłos nocnej walki głęboki, miarowy dźwięk dzwonu, słyszany jednak nie przez uszy, ale gdzieś w potylicy. Nawet nie ma czasu się przestraszyć. Mawiał potem często, czym mogłaby skończyć się owa noc, gdyby się zdążył wystraszyć. Traci przytomność, nawet nie próbując walczyć z ogarniającą go ciemnością.

- Rekrucie Walerianie, zlekceważyłeś znany ci regulamin alarmowy. Mówiąc prościej: olałeś rozkaz dowódcy. Ciekaw jestem, czy wiesz, że za takie wykroczenie jest tylko jedna nagroda: kara śmierci?!

- Wiem.

- No i...?

- Wtedy o tym nie myślałem.

- Tak? Nie myślałeś? Nie wygląda to na okoliczność łagodzącą.

- A nawet gdybym pomyślał - podejmuje Walerek z lekkim westchnieniem - i tak byłoby mi wszystko jedno.

- A teraz? Rekrucie Walerianie, dlaczego mam wrażenie, że teraz też jest ci wszystko jedno?

- Szkoda gadać, kapitanie. Co było, to było. Przyznaję się do winy.

- Spróbowałbyś się nie przyznać! Chciałbym jednak wiedzieć, żołnierzu, o czym wtedy myślałeś?

- Żeby pomóc Siwemu.

- Powinieneś być pomóc załodze, smarkaczu! Zaatakowali nas odmieńcy!

- Przepraszam, panie kapitanie, lecz wydaje mi się, że ja wówczas... - Chłopak zacina się, spoglądając oficerowi prosto w oczy, potem spuszcza głowę.

- Masz jeszcze coś na swoje usprawiedliwienie?

- Nie.

Nad strażnicą zalega długa chwila ciszy. Tak przynajmniej wydaje się stojącym w oczekiwaniu pod palącym południowym słońcem.

- Dlaczego? - pyta niewinnym tonem kapitan.

- Sam pan wie, co mógłbym jeszcze powiedzieć.

- Co prawda, to prawda - mruczy dowódca, pochrzając. - Wiem i przyznaję to w obecności wszystkich. Gdyby nie ty, wilkołaki dopadłyby nas zniecka. Dwóch zabiłeś własnymi rękami, trzeciego pozostawało jedynie dobić. Nieźle, jak na żółtodzioba! A Siergiej... Nie sądziłem, że coś takiego zdarza się w życiu, a nie tylko w starych legendach. Co by tam nie mówić, twoje nieposłuszeństwo nie skazuje cię jeszcze na śmierć. I tak już ledwie się trzymasz na nogach, gamoniu!

Walerek podnosi głowę i natrafia wzrokiem na szeroki uśmiech kapitana.

- Daję ci niedzielę, żebyś doszedł do siebie, a potem będziesz sprzątał stajnie. Jeszcze cię, szczeniaku, nauczę, co to jest wojskowa dyscyplina!

Ojej, myśli wesoło Walerek, prawdę powiadał ojciec Jeremiasz, że historia lubi się powtarzać!

# ORDA

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Czas nagli. Stale o tym myślę. Bardzo wiele go straciłem, byle tylko nie słyszeć o Trudnych Czasach. W imię osobistej przyjemności spoglądania na świat oczami Siwego. Po raz pierwszy nie mam poczucia winy z powodu swej ciekawości. Gdyby nie ona, nie dowiedzielibyśmy się o cudzie Bożym. Niewątpliwym cudzie.

Co tam czas. Mogę trochę nadrobić. Mogę spoglądać częściej. Od pewnego czasu nie ujmuje mi to tyle sił, co wcześniej. Wizje stają się dłuższe, a to chyba znak, że jestem na właściwym tropie.

Ale czas nagli. Powinienem pamiętać o dochodzeniu. Znowu więc biorę w dłoń sznur Walerka, „srebrne ziele” królowej Niny... Chyba nawet nie przyszło jej do głowy, że będzie kiedyś ochraniał syna jej pasierbicy?

Powinienem poznać bliżej księcia Waleriana. Dlaczego więc nie miałbym w tym celu interesować się strażnicą?

## **2. WALERIAN, ŻOŁNIERZ DWUNASTU ZIEM**

Czarne, nocne niebo z gwiazdami migoczącymi wesoło nad mrocznym stepem. Wonny wiatr, niespieszny chód koni, ujadanie lisa stepowego i odległy krzyk sowy. Parska klacz Mineka, pobrzękują strzemiona, poskrzypuje siodło, w którym zasiada Walerek. Patrol nadzorujący wodopój od strażnicy do Suchej Jarki, potem szerokim łukiem aż ku Lisiej Dolinie.

Trzy dni temu nad Jarką rozbiło obóz plemię Wieczornej Sowy. Uznają władzę króla Andrzeja, lecz strażnicy bacznie przyglądają się tymczasowym sąsiadom, bądź co bądź koczownikom spokrewnionym z Ordą.

W koczowisku panuje nieustający gwar. Piszczą dzieciarnia, beczą owce, rżą konie, nawołują powracający ze zdobyczą myśliwi. Kobiety krzątają się hałaśliwie wśród wzajemnych połajanek. Wiezorami wódz zasiada ze starcami. Trudno orzec, czy nad czymś radzą, czy tylko gawędzą. Kowal do późnej nocy ostrzy noże i krzywe szable. Wokół wozowników kręci się niezliczona sfera malców.



Patrol przejeżdża przeciwnym brzegiem rzeki. Mają prawo nadzoru, jednakże otwarte kontrolowanie przyjaciół byłoby niewybaczalną obrazą. Po prostu obok przejeżdżają.

- Minek, ten obóz rozbili na długo? - Książę Walerian jest nieźle obeznany ze zwyczajami koczowników, przecież Wagrik opowiadał mu dużo o stepowym życiu. Młodzieńcowi ze stolicy jednak nie wypada wiedzieć takich rzeczy. Dlatego zadaje pytania.

- Nie sądzę. Pewnie zostaną tu do pełni księżyca, potem ruszą dalej - odpowiada tamten poważnie, cedząc słowa. - Czekają nas susza, rozumiesz?

- Sucha Jarka wyschnie do końca?

- Pozostanie mały strumyczek. To najgorszy czas.

- Nomadzi przychodzą tu tylko podczas suszy?

- Tak. Pamiętaj jednak, mały, że można się ich spodziewać w każdej chwili.

- Dlaczego więc jest nas tylko dwóch?

- Patrol nie da rady całej hordzie. Lepiej, żeby strażnica straciła dwóch niż dziesięciu.

- To znaczy, że w razie czego będziemy „nieuniknionymi stratami“?

- Wyratują nas - uspokaja rekruta Minek z wymuszonym uśmiechem. - Nomadzi nie zabijają od razu.

- Coś o tym słyszałem. - Walerek czuje ciarki na plecach. Wagrik opowiadał mu, jak zabijają na Stepach. - Nie wiem, czy pokój z kalifatem wart jest takich sąsiadów.

- To już, mały, nie na nasz rozum. Jesteśmy tylko strażą graniczną.

- Straż graniczna - powtarza Walerek. - Posterunek sygnalizacyjny...

Zadaniem takiego posterunku nie jest powstrzymywanie wroga, lecz przekazanie wieści do swoich. Być może, zatrzymać na chwilę najeźdźców, żeby goniec zdążył zaalarmować najbliższy garnizon.

- Boisz się, mały?

- Trochę tak - odpowiada szczerze chłopak.

- Nie ma sprawy. Ci, którzy krzyczą, że się niczego nie boją, pierwsi odpadają. - Weteran milknie, nasłuchując hałasu z koczowiska. Walerek krzywi się z niezadowoleniem. Co można usłyszeć z drugiego brzegu rzeki! Minek najwyraźniej nie uważa tych odgłosów za niepokojące, gdyż prędko wraca do rozmowy. - Jako szlachcicowi nie uchodzi ci przecież kłamać?

- Daj spokój, Minek, coście się wszyscy tak uwzięli na moje szlachectwo? Czemu to dla was dziwne, że syn książęcy odbywa służbę jak inni?

- Z własnej woli czy książęcej?

- A tam... - prychnął pod nosem Walerek.

- Chyba nie wiesz, jak odbywają służbę książęcy synowie - wyjaśnia z naciskiem Minek. - A może widziałeś?

- Raczej się nie przyglądałem - przyznaje książę.

- Zaczniemy od tego, że syn książęcy nie służy na dalekiej strażnicy, lecz w stołecznym garnizonie albo w oddziale ojca. Wyznaczają mu zaszczytne, ale niezbyt niebezpieczne zadania. I na pewno nikt go nie skazuje, by wywoził nawóz przez całe lato. - Minek uśmiecha się pod wąsem. - Kapitana, który potraktowałby tak syna księcia, zaraz by zdegradowali. Reszta rodowych szlachciców także służy w stolicy lub przy większych oddziałach. Służba jest tam bez porównania weselsza niż u nas. Nie gniewaj się, Walerianie, że ci to powiem... ale raczej nie zdarza się, żeby szlachcic miał służbę na strażnicy! Ty zaś nie kręcisz nosem, widząc nasze gęby, a za Sieriożę się poświęcałeś... Myśleliśmy, że może jesteś w niełasce u ojca?

- Z ojcem wszystko w porządku - odpowiada z uśmiechem Walerek. - Ma tylko swoje zasady: skoro musisz odsłużyć swoje, to na poważnie. Tak samo ojciec Siergieja.

Ogniska obozu zostają za ich plecami. Patrolujący znowu słyszą normalne odgłosy nocnego stepu, tylko konie parszczą trwożliwie, widocznie wyczuły zapach krwi i świeżo zdartych skór w wietrzyku nadlatującym znan Suchej Jarki.

- Wybacz, mały, jeśli powiedziałem coś przykrego. Na strażnicy poznajesz wszystkich do głębi. Dlatego nic dziwnego, że chcę wybadać żółtdziobów.

Arkany spadają na nich niespodziewanie, jakby nie wiadomo skąd. Patrolujący nie zdążają nawet wydobyć noży, kiedy spadają z siodeł, ściągnięci na ziemię. Jeźdźcy na małych konikach nadjeżdżają z gwizdem i otaczają ich hałaśliwą gromadą...

Nomadzi!

- Zauważyli nas? - wyraża spóźnione zdziwienie Walerek.

- Owszem - odpowiada Minek. - Przed nimi nic się nie ukryje.

Oczy nomadów błyskają w ciemności fosforyzującą zielenią. Nie podchodzą na razie do jeńców. Walerek obserwuje z bezsilną złością, jak stepowi ludzie radośnie oglądają ich konie. Wspaniała zdobycz, świeża krew w stadzie. Słucha, jak wódz przywołuje ich do porządku w chwili, kiedy każdy chce dotknąć i wypróbować znakomite północne łuki, ocenić stal pałaszów...

- Kiepska sprawa, mały - szepcze Minek. - Nie zdążyłem wysłać sygnału.

Walerek nadaremnie próbuje rozluźnić pęta. Nie może dosięgnąć amuletu sygnałowego wiszącego u paska jak bezużyteczna ozdoba. Spodziewać się, że koczownicy połakomią się na błyskotkę i oderwą ją... nie ma szans. Zbyt wiele szczęścia naraz.

- Zauważą, że nie wróciliśmy.

- Za późno. Będą mieli zmęczone konie. Może wyżyjemy do nadejścia odsieczy, ale walka w Lisiej Dolinie...

Zaraz, myśli Walerek, przecież w Lisiej u wodopaju jest idealne miejsce na zasadzkę... Nie wystarczy jednak doprowadzić tam napastników, trzeba jeszcze, żeby nasi dotarli tam wcześniej. Dziesięciu strażników nie poradzi sobie z całym tabunem wrogów. Zginą, osłabiając posterunek.

- Damy sygnał - syczy chłopak przez zęby. - Tylko ich sprowokuj.

- Jak?!

- Sierioża go wyczuje. Amulety... Tylko muszą się wziąć za mnie od razu.

Minek zastyga na chwilę, potem kiwa głową.

- Może się uda. Po co mają czekać. Tylko udawaj tchórza, rozumiesz? Udawaj, że się łamiesz...

- Dlaczego tak?

- Mato! Żeby uwierzyli, że doprowadzisz ich do wodopaju! Poprowadzisz ich dłuższą drogą, a wtedy nasi zdążą... Rozumiesz?

- Tak - odpowiada z wysiłkiem młodzik.

- Nie poddawaj się od razu, bo ci nie uwierzą. I nie kłam zanadto. Też mają oczy i potrafią czytać z twarzy.

Weteran milknie, gdyż czereda zbliża się do jeńców. Zabierają im pasy i oręż, tak więc amulety sygnalizacyjne znikają bezpowrotnie. Ręce są skrępowane od nowa. Żołnierze muszą biec za końmi nomadów jadących z gwizdem i dzikim nawoływaniem. Wkrótce są już blisko obozu.

Dzieci Sowy zmieszały się z ludźmi Ordy jakby w jedno wielkie plemię. Jedzą wspólnie pilaw, dzieciaki biegają od ogniska do ogniska, wokół krzątają się kobiety. To wcale nie najazd, myśli zaskoczony Walerek. Ci ludzie ze skalpami wrogów u siodła ich małych kosmatych koników są tu swojakami. Chyba ich nawet oczekiwano?

Wódz nomadów siedzi przy jednym ogniu z wodzem plemienia Wieczornej Sowy. Piją z jednej czarki, kolejno wybierają kęsy pilawa z glinianego kociołka.

- Marnie - ledwie dosłyszalnie szepcze weteran. - Chcą wspólnie zaatakować strażnicę.

Obaj wodzowie podchodzą do jeńców. Wyglądają jak bliźniacy, myśli Walerek w rozterce. Te same skośne oczy, drapieżne ruchy, a nawet stroje: pstre wutowane kurtki, skórzane spodnie, wysokie buty z surowej skóry. Tyle, że jeden przywódca koczowników ma wplecione we włosy sowie pióra, a drugi - złote amulety w kształcie słońca.

Wojownik w złości przygląda się więźniom uważnie. Walerek zezuje na Mineka i spostrzega, że ten odpowiada wrogowi obojętnym, skierowanym w przestrzeń spojrzeniem. Chłopak też tak potrafi, ale teraz trzeba się zachować inaczej. Potrzebny jest sygnał, przypomina sobie. Wciąga głośno powietrze przez zęby i niby przypadkowo natrafia wzrokiem na spojrzenie wodza, po czym szybko spuszcza oczy. Tamten uśmiecha się z zadowoleniem, odkrywając, kto z tych dwóch jest słabeuszem. Kładzie Walerkowi wąską dłoń na piersi, tuż nad sercem i zaczyna, wymawiając starannie słowa obcej mowy:

- Ty powiedzcieć mnie o strażnica.

Walerek ogląda się niepewnie na towarzysza. Udawać tchórze? Minek odpowiada mu nieubłaganie zaciekłym spojrzeniem.

- Ty mówić - rozkazuje wódz.

- Strażnica ciebie pożre i kości twoje wypluje - odszczekuje się chłopak. Tak na pewno odpowiedziałby Jurek, skrywając nieudolnie strach za arogancją. Osobiście Walerek wolałby po prostu milczeć. To dobrze, że miał parę razy do czynienia z tamtym książątkiem. Nie musi zgadywać, jak zachowałby się tchórz w takiej sytuacji.

Wódz uśmiecha się. Unosi rękę i lekko ciągnie jeńca za włosy. Dobrze, zacząłem prawidłowo, myśli Walerek. Teraz zastanawia się, jakim sposobem najszybciej mnie złamać.

Namyśliwszy się chwilę, nomada wyciąga nóż zza pasa, kołysze głową z aprobatą i przysiadając w kucki u ogniska, wkłada ostrze w płomień.

- Ty mówić. Wszystko. Kopie, konie. Droga. Straż. Wodopój. Wszystko, wszystko powiedzcieć.

Krótką, lekko wygiętą klingą w ogniu... Walerek nie może oderwać od tego wzroku i chyba nie powinien. Naprawdę się boi i nie widzi powodu, by to ukrywać.

- Mówić! - Wódz wstaje i spogląda Walerkowi w oczy. - Kopie?

- Wystarczy ich na twoją bandę!

- Kopie? - powtarza drapieżnie wyszczerzony dzikus i przykłada rozżarzone ostrze do policzka bezczelnego więźnia. - Mówić, padlina!

Chłopak mimowolnie szarpie się, uchylając się od żaru. Wódz koczowników pochyla się i chwyta go za włosy.

- Powiesz memu bratu! Ile kopii, ile koni?

Nie powinienem teraz milczeć, rozpaczliwie myśli chłopak, trzeba coś zrobić, zamiast cierpieć w milczeniu! Ale nie krzyżeć, co to, to nie! Nie może tak od razu zmięknąć, tracąc resztki godności!

- Trzymaj się, chłopcze! - Wyraźny nakaz w głosie Mineka pozwala oprzytomnieć.

Jaka godność! Przecież ma udawać tchórza, a omal wszystkiego nie popsuł. Jurek na jego miejscu byłby już zapłakany i usmarkany.

Ból... Oczy pełne łez... Ech, Walerku, grasz rolę tchórza, ale płaczesz prawdziwymi łzami!

- On powiedziec - zwraca się wódz nomadów do koczownika, a szczekliwy ton jego głosu przypomina chłopcu opowieści pod wierzbami na brzegu Kudriawki. - Szybko powiedziec.

Tak, zgadza się w duchu Walerek. Powiem. Zadowolony jesteś, wodzu, że znalazłeś słabeusza, wierzysz w swoją władzę, ponownie podgrzewając ostrze, mrużysz oczy, jak syty zwierz, spoglądając w ogień... Jak cię nienawidzę! Ciebie i siebie, takiego, jakim mnie widzisz, i Mineka, który kazał mi grać tchórza! Boże, to przecież nie ból wywołuje te mdłości... Trzymaj się, chłopcze! Trzymaj się, książę! Niech ci zaufają. Cała horda przeciwko dziesięciu strażnikom w Lisiej Dolinie... Trzeba wiedzieć, jak sprawić, żeby zdążyli na czas i nie zostawili śladów. Wiem, że tak trzeba! Tylko, dlaczego padło akurat na mnie?

- Mówić!

Wódz przytyka rozpalone ostrze trochę niżej niż poprzednio. Teraz Walerek nie powstrzymuje krzyku. Koczownik trzyma go za włosy, nie daje ruszyć głową ani upaść. Wyszczерzone zęby nomady zdają się przesłaniać cały świat, kołysząc się tuż przed oczami jeńca.

- Mówić! Kopie? Mówić?...

- T-t-rzyystaa... - mamrocze, z trudem otwierając usta do tego oczywistego kłamstwa.

Wódz śmieje się. Znowu wkłada klingę w ogień i trzyma ją długo. Tak długo, że Walerek naprawdę zaczyna się bać. W końcu ją wyjmuje i chwytając jeńca za kaftan, szepcze:

- Prawdę gadać, padlina! Szybko!

- Milcz! - woła gniewnie Minek.

Dzięki za pomoc, Minek, myśli niejasno Walerek. I wykrzykuje odpowiedź:

- Sam milcz! Pięćdziesiąt kopii, pięćdziesiąt! A koni dwa razy tyle. Mam dosyć, słyszysz, dosyć! Wszystko powiem!

- Zdrajca! - wrzeszczy towarzysz. - Tchórzliwa szmata!

Słyszają wokół chichoty...

- Strażnicy?

- Wartownicy na murach i pełno wokół pułapek!

- Pułapki?

- Jamy z kolcami, przykryte darnią... - szłocha Walerek. Boże, do czego doszło! - I „szczęki” ukryte w trawie. Jest tylko jedna droga do bramy.

- Wodopój?

- Przeganiamy konie do Lisiej Doliny. Dziesięciu ludzi...

- Prawda? - pyta z zainteresowaniem koczownik. - Dziesięć? Pokażesz drogę?

- Pokażę - szepcze z rezygnacją załamany więzień - ale rano. Jestem tu od niedawna, zabłądzą po nocy.

- Rano - szczyrzy się pogardliwie wódz nomadów. - Żeby twoi cię zobaczyli?

- Nie zobaczą... Można przejść korytem rzeki, pod osłoną wierzb, wyjdziemy na drugi brzeg i skryjemy się w szuwarach...

- Dobra! - Wódz odpycha z odrazą jeńca i siada u ogniska. - Dobra, mój bracie. Te ziemie będą twoje.

Walerek pada na ziemię. Próbuje usiąść, potrząsając głową. Spogląda na weterana. Twarz tamtego rozplywa się w jego oczach przepelnionych łzami... Dobrze, że nie musi powstrzymywać się od płaczu. Jeśli wyżyje, czy zdoła wspominać spokojnie, że zmuszony był zagrać rolę zdrajcy?

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

W zamyśleniu pocieram policzek. Bardzo bolał, Boże uchwaj! Walerek jednak wytrzymał i ja wraz z nim. Oczy także mam pełne łez. Dobrze, że Sergiusz mnie teraz nie widzi. Akurat dzisiaj przyszła jego kolej pilnować bramy. Nie przysłali do mnie nikogo innego, a mój przyjaciel pojawi się za parę godzin.

Wracam do służby na południowej granicy.

Pocieram policzek, myśląc równocześnie o strażnicy i o Sergiuszu. Zastanawiam się, na jak długo starczy mi jeszcze sił. Może wystarczy... Wypijam łyk wody i biorę ze stołu amulet Siergieja.

### **4. SIERGIEJ, ŻOLNIERZ DWUNASTU ZIEM**

- Co jest? - pyta Jasiek.

Kręcę głową. Diabli wiedzą, co mnie nagle wyrwało ze snu. Serce mi wali mocno i szybko, nie mogę złapać oddechu, a ciało wymaga jakiegokolwiek ruchu, aby się pozbyć nieprzyjemnego napięcia.

Wstałem, starając się uspokoić oddech. Jasiek wkłada spodnie. Rozbudził się błyskawicznie, czujny jak zawsze. Stoję oszołomiony, widząc mrok przed oczami. Zdaje mi się, że biegnę gdzieś, zmuszony do tego, zrozpaczony...

- Walerek?

Lękliwe kołatanie serca zamiast odpowiedzi. Co się z nim dzieje? Co z tobą, Walerku? Okropny ból przenika policzek i zdaje się nie mieć końca...

- Co jest? - krzyczy przejęty Jasiek. - Co z tobą, Siwy?

Wstaje reszta przebudzonych żołnierzy.

- Pojmali go - szepczą - i torturują w tej chwili.

Jasiek ciągnie mnie dokądś, nie bardzo wiem, dokąd, gdyż znowu czuję ból, który przejmuję na siebie, pragnąc dodać sił przyjacielowi.

- Panie kapitanie!

- Co się stało, Sieriozka? Co z nim, Jasiek?

- To te ich amulety! Ktoś torturuje Walerka... Kapitan odciąga moją dłoń od twarzy, dotyka policzka.

- Sierioza, nic ci nie jest. Obudź się. Jesteś tutaj potrzebny.

Mrugam półprzytomny. Jesteśmy w pokoju kapitana, przy czym oficer jest ubrany i uzbrojony. Jasiek ma na sobie spodnie, a ja w ogóle nic...

- Jasiek, zbierz chłopaków. Przyślij do mnie Afonię. I przynieś ubranie Siergieja. A ty mów. Masz, napij się.

Piję, nieostrożnie rozlewając ciepłą wodę. Ręce mi się trzęsą. Trzeba oddychać... głębiej... jeszcze głębiej.

- Co tu gadać, panie kapitanie? Zbudziłem się, to wszystko. Nie czytamy nawzajem swoich myśli, tylko czujemy, co się z drugim dzieje. Na początku był strach... nie, właściwie nie strach... sam nie wiem co.

- Zrozumiałeś, że z Walerkiem dzieje się coś złego?

- Tak. A później... - Dotykam znowu policzka i oglądam całkowicie czystą dłoń. - Potem jakby oparzenie. Zabolało, aż pociemniało w oczach. Teraz już mi lepiej.

- Dlatego, że cię wyrwałem z transu?

- Nie tylko. Myślę, że teraz zostawili go w spokoju.

- Ale nadal go czujesz? Co teraz czuje? Paniczny strach czy złość?

Próbuję odnaleźć uczucia Walerka, przepływające do mnie delikatną nicią czaru braterstwa. Paniczny strach odczuwam raczej ja. A on...

- Nie rozumiem, panie kapitanie. On się wcale nie boi, ale odczuwa coś trudnego do

zniesienia i złowrogiego. Ma ochotę wyć z rozpacz. Co teraz zrobimy, panie kapitanie?

- Co się z nim stało? - mruczy kapitan. - To nie jest chłopak, którego łatwo złamać.

- Na pewno nie - przytakuję. - Ręczę za niego głową.

- Może postanowił ich przechytrzyć i zaprowadzić do Lisiej Doliny? - pyta Afonia.

Przyszli wraz z nim inni podoficerowie, dwóch dziesiętników i porucznik.

- Ale po co? Nas tam teraz nie ma. Powinien wiedzieć, że amulet Sierioży zaraz go zaalarmuje?

- Tam są pułapki - zauważa Afonia. - Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, to że zechce chociaż w taki sposób osłabić nomadów, żebyśmy mieli mniej do roboty. Możemy dać sygnał do twierdzy, a sami siedzieć za murami albo ruszyć zaraz do Lisiej Doliny przygotować zasadzkę. Jestem pewien, że chłopak tam ich przyprowadzi, ale postara się sprawę przeciągnąć do świtu.

I zginie, jeśli nas tam nie będzie, myślę. A jeśli będziemy... może także?

Jasiek podaje mi odzież. Starannie zakładam spodnie, koszulę, buty, poprawiam ukryte noże, zaciągam rzemienie grubej kurtki...

- Sierioża, nie czujesz, gdzie są w tej chwili?

- Nie, kapitanie.

- Co o tym myślisz, Tolku?

- A co mam myśleć - prycha porucznik. - Cała nadzieja w twierdzy... Może tam nie wiedzą, komu najpierw pomóc? Na pewno pójdą do Lisiej, więc nie ma nad czym się zastanawiać. A jeśli pójdziemy do Doliny, a tymczasem orda ruszy na strażnicę?

- Panie kapitanie, mogę iść na zwiady - proponuję. - Albo też niby przypadkiem wpaść w ich ręce, żeby ich zaprowadzić do Lisiej i będziemy mieli pewność. Mogę skłamać, że w strażnicy nocuje setka żołnierzy z garnizonu, wtedy nie zaatakują.

- Zaraz! - Kapitan świdruje mnie przenikliwym spojrzeniem, dobrze mi znanym z wielu odpraw warty. - Jesteś potrzebny mi tutaj ze swoim amuletem.

- Po co? - sprzeciwiam się ostro. - Mogę tylko powiedzieć, czy jest wciąż żywy, czy nie, a tymczasem...

- Co „tymczasem”! - irytuje się oficer. - Myślisz, że ulżysz swojemu Walerkowi, gdy ciebie zaczną torturować?

- Nie ulżę - przyznaję. - Ale dlaczego mieliby mnie torturować? Od razu wszystko im powiem. A może zdążę pomóc Walerkowi? Może razem uciekniemy!

- Siergieju, zostawię cię, żebyś strzegł murów. A jak wrócę, tak z tobą pogadam...

- Niech pan potem gada, tylko mnie nie zostawia! Wie pan przecież, że jesteśmy



braćmi i ile dla mnie zrobił! Nieważne, kto zostanie w strażnicy, a on na pewno potrzebuje mojej pomocy!

- Pozwól mu, niech jedzie! - Afonia kładzie pojednawczo dłoń na ramieniu kapitana. - Nie będzie z niego tutaj żadnego pożytku, niech lepiej zdobywa doświadczenie. Niby zielono ma w głowie, a dobrze wszystko wymyślił. Uda nam się dołożyć wrażej hordzie.

- Ja z nim pojedę - podsuwa Jasiek. - Dopilnuję chłopaka. Mamy przecież patrole we dwóch, więc nie ma sprawy...

Porucznik wybuchając krótkim śmiechem.

- Ale się nam trafili rekruci! Dosłownie Bractwo Świętego Karola! Nie pojedziesz. Każdy człowiek się tutaj liczy, a widziałem już ciebie w boju.

- I nie sprzeciwiaj się! - mówi kapitan, marszcząc się groźnie. - Nie czas na spory. Jeden z was pojedzie jako goniec. Możemy przecież wysłać gońca do sąsiadów? Orda naturalnie go złapie. Nie uważam, żeby to był pewny koniec, gdyż nomadzi nie mordują jeńców od razu. Można taką zdobycz wojenną odwieźć do domu i sprzedać na targu niewolników. Zdamy was uwolnić, chyba że wcześniej sami się wyrwiecie z pęt w głupocie swojej. Pierwsza zasada: jeśli natkniesz się na zasadzkę, bierz nogi za pas i zmykaj. Zrozumiałeś, Sieriożka? Nie dobywaj pałasza, tylko zmykaj! Twoim zadaniem jest dotrzeć do Lisiej Doliny z pogonią za plecami. Tylko, żebyście nie dotarli tam przed nami... Chociaż pół godziny od świtu!

Kiwam głową. Oficer spogląda mi w twarz uważnie, chyba mnie oceniając.

- Druga zasada: jeśli wpadniesz, nie udawaj tchórza. Taki fortel nie uda się z twoją gębą. Nomadzi nie są głupi, mogą się domyślać, że wciągasz ich w zasadzkę. Zrozumiano?

- A jeśli się nie uda?

- Och, Sierioża... lepiej może zostać. Poślę Wiktora, może mu się lepiej powiedzie.

- Tylko nie to! Wiktor nie odnajdzie Walerka. Niech pan mi powie, co mam robić, kapitanie.

- To się nazywa „zgrywać bohatera” - wzdycha kapitan. - Bardzo prosto i niebezpiecznie. Na początku okazujesz wytrwałość, potem sprawiasz wrażenie, że cię olśniło i zaczynasz beczelnie kłamać. Tak, żeby zauważyli, że kłamiesz. Żebyś ich wciągnął w pułapkę, chociaż dobrze wiedzą, że chcesz to zrobić. Niech ci nie wierzą za grosz, ale myślą, że wiesz coś ważnego. A potem, we właściwej chwili, rozumiesz, trzeba rzucić od niechcienia: „Tylko nie do Lisiej” i całkowicie zamilknąć. Żeby uznali, że niechący się wygadałeś i wzięli się za drugiego z taką wskazówką: Lisia Dolina.

- Rozumiem - odpowiadam.

- Jak mogę skazywać chłopaka na coś takiego?

- Ten chłopak jest żołnierzem - zwracam uwagę z uśmiechem, czując wewnętrzny chłód. - Dam radę. Mój ojciec wychodził cało nie z takich opresji.

- Ojciec, powiadasz? - Afonia skrobie w zamyśleniu szczeciniasty podbródek.

- No tak. Mam dobry wzorzec i dlatego mi się uda.

- Dobrze! - Kapitan macha ręką. - Niech będzie po twojemu. Grzechem byłoby ci zabronić. Masz obrotny język i szybko kojarzysz... Tylko jesteś narwany. Wierzę, że dasz sobie radę. Jest tylko jeszcze jedna sprawa. Po wszystkim... nie wygłupiaj się, jasne? Zaszuj się cichcem i nie wystawiaj na sztych. Daj nam czas wygrać walkę i przyjdź wam z pomocą. Zrozumiałeś, rekrucie?

- Wszyscy byli kiedyś rekrutami, panie kapitanie. Nie zdobędzie się doświadczenia, kiedy jest się zamkniętym w murach. Sam pan powiedział, że nie mają powodu zabijać jeńców. Wojenna zdobycz. A może wcale nie wpadnę im w ręce...

- Wpadniesz - oświadcza kapitan. - Jak cię wezmą w obroty, zaraz wszystko wyczytają z twojej bezczelnej gęby. Lepiej zostań. Poślę Wiktora, on ma lepszą mordę do handlowania tajemnicami. Znajdzie bez ciebie twojego Walerka.

- Raczej nie. Ze mną odnajdzie go szybciej. Dlaczego muszę obowiązkowo wpaść w ich ręce, panie kapitanie? Może się przemknę. A jeśli nawet wpadnę - czuję, że mój głos zaczyna dźwięczeć urazą - to nie jestem mięczakiem, przetrzymam.

- Tylko się nie obraź! Mieliśmy już tu takich... obraźliwych.

Mam ochotę wybuchnąć, lecz wolę milczeć. Wierzę, że byli. W naszym życiu też się pojawił taki ktoś - Jurek. Co by było, gdyby wpadł w łapy nomadów? Jak tu się zresztą obrażać wobec oficera na służbie? To by była głupota.

- No już dobrze, dobrze. Pięknie, że chcesz ratować przyjaciela. Tylko tracimy czas. Zrozumiałeś wszystko, co powiedziałem?

Wzruszam ramionami.

- Zrozumiałem, czemu nie miałbym rozumieć. Doprowadzić pogoń do Lisiej albo...

- Niestety ty moje! Ale nam się trafiły typki... Pamiętaj, żeby się nie wystawiać na sztych! Im dłużej będziesz przy życiu, tym większa nadzieja, że zdążymy cię uratować. Idź z Bogiem! Najpierw do Suchej Jarki, potem do Lisiej Doliny.

Ciszy, jaka ogarnia step przed świtem, nie da się porównać z żadną inną. Cisza najcichsza z możliwych. Przedemną płynie Sucha Jarka, a za plecami przebijają się przez ciemność pierwsze promyki wschodzącego słońca. Początek nowego dnia nie zapowiada niczego złego. Zasadzek stepowych ludzi ani...

Nomadzi zjawili się bezszelestnie, jakby wszystkie dźwięki wessała cisza przedświt. Nie zdążyłem zrozumieć, co się dzieje! Ręce krępuje arkan, wyrosły jak spod ziemi obok mnie wojownik chwyta wodze mojego konia, drugi ze śmiechem strąca czapkę z mojej głowy. Przed oczyma miga mi szabla zaciśnięta w żylastej dłoni, zmuszając mnie, bym się odchylił. Śmiech. Świst, szarpnięcie i galop. Uff, żeby się chociaż utrzymać w siodle!

Nigdy bym nie uwierzył, że mogę tak łatwo i prosto dostać się do niewoli!

No cóż, dobrze. Zagramy sobie...

Wiozą mnie do obozu. Po lewej stronie jedzie powoli oddział wojowników na spotkanie słońca. A zatem do Lisiej! Widocznie jeden z naszych, Walerek albo Minek, zrobili, co trzeba.

Wygląda na to, że niepotrzebnie wystawiłem się na arkany nomadów i osłabiłem oddział czekający w Dolinie o jednego niezłego strzelca.

Stoi przede mną dwóch mężczyzn. Jeden jest wojownikiem u szczytu dojrzałości, to znaczy w tym okresie życia, kiedy jest się w pełni sił, a zarazem wystarczająco doświadczonym, by odpowiednio je wykorzystywać. Jest wodzem nomadów, sądząc po słonecznych amuletach we włosach i rytualnym tatuażu na policzkach. Drugi jest starszy. Spojrzenie i postawa pełne dostojeństwa, stoi obok tamtego jak równy z równym. Pióra sowy we włosach, znak totemu plemienia. Wygląda na to, że... Przeżywam olśnienie, zapominając na chwilę o wszystkim innym. Nomadzi wiedzieli, dokąd idą! Oczekiwano ich tutaj! Zapewne zrobili, co mogli w stepie i dali znak reszcie koczowników. Wczoraj wieczorem jeden z patrolujących nie bez powodu wyraził podejrzenie, że chcą zaatakować strażnicę!

- Dobra zdobycz, ale łatwa - krzyczy do swoich wódz nomadów, a oni odpowiadają gwizdami. Mimo woli zaciskam pięści. Ma rację, że łatwo dałem się podejść! - Dobry początek! Słońce przynosi nam szczęście!

Przenoszę wzrok za plecy wodzów. Wokół widać tylko koczowników z plemienia Sowy. Kobiety, dzieciarnia, starcy... jest też paru młodzików. Widocznie wszyscy wojownicy już wyruszyli. Czeka nas ciężka walka.

- Podoba mi się ten szczeniak - mówi koczownik, trącąc mnie palcem. - Oddaj go mnie.

- Wcześniej chcesz dzielić łupy!

- Obiecałem synowi. Chłopak nie chce tracić daremnie czasu, ale na razie mało umie. Musi się uczyć. Ten wygląda na dzielnego żołnierza.

Młodszy z wodzów wskakuje z uśmiechem na konia.

- Dobrze, niech go sobie bierze! Niech spróbuje się czegoś dowiedzieć, wszystko

jedno, czego. Masz rację, ten niewolnik ma charakter. Jeśli twój syn da sobie z nim radę, zostanie wielkim wodzem! Skoro mu się z tym nie uda, niechaj bierze drugiego, mnie nie zależy.

Staram się nie dać poznać po sobie, że rozumiem ich mowę. Ogarnia mnie jednak prawdziwy strach.

- Bierz go, synu! - Koczownik popycha mnie w stronę stojącego z boku tykowanego chłopaka w taki sposób, że padam na kolana do jego stóp. Chłopcy, stojący wokół, śmieją się, lecz syn wodza pozostaje poważny.

- Słyszałeś, chłopcze? - zwraca się do niego wódz ze złotymi ozdobami we włosach. - Możesz wypróbować na nim swoje siły. Chwała Słońcu, mamy dość niewolników, a wkrótce będzie ich więcej!

- Spróbuję z nim, wodzu - odpowiada rezolutnie młodzik. - Dziękuję za szczodry dar.

- Podoba mi się twój syn, bracie! - Wódz macha ręką. - Naprzód! Czeką nas wspianiała zdobycz!

Odprowadzam ich wzrokiem. Obyście się udławili tą zdobyczą...

- Chcesz żyć, padlino? - pyta syn wodza, dobrze sobie radząc w naszym języku.

- Jeszcze się taki nie narodził, który by nie chciał żyć - odpowiadam z uśmiechem.

Kapitan kazał mi przecież „zgrywać bohatera”.

Oficer pragnął tylko jednej rzeczy, żeby nomadzi pojechali do Lisiej Doliny. Tak się stało i we właściwym czasie, gdyż pułapka już została zastawiona. A ci smarkacze po prostu bawią się mną, udając dorosłych wojowników. W każdej chwili mogą zamiast mnie wziąć drugiego. A potem... Co będzie, jeśli tym drugim okaże się Walerek? Nie wiem przecież, kto prowadzi nomadów do Lisiej...

No nic, zobaczymy! Jest jeszcze jedna gra, odpowiednia na takie okazje. Nazywa się „zgrywać głupka”.

- Powiesz nam wszystko o strażnicy.

- Aha, wszystko i jeszcze trochę! Słuchaj, chłopcze, na diabła ci nasza strażnica, lepiej ci powiem, gdzie w okolicy jest największe legowisko susłów.

Udaje mi się na czas odchylić głowę i osłabić uderzenie.

- Dlaczego od razu bijesz? - jęczę. - Mogłeś powiedzieć, że susły cię nie ciekawią. Pokazałbym ci sowią dziuplę. Wstyd rękawice brudzić...

W tej chwili przerywa moje wykręty, trafiając żelazną pięścią prosto w nos. Słyszę trzask złamanej chrząstki... Kolejny cios przywraca mi jednak przytomność. Nos broczy krwią, staram się go obetrzeć, patrząc jednocześnie prosto w skośne oczy młodzika.

- I nie zakładaj więcej takich obszarpanych rękawic, niedorostku.

Zrobiłem wszystko, co mogłem. Teraz tamten nie odpuści, dopóki mnie nie złamie. Zyskaliśmy więcej czasu. Postaram się, żeby wystarczyło go do nadejścia naszego oddziału.

Wyczuwam poprzez amulet strach Walerka. Odpowiadam mu w myślach pocieszającym uśmiechem. Spokojnie, bracie! Może obaj zginiemy tu jako jeńcy, ale przynajmniej zginiemy na wesoło. Już ja ich rozweselę!

Syn wodza poszeptał z koleżkami i teraz uwalniają mnie z arkanu. Wcześniej straciłem, niestety, pas z nożami. Są ostrożni, niech ich ziemia pochłonie. Wszystko się zgadza z opowieściami Wagrika, choćby to, że więzień nie ma szansy na ucieczkę po stepie. Głupio wpaść w połowie drogi do swoich. Nie mam zamiaru zachowywać się jak głupi smarkacz. Skoro mnie rozwiązali, pokazują, że są silniejsi. Nie wiecie tylko, siłacze, jak wiele stracie sił na słabeusza, który dobrze wie, jak można was prowokować.

- Rozbieraj się.

Rozglądam się powoli po otaczających mnie młodzikach i pytam z obawą:

- Chyba nie chcesz, abym się kochał z jednym z twoich chłopaczków?

- Kurtkę - cedzi z odrazą syn wodza - i koszulę. To, co poniżej, nas nie ciekawi.

- Trzeba było od razu tak mówić - odpowiadam pojednawczo. - Zaraz inna rozmowa!

A tutaj: „rozbieraj się"! Już myślałem...

Syn wodza syczy wściekle i próbuje dać mi w zęby, ale się uchylam i pytam:

- O co ci chodzi, chłopcze?

- Zamknij się i rozbieraj!

Zabieram się do sprzączek kurtki. Nagle zamieram. Amulet! Zabiorą mi go! Nie mogę jednak dłużej zwlekać. Byłoby to ujawnieniem strachu. No trudno, myślę rozpaczliwie, może to i lepiej. Po co ma Walerek czuć moje cierpienie.

Kurtka upada ciężko pod nogi, zaraz po niej koszula.

- No? Zadowolony jesteś, synu szakala? Co dalej?

Obraza pozostaje bez odpowiedzi. Syn wodza wpatruje się z ciekawością w amulet na mojej piersi. Pewnie wilczek Walerka teraz podryguje i błyska ślepiami, myślę zasmucony. Nie mogę teraz na niego spojrzeć, gdyż muszę patrzeć w oczy temu, kogo obraziłem.

Powoli, jak zauroczony, syn wodza wyciąga dłoń. Stoję nieruchomo, wiedząc, że nikt nie powinien widzieć mego lęku. Nawet Waśka by nie zauważył. Obca dłoń dotyka amuletu... Zdaje mi się, że czuję ten dotyk całym ciałem. Dotyka na chwilę i opuszcza rękę. Amulet pozostaje na mojej szyi.

- Będziesz mówić o strażnicy? - pyta koczownik.

Oddycham z ulgą.

- Aleś ty uparty! Nie chcesz słuchać o susłach ani o sowej dziupli... Zgadza się, jest tutaj strażnica. Zadowolony? Na strażnicy, mój drogi, susłami się nie pożywisz!

- Wagri... - Do syna wodza podchodzi młodszy chłopiec, mający nie więcej niż dziesięć lat. - Słuchaj, Wagri...

Może to jego młodszy brat? Inny nie śmiałby wtrącać się do spraw starszych chłopaków. Szepcze coś starszemu do ucha, błyskając radośnie oczami. Ja zaś myślę zatroskany: że też tego młodego barbarzyńcę zwą tak samo, jak naszego dobrego przyjaciela, Wagrika. Właściwie nie ma się czemu dziwić, to popularne imię wśród ludzi stepu.

- Dobrze, Teng! Masz dobry pomysł.

Młodszy chłopak samodzielnie pęta moje nadgarstki skomplikowanym węzłem „zmijowy ogon”. Wskakuje na konia. Wszystko jasne. Wspaniały pomysł, Teng. To długa zabawa, a czas jest mi teraz droższy ponad wszystko.

Szarpięcie. Przebiegam parę kroków, lecz potem jeździec umiejętnie pociąga za arkan w taki sposób, że natychmiast tracę równowagę. Słyszę dzikie gwizdy z tyłu. W zasadzie miałem szczęście, dochodzę do wniosku, bo gdyby na serio zaczęli wyciskać ze mnie zeznania, dawno nie byłoby mi już do śmiechu. Niech się bawią w dorosłych... Oddział nomadów powinien już docierać do Lisiej...

Uderzam łokciami i kolanami o porośniętą ostnicą ziemię, srebrzyste źdźbła łaskoczą twarz, odbijają się od nagiej piersi spłoszone świerszcze. Blisko przed oczami przesuwa się srebrna tkanina letniego stepu. Nie zwracałem na to uwagi podczas konnej jazdy. Inaczej jednak widzisz wszystko wleczony na arkanie za końskim ogonem.

Mógłbym się zaśmiać, gdyby nie trudności z oddychaniem i nie palące żywym ogniem związane ręce. Zawsze lubiłem szybką jazdę po stepie. Step, szybkość, fale traw i rozpędzony koń, gorący wiatr, wiejący prosto w twarz, wyciskający łzy spod przymrużonych powiek. Ostnica, piołun, trawa, zwana lisim ogonem i perz. Nagły zwrot, podrzut i wylatuję jak z procy, kalecząc ręce o ostre łodygi traw.

- Wstawaj - syczy przez zęby Teng.

Nie od razu wstaję. Zataczam się, jak pijany, a nogi się pode mną uginają. Jednak jakoś stoję. W końcu jestem żołnierzem Dwunastu Ziem. Szczeniakiem, który jeszcze nie zdążył się wiele nauczyć ani zbyt wiele doświadczyć, utrapieniem kapitana, ale jednak żołnierzem. Patrzę w twarz wroga. Co prawda, nie widzę jego twarzy, gdyż jeździec jawi mi się ciemną sylwetką na tle oślepiającego słońca poranka i jasnoblękitnego nieba. Wokół nas letnia stepowa cisza: szumi wiatr, słysząc świerszcze i gdzieś wysoko skowronka.

Podarowałaś mi miłą chwilę, wrogu.

- Patrzysz nie tam, gdzie trzeba. Obejrzyj się. Oglądam się. Dalej step wygląda inaczej, pełen perzu i kamieni. Rozumiem, o co chodzi. Jesteś mądry ponad swój wiek, Tengi. Strasznie spojrzeć w oczy czekającej na ciebie śmierci. Mądrze dać jeńcowi czas, by przemyślał, co go czeka. To będzie trwało długo, jazda po niewielkich kamieniach wśród ostnicy i miękkich traw. Koczownicy nie mają zwyczaju pozwalać na niekontrolowaną śmierć jeńca, przecież jego skalp powinien przyozdobić uzdę konia zwycięzcy, a nie być rozwłóczony za dzikim koniem. Niegłupi jesteś, Tengi, będzie z ciebie kiedyś lepszy wódz niż z twego starszego brata.

- Wybieraj. Chcesz tam? - Wskazuje biczkiem na kamienie. - Czy wracamy do obozu?

- Do obozu - odpowiadam ochryple. Krótki gwizd, szarpnięcie... och, ręce!

Perz, lisi ogon, piołun, ostnica. Zapach świeżej krwi z poranionych rąk palących ogniem od zaciśniętych pięści do ramion. Cierp jeszcze trochę, Siergieju. Spłoszone koniki polne zderzają się z nagim torsem. Step, szybkość. Chce mi się śmiać i płakać zarazem.

Obóz. Dźgnięcie pod żebro: wstawaj. Chyba dam radę.

- Będzie gadał, Wagri!

- Tak? No to gadaj, padlino!

- Gadaj? - powtarzam pytająco. - Jednak chcesz zobaczyć susły?

Syn wodza przeszywa ostrym spojrzeniem młodszego brata.

- Powiedział: „do obozu”, Wagri - usprawiedliwia się zmieszany Tengi.

- Tak powiedziałem - potwierdzam. - Sam zaproponowałaś, abym wybrał kierunek. To wybrałem. Wybacz, że zapomniałem ci podziękować! Dzięki za wspaniałą jazdę. Bardzo mi się podobało.

Kapitan miał rację! Sam się głupio wystawiam na sztych! Wagri wymierza braciszkowski siarczysty policzek, chłopaki wokół chichoczą, a ja razem z nimi. Niech się cieszą. Odpowiednio przeciągam czas. Nie gniewaj się, Walerku, teraz moja kolej osłaniać ciebie.

Wagri władczy gestem powstrzymuje dalszą wesołość.

- Spodobała ci się jazda? - cedzi przez zęby. - Chcesz jeszcze? Dobrze. Jedź, Tengi. My was dogonimy.

Ostrym gwizdem Tengi skłania konia do dalszej jazdy. Biedak, myślę, nawet nie dali mu się wysapać. Teraz zresztą chłopak nie przyspiesza, dając możliwość starszemu bratu, by okładał mnie biczem. Pozwala mi się utrzymać na nogach i biec... Dziękuję i za to, wrogu!

Gwizdy, śmiechy, wycia... uciecha stepowych ludzi, niech to licho! Kto lepiej wyceluje uderzenie... Słyszałem o takich zabawach od Wagrika. Arkan i bicze... Długo się tego nie wytrzyma. To już nie przesłuchanie, lecz egzekucja. Wagri nie będzie dobrym wodzem, zbyt łatwo go rozdrażnić. No nic... dopóki mogę biec, jest wciąż nadzieja. Gorzej, gdy upadnę. Jeśli upadnę... i tak cię pokonałem, Wagri. Zwyciężyłem...

## **5. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU ZOFII**

### **NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

- Znowu popadłeś w tarapaty?! - Sergiusz chwyta mnie za ramiona i potrząsa. Z trudem powstrzymuję się, żeby nie wyć z bólu. Ręce palą żywym ogniem...

- Właśnie z nich wyszedłem - odpowiadam ochryple.

- Jak widać - stwierdza Sergiusz i otwierając drzwi, krzyczy w mroczną przestrzeń korytarza: - Hej, jest tam kto? Niech wezwie brata medyka, a żywo!

- Dlaczego?

- Oto dlaczego! - Zakonnik podsuwa pod nos moje własne, umazane krwią dłonie. - Niech cię porwie Nieczysty, Błażeju! Nie wiesz, kiedy przestać?

- Właśnie wyszedłem - powtarzam szeptem.

- Widzę... Ściągaj habit... Co się tam stało, Błażeju?

- Najazd ordy...

- I twój Siergiej dostał się do niewoli? Nie mogłeś wcześniej sam przerwać widzenia? Koniecznie chcesz zostać męczennikiem? - Sergiusz ściąga ze mnie odzież, nie przestając krzyżeć. - Czemu kręcisz głową? Zatraciłeś instynkt samozachowawczy! Mało ci było ostatniego razu?

- Przestań, Sergiuszu! - przerywam. Sergiusz wyciąga spode mnie dół habitu i przez chwilę widzę z bliska jego gniewne oblicze. - I wybac. Obudziłem się przecież, kiedy stało się naprawdę niebezpiecznie...

Wbiega brat medyk, zaczyna się wokół mnie krzątać, a Sergiusz powiada ponuro:

- Właśnie dlatego w podaniu nie ma ani słowa o Siergieju. Całe szczęście, że nie zostałeś tam ani chwili dłużej.

- Wrócę tam jeszcze.

- Co?! Nawet o tym nie myśl! Za dużo masz swobody, ot co!

Nie odpowiadam. Sergiusz niechętny pokazał, jak boi się o mnie. To zrozumiałe, nie wie przecież, że tamtych uratują. Przecież kapitan obiecał to Sierioży i ja mu ufam.

Teraz jednak wrócę do Walerka. O nim mówi podanie.



## 6. WALERIAN, ŻOLNIERZ DWUNASTU ZIEM

Walerek nigdy nie zapomni drogi do Lisiej Doliny w jasnym świetle poranka, strzemię w strzemię z jadącym na czele wodzem wrażego oddziału. Jeśli nawet dożyje do owego „kiedyś”, czyli niewyobrażalnej w tej chwili starości. Nawet jeśli będzie próbował zapomnieć, na pewno mu się nie uda. Nie zdoła wyrzucić z pamięci napięcia, z jakim usiłuje odczytać bolesne sygnały od Sierioży ani natrętnej wątpliwości, czy rzeczywiście w Lisiej czeka na nich zasadzka. Na pewno nie zapomni także uczucia, że jego życie wisi na włosku, który może zerwać się w każdej chwili, gdy tylko wódz nomadów zorientuje się, że został oszukany.

W tej chwili jednak nieważne, co się będzie wspominać w przyszłości. Teraz trzeba udawać załamanego. Bo skoro wódz zacznie w to wątpić... wtedy całe cierpienie pójdzie na marne.

Będzie, co ma być.

Walerek miał szczęście, gdyż nie ciągnęli go z sobą w zasadzkę. Nomadzi nigdy nie ryzykują straty zdobyczy. Kiedy burknął, wyciągając rękę przed siebie: „Oto Lisia Dolina. Widzicie tam sitowie i wierzbę, a zaraz za nią jest bród”, wódz wezwał jednego ze swoich i kazał mu odwieźć jeńca do obozu. Jeniec, oczywiście, źle zrozumiał rozkaz, wystraszył się i zajęczał: „Nie zabijajcie mnie” i długo jeszcze, trzęsąc się w siodle ze związanymi dłońmi, ze świeżą pręgą od bata w poprzek pleców, słyszał śmiech nomadów.

Pochyliwszy głowę i pociągając nosem co pewien czas, aby nadal wyglądać na załamanego, próbuje się wczuć w sygnały płynące z amuletu. Co się dzieje z Sieriożą? Przejmuje na siebie jego ból... Nie broń się, Siergiej, potrzebujesz dużo sił. Tylko wytrzymaj...

Obóz koczowników także wita go wyśmiewaniem. Walerek, rzucając dyskretne spojrzenia spode łba na boki, zastanawia się: zawiodą mnie do Mineka, czy od razu do namiotu wodza na niewolnika? Nie ma tak dobrze. Konwojent ściąga go z konia i wpycha za ogrodzony kawałek terenu. Minek zrywa się na jego widok.

Walerek okręca się, padając bokiem na ziemię i przetacza, by osłabić zderzenie z ziemią. Chyba sobie niczego nie złamał... Klęka, potrząsając głową.

- Żyjesz - szepcze z radością weteran. - I jesteś cały! Chodź, mały, rozwiążę cię.

Klęka obok Walerka.

- Zaczekaj, tak będzie ci niewygodnie. Lepiej wstanę... - Walerek napręza się, usiłując zachować kamienne oblicze.

- Nie trzeba, zapewniam cię! Co się tam dzieje?
- Nie wiem. Zaprowadziłem ich do Lisiej, a wtedy mnie tu odwieźli.
- To znaczy, że nie widziałeś zasadzki?
- A w ogóle tam jest?
- No coś ty! Ach, przecież nie wiesz... Pojawił się tu twój Sierioża...
- Wiem. - Walerek krzywi się, wzruszając ramionami.
- Więc pomyśl, dlaczego. Miał zadanie wysłać ich do Lisiej, gdyby nam się nie powiodło, rozumiesz?

Minek rozplątuje wreszcie skomplikowany węzeł, prowadzi Walerka do poidła i pryska mu w twarz zimną wodą.

- Jeszcze - prosi chłopak.

- Chcesz się w niej zanurzyć? - Minek przygląda mu się uważnie i odpowiada sam sobie: - Więcej nie trzeba. Brzydko wyglądają te oparzenia. Bardzo pieką?

- Jeszcze jak!

Walerek siada, wspierając się bokiem o słup ogrodzenia. Minek poi go ze złożonych dłoni i pyta:

- Bili cię?

- Niespecjalnie. Więcej było śmiechu.

- Wybacz, mały - mówi Minek z westchnieniem - widziałem, jak skręcałeś się z bólu...

Nieźle oberwałeś...

- To nic... - Walerek delikatnie masuje policzek. - Miałeś rację. Powiodło mi się. Żeby tylko w Lisiej wszystko się udało!

Jakby w odpowiedzi słyhać tupot kopyt konia pędzącego ze stepu do obozu. Jeździec wlecze się z tyłu, uczepony jedną nogą strzemienia, pozostawiając krwawy ślad na piasku.

Obóz ożywa. Kobiety krzyczą przeraźliwie, dzieciaki wybiegają poza ochronny krąg.

- Minek, co teraz będzie?

- Musimy czekać. Kiedy nadejdą nasi, wtedy się przydamy najeźdźcom. Czym się inaczej wykupią?

- Tak? - Walerek wstaje jednym zrywem, czepiając się ogrodzenia i woła władczo w mowie ludzi stepu:

- Hej, ty! Do ciebie mówię, szczeniaku! Chodź tutaj!

Przebiegający obok chłopak ogląda się, wytrzeszczając oczy.

- Tutaj! - Kiwa ręką Walerek.

Chłopak podchodzi bliżej, a za nim wlecze się jakaś starucha.

- Czego? - pyta butnie. - Jeszcze ci mało?

Walerek uśmiecha się krzywo. Skończyło się udawanie tchórza.

- Tam, w stepie, wasi ludzie zabawiają się z naszym chłopakiem. Radzę ci odnaleźć ich i zawrócić. Nie zazdroszczę wam, jeśli się okaże, że go tymczasem zabili. Nie miejcie nadziei na litość. Za niego wszystkich was wyróżniemy.

- Myślisz, że to się uda? - pyta Minek świszczącym szeptem.

- Jestem pewien - cedzi przez zęby Walerek i krzyczy do chłopaka: - Do kogo mówię, biegnij co tchu!

- Czego jeszcze stoisz - skrzeczy starucha. - Leć szybko, on prawdę gada. Pędź na wschód.

- Wiem - mruczy chłopiec. Wskakuje na pierwszego z brzegu konika, pochyla się nad grzywą i pędzi...

- Tak - dyszy Minek - niech się pospieszy. Siwy chociaż jeszcze żyje?

- Na razie tak. - Walerek wpija się dłońmi w drewniane ogrodzenie. Boi się. Jego moc nie zdoła w tej sytuacji uratować Siergieja. Jeśli medyk nie zdąży go opatrzyć...

Minuty dłużą się niezmiernie. Walerek coraz bardziej blednie i jego starszy towarzysz przygląda się mu z obawą, lecz nie chce nań naciskać. Wreszcie drgające wargi młodzieńca otwierają się i mówi, ciężko dysząc:

- Wiozą go... żeby tylko nasi zdążyli!

- Otóż i oni!

Minek wskakuje na ogrodzenie i macha zdartą koszulą na powitanie nadciągającego oddziału.

# DO KORWARENU

## **1. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Mógłbym poświęcić więcej czasu granicy południowej. Prawdę mówiąc, miałem na to wielką ochotę. Zanadto jednak przeciągnąłem powierzone mi dochodzenie. Trzeba iść dalej. Czas się dowiedzieć, jak los rzucił księcia Waleriana do Korwarenu, na dodatek w samym środku Trudnych Czasów i do tego w taki sposób, że król Henryk Okrutny nawet tego nie podejrzewał.

Biorę do ręki „srebrne ziele”, myśląc o królu Andrzeju i królowej Małgorzacie i o tym, jak ich syn powrócił z wojska.

## **2. MAŁA RADA KRÓLEWSKA**

Dzisiaj siedzą za tym stołem jak równi z równymi. Książę Walerian ze swoim pobratymcem naprzeciwko pary królewskiej, a dalej Siergiej, Waśka i Gustaw.

Narada dotyczy księcia i jego druha. A także Targali.

- Boję się o nich, Andrzeju! - mówi drżącym głosem Małgorzata. - Dopiero co wrócili... a ileż to razy byli o włos od śmierci na tej przeklętej granicy?! To straszne, że trzeba ich znowu wysyłać...

- Do Korwarenu - podejmuje król - stolicy twojego ojca. Ty przecież także wyczuwasz, Małgorzato, że mój teść stał się naszym wrogiem. Nie zapominaj, że nasz syn zostanie kiedyś królem! Powinien poznać wszystkie niebezpieczeństwa sprawowania władzy nie tylko ze słyszenia. Właśnie dlatego spędzili z Sieriożą rok na południowej granicy... Nie płacz, Małgorzato! W Korwarenie nie ma nomadów ani wilkołaków.

- Jestem matką - odpowiada niemal szeptem - więc muszę się bać. Wiesz, co przeżywałam przez cały rok...

Walerek spogląda na matkę i serce ściska mu się z żalu i miłości. Włosy królowej nie są już kruczoczarne, w kącikach oczu pojawiły się pierwsze zmarszczki, ale i tak jest najpiękniejsza na świecie, skoro jest jego mamą... Książę powinien milczeć i słuchać, ale Walerek nie wytrzymuje.

- Nie bój się, mamó, nie trzeba - mówi do niej. - Spójrz na nas, przecież obaj jesteśmy żołnierzami, więc jak mamy przepaść w Korwarenie?

- Korwarén przez nas przepadnie - mrućy Sierioża, niby do siebie, ale królowa go usłyszała.

Andrzej śmieje się głośno, na całe gardło.

- Nie przepadną tam, Małgorzato, to pewne! Spójrz, jakie dzielne chłopaki! - i dodaje poważniej: - Tylko twój ojciec nie powinien się o nich dowiedzieć. Możemy tak zrobić?

- Nic prostszego. - Królowa ociera oczy koronkową chusteczką i uśmiecha się blade. - W Szkole Królewskiej nie sprawdzają rodowodów, byle tylko był szlachecki dyplom. A na Uniwersytet może wstąpić każdy, kto ma czym zapłacić.

- Pozostaje podjąć decyzję, co będzie dla nich lepsze. - Król ujmuje dłoń małżonki. - Kochanie... Najlepiej będzie, jeśli Walerek teraz wyjedzie ze Slawesztu, choćby do zimy albo nawet do początku wiosny. Wrócił jako zwycięzca, a o jego służbie opowiada cała stolica... To niby dobrze, ale trochę nie w porę. A Korwarén jest najlepszym miejscem, żeby skryć się tam przed okiem ciekawych i czegoś dokonać. Wyślę też z nimi Jaśka, już wyraził zgodę. To cię chyba uspokoi?

- Tak, tak, masz rację. Ufam Jaškowi. Można na niego liczyć. Dziękuję, że o wszystkim pomyślałeś. Prawie się uspokoiłam...

- To i dobrze. Teraz, proszę cię, zajrzyj do Julii. Opowiedz jej o wszystkim i uspokój ją tak, jak myśmy to uczynili. Omówimy teraz dalsze szczegóły.

Drzwi zamykają się za królową i Walerek pierwszy przerywa milczenie:

- Tak więc mój dziadek stał się dla nas naprawdę niebezpieczny?

- Owszem, Walerku - wzdycha król. - W tym roku sprawy Targali źle stoją, ja zaś kolejny raz odmówiłem pomocy. Obawiam się, że jeśli dowie się o tobie i uwięzi cię, może zażądać wsparcia w zamian za twoje życie.

- To byłoby nikczemne! - woła Sierioża. - To przecież jego dziadek, są jednej krwi!

- Chyba pamiętacie, jak tutaj się zachowywał - przypomina król. - A obecnie całkiem oszalał i chce wygubić wszystkie gnomy. - Andrzej pochrząkuje, przeczesując dłonią brodę. - Nie może w żaden sposób pojąć, że ludzie nie powinni wojować z Podziemiem. Gdybym to ja był królem Złotego Półwyspu, dawno bym ustanowił pokój.

- Gdybyś tam był królem, nie doszłoby do wojny - mrućy Waśka. - A tak musimy wciąż tracić ludzi obserwujących sprawy w Targali.

- Wyjaśnij chłopcom, co się tam dzieje - prosi monarcha.

- Dzieją się tam straszne rzeczy - odpowiada tamten, wzdrygając się. - Dawno

zapomnieli o urodzajnych plonach. We wsiach panuje głód, w miastach panika. Coraz więcej rozbojów. Prawie nie ma już rzemieślników, bo większość uciekła jeszcze wtedy, kiedy zaczęły się czystki za związki z Podziemiem. Ci zaś, którzy wówczas nie zbiegli, uciekają teraz przed głodem i nędzą. Moi agenci nieraz stykali się z chandzarskimi szpiegami w ciemnych zaułkach dzielnicy rzemieślniczej. Imperium, podobnie jak my, stara się wyłuskać najlepszych mistrzów.

- A za parę lat - wtrąca monarcha - może dojdzie do tego, że Imperium i Dwanaście Ziem będą się wadzić między sobą o prawo do okupowania Złotego Półwyspu. Groźny nie zdoła się obronić.

- Co mamy tam robić? - pyta księżę.

- Uczyć się. Wasia przygotuje dla was dokumenty. Będziecie zwykłymi studentami ze uboższej rodziny szlacheckiej. Jeszcze pomyślimy, skąd. Macie tam żyć normalnie.

- Patrzyć i słuchać? - uśmiecha się domyślnie Sierioża.

- I zrozumieć, co się tam dzieje - dodaje Walerek.

- Zwykle głupstwa - podsumowuje Waśka z nieczęstą u niego ponurą miną.

### **3. POKORNY BŁAŻEJ, NOWICJUSZ KLASZTORU**

#### **ZOFII NADCHODZĄCEJ W KORWARENIE**

Długo siedzę z amuletem Walerka w dłoni. Po prostu siedzę. Palce przesuwają się po srebrnym sznurku. Wspominam oczy króla Andrzeja. Czuję, że coś go gnębi. Coś jeszcze, prócz wyjazdu syna i niepowodzeń Targali. „To niby dobrze, ale trochę nie w porę” - powtarzam w myślach. Widocznie i w Slaweszcie dzieje się coś niedobrego. Zapewne nie bez przyczyny świeżo zdobyta sława syna wydaje mu się niebezpieczniejsza niż trudy życia w dalekiej Targali...

Myślę potem o Walerianie. To jednak nie w porządku, że do ojczyzny jego matki, którą rządzi jego dziadek, musi jechać, skrywając swoje imię. Niech sobie nawet stary władca będzie obrażony i zły na córkę, niech wojuje z Podziemiem, ale żeby niebezpiecznie było się z nim spotykać jego wnukowi, pierworodnemu ukochanej latorośli?

Wspominam w końcu wizytę Okrutnego w Slaweszcie: wszak gotów był wtedy do klótni! Szkoda, że nie zabrał ze sobą Karola. Byłaby to wspaniała okazja by zaprzyjaźnili się ze sobą następcy tronu dwóch sąsiednich królestw...

Teraz jednak możemy tylko zgadywać, jak potoczyłaby się historia, gdyby Okrutny nie był... Okrutnym. I jaki pożytek z takiego gdybania? Najważniejsze, że księżę i jego pobratymiec jadą do Korwarenu. Od tej chwili rozpocznie się ta część ich życia, o której

mówią podania. Tak więc dotarłem do Trudnych Czasów.

Tylko dlaczego Sierioza nie pojawia się w pieśniach minstreli?

*Koniec*

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo „Kryłów” z o.o.  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2008  
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Witold Jabłoński 2008

TYTUŁ ORYGINAŁU КОРОНА

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-017-2

REDAKCJA SERII Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

REDAKCJA Małgorzata Koczańska

KOREKTA Marian Aleksandrowicz, Barbara Caban

SKŁAD Dariusz Haponiuk

ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./fax: (22) 721-30-00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWCA

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c  
www.fabryka.pl  
e-mail: biuro@fabryka.pl

DRUK I OPRAWA OPOLgraf S.A. www.opolgraf.com.pl